

InterCyna
Mariusz Niemycki
InterCyna

Wydawnictwo Skrzat Kraków 2006

© Copyright by Mariusz Niemycki

Edycja © Copyright by Skrzat, Kraków 2006

Ilustracje: Suren Vardanian

Redakcja: Kamila Zimnicka-Warchoł Skład: Konrad Kuś Korekta: Maria Kasza

:

ISBN 978-83-7437-172-8 ISBN 83-7437-172-2

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski 31-560 Kraków ul. Na Szaniec 14 tel. (012)

414 28 51 wydawnictwo@skrzat.com.pl

Odwiedź naszą księgarnię internetową: www.skrzat.com

Dziewczyna spadała.

W niemym odrętwieniu spoglądałem na niknącą w oddali
twarz, na błyszczące przerażeniem oczy, ciągle czując na
opuszkach palców resztki ciepłego dotyku.)ej dotyku.

Chciałem krzyknąć, zaprotestować przeciwko niesprawiedliwości.

Przeciwko zdradzie i niechybnej śmierci.

Na próżno. Ze ściśniętego gardła wydobył się

ledwie charkotliwy pisk.

Wiedziałem, że już nigdy nie zapomnę tej drobnej sylwetki,

czerniejącej na tle płomieni. Otchłań otworzyła trzewia.

Czekała. Dziewczyna spadała. Nieodwołalnie. Nigdy więcej nikogo nie pokocham...

Z pamiętnika Omszałego

Prolog

Las niedaleko Potemkowic, 26 listopada 1957 roku

Późnojesienny wieczór kładł się głębokim cieniem pomiędzy szorstkimi pniami brzoź i sosen. Od dwóch godzin sypał ciężki, mokry śnieg. Wielkie płaty przywierały do wiotkich gałązek, uginając je do granic wytrzymałości. Wiele z nich pod wpływem naprężeń wystrzeliwało w górę radośnie, strząsając z siebie białe lepiszcze, by chwilę potem ponownie ugiąć się pod chłodnym ciężarem. Sarna parsknęła zniecierpliwiona, wydmuchując chrapami kłęby pary. Wyszła na drogę, przyzwana wewnętrznym nakazem. Podniosła głowę.

Mrok w oddali uległ delikatnemu rozproszeniu. Zwierzę zadrżało niespokojnie. Rozdwojony snop białego światła omiółł korony drzew. Ułamek sekundy później do uszu sarny dobiegł drażniący dźwięk.

Instynkt nakazywał natychmiastową ucieczkę. Jednak, wbrew nakazowi, podniecone zwierzę jedynie cofnęło się nieznacznie. Krok. Dwa kroki.

Światło zniżało się coraz bardziej, prześlizgiwało po pniach, a hałas przerodził się w męczący warkot. Źrenice sarny znieruchomiały.

7

Z mózgu do naprężonych mięśni zwierzęcia popłynął krótki rozkaz. Biegnij!

Hałas — ból — ciemność.

Mocne uderzenie odrzuciło bezwładne ciało na pobocze. Na krótką chwilę w powietrze wzbily się bryzgi marznącego błota. Pojazd zahamował z piskiem, wpadając w niekontrolowany poślizg, zakończony głuchym trzaskiem. Okaleczona sosna pozbyła się białego ciężaru. Światło przygasło. Nieogolony, szczupły mężczyzna w kożuszkę potarł czoło, czując pod palcami niepokojącą lepkość. Zdjął kapelusz i trącił jęczącego pasażera.

— Żyjesz, Włodek?

— A ty? — padła pełna bólu odpowiedź.

— Znaczy się, żyjemy — mruknął kierowca okutany w ciemny płaszcz. Otworzył drzwi czarnego, dwuletniego mercedesa 300C. — Wylaż, trzeba wózek obejrzyć.

„Bury będzie wściekły” — pomyślał, przetykając ślinę. Przyłożył chustkę do zranionego czoła, po czym otworzył bagażnik w poszukiwaniu latarki. Szarpnął pachnącą nowością skórzaną torbę. Cenna zawartość wydała cichy brzęk.

— No i co, Leoś? — pasażer wygrzebał się z auta. Złamany nos puchł w zatrważającym tempie. Mężczyzna chwycił garść śniegu, by ukoić ból.

— Sam zobacz — światło latarki zatańczyło na zgniecionej blasze.

— Szlag by trafił. Niezła granda — ocenił Włodek, strząsając z dłoni zakrwawioną breję. Ból zelżał.

8

Wgniecenie było solidne. Jeżeli uda się zmylić pościg, i tak nie zazną spokoju. Szef każe im spłacać wszystkie straty. O ile wcześniej ich nie zastrzeli w przyływie wściekłości.

— Może odpali?

— Może — westchnął kierowca zwany Leosiem. Podniósł z ziemi chromowany znaczek mercedesa. — Ot, celownik wymyślili, psia ich mać. Trzeba spróbować.

Siadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Silnik zachrobo-tał, po czym zaskoczył. Błysnął prawy reflektor. Dobrze i to. Kierowca wrzucił wsteczny bieg.

Koła zabuksowały w miejscu, ryjąc bruzdę w poczerniałej ściółce. Silnik zgasł.

— Parszywa robota, to i los parszywy! — zdenerwował się Leoś. Zdjął kapelusz i położył na siedzeniu obok. Rozległ się trzask zamykanego bagażnika. Zaraz potem otworzyły się drzwi i w mroku błysnęło ostrze siekiery

— No co ty? Oszalałeś? — Leoś skurczył się zaniepokojony

— Gałęzie — nosowo zabulgotał Włodek. Gdzieś zgubił czapkę i teraz świecił łysiną na czubku głowy Dla ochrony przed zimnem owinął twarz czarnym jedwabnym szalem.

— Co gałęzie?

— Narąbać trzeba. Podłożyć pod koła.

— A, to... — odetchnął kierowca. W świecie szybkich pieniędzy nigdy nie wiadomo, kto ani kiedy zdradzi. Życie i przyjaźń nie mają wielkiej ceny.

Mercedes powoli wytoczył się na jezdnię. Śnieg przestał padać, a zza chmur wyrztał rąbek bladego księżyca. Nie na długo.

9

— Bierzymy sarnę?

— Nie mamy worka — burknął Leoś. — Zresztą musimy znaleźć jakiś warsztat, zanim milicja znajdzie nas. Słyszysz, jak coś stuka? Chcesz naprawiać wóz z sarnim ścierwem w środku?

Wrzucił dwójkę, dodając gazu. Samochód pospiesznie oddalał się z miejsca wypadku. O dach bębniły krople marznącego deszczu.

— Co racja, to racja — Włodek obmacał nos. Do oczu napłynęły mu łzy. Niech to diabli! — A co z fantami?

— O zesz ty, fakt! — skrzywił się Leoś. Włączył wycieraczki, zastanawiając się, gdzie podział kapelusz. — Co to za dziura? — wskazał głową widniejące w dolinie światła.

— Potemkowice, nie żadna dziura — obraził się Włodek. Pochodził ze Starej Wsi, pół kilometra od Potemkowic. — Dużo się tam teraz buduje, powiat przecież. Stadion, kino. Nawet postawili szkołę z internatem na dwieście osób — Włodek, mimo pięciu lat spędzonych w więzieniu, nie stracił lokalnego patriotyzmu.

— Szkołę? — samochód nieco zwolnił.

— No, stan surowy dopiero. Zaraz przy wjeździe do miasta. — Włodek siłą woli powstrzymał się od dotknięcia nosa. — Ale żebyś wiedział, jak zasuwiają, trzysta procent normy. Dach już wykańczają, stachanowcy!

^Stachanowiec — przodownik pracy w Związku Radzieckim, tutaj: ironicznie o osobach

pracujących ponad siły (wszystkie przypisy pochodzą od autora).

10

Kierowca wrzucił czwarty bieg i okaleczony mercedes pomknął z klekotem po lśniącej jezdni. Grubo żłobione opony świetnie trzymały się tracącej przyczepność nawierzchni. W końcu Bury nie po to ma rodzinę w Ameryce, żeby jeździć byle czym.

Wilk odprowadził wzrokiem czerwone światła, czekając, aż znikną. Mimo głodu nie stracił czujności. Człowiek to śmierć i wilk dobrze o tym wiedział. Podeszedł z podkulonym ogonem do źródła zapachu. Martwe oczy sarny spojrzały nań obojętnie. Obliznął się, po czym wezwał przetrzebione stado.

Rozdział 1.

Jeden Krzywka wiosny nie czyni

Ważyły się moje losy, więc nie można się dziwić, że czułem niepokój graniczący z histerią. Pierwsza decyzja dyrektora Balezego była szybka i okrutna: za narażenie zdrowia i życia wychowawczynie releguje mnie do gimnazjum z internatem dla trudnej młodzieży Czyli do poprawczaka w Potemkowi-cach.

Podobno nakłaniał Tyczkę, żeby zaskarżyła mnie z powodztwa cywilnego, ale ta stwierdziła, że z uczniami po sądach się nie włączyła i nie ma zamiaru tego zmieniać.

Moi rodzice, kiedy już ochłonęli z emocji, odwołali się do rady pedagogicznej z prośbą o inną karę, na miejscu, w szkole. O tym, że jestem niewinny jak niemowlę wiedziały tylko te meły, Ślipek i Hulewicz. No i Lopez, ale on podobno nie istnieje, więc nie mogę go wezwać na świadka.

- Pst!

Rozejrzałem się. Korytarz był pusty. Zajrzałem pod ławkę. Kilka papierów i ogryzek, nic specjalnego. Kiedy się pochylałem, rozległo się znajome chrząknięcie. Coś pomiędzy dziką świnia a wroną. Uśmiechnąłem się.

— Pst! — czerwona kotara przy drzwiach świetlicy zadrzała i wychynął zza niej krostowaty nos Kostka.

12

— A ty co? — podeszedłem do niego. — Nie w Jamie? Jama to była baza DERKI, naszej tajnej detektywistycznej

organizacji. Ostatnio spędzali tam z Jackiem Plombą dużo czasu. Ja straciłem zapał do takich zabaw. Całe wakacje pokutowałem jako popychadło na budowie u wujka Tolka Bociana. Stawiał nowy, piętrowy garaż na cztery samochody i warsztat. Praca miała mnie wyzwolić z chuligaństwa. A teraz, 28 sierpnia siedzę w oczekiwaniu na wyrok. Mama, jako osoba zainteresowana, została zaproszona na pierwszą część rady, by móc się wypowiedzieć. Znając nauczycieli, nie liczyłem na wiele. Właściwie nie liczyłem na nic.

— Jama od wczoraj zamknięta, synu. Na kłódkę — westchnął Kostek. — Starzy każą mi powtarzać materiał z matmy, bo testy poszły cieniutko, jak wiesz.

Kostek Ptak dostał się co prawda do ogólniaka, ale jako ostatni z naboru. Mama Kostka parę dni przed rozpoczęciem roku szkolnego wpadła w panikę i prosi, Ptak dziobie, aż wióry leca.

— To dlaczego nie zakuwasz?

— Myślałem, że może podsłucham, jak się nad tobą pastwią — mrugnął porozumiewawczo.

Spowaźniałem, więc poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

— Nie powinno być źle. Policzyliśmy z Jackiem, że masz szansę w głosowaniu. Krzywka będzie za łagodnym wymiarem kary, w końcu macie podobne zainteresowania — ruszył wolnym krokiem w stronę drzwi na dziedziniec.

— Niby jakie? — uniosłem brwi.

13

— Niby takie, chemiku młody, żeby wlewać kwas do wody — zażartował, pijąc do moich chemicznych sukcesów.

Kiedyś wziąłem udział w szkolnej olimpiadzie i zająłem trzecie miejsce w województwie. Stara historia, ale nasz pan od chemii ciągle żył nadzieją, że powtórzę sukces pod jego okiem, a on doczeka się słów uznania, albo nawet nagrody od dyrektora.

Wyszliśmy na dwór. Sierpień tego lata był cudownie wakacyjny i mimo wczesnej pory wyczuwało się nadciągający upał.

— Jeden Krzywka wiosny nie czyni — chciałem klapnąć na ławkę, lecz Kostek powstrzymał mnie, kręcąc głową.

— Jeden Krzywka nie, synu. Ale na przykład Maruszak? Z gegry miałeś piątkę!

— Chyba mnie z kimś mylisz — zapłonilem się. — Z gegry miałem troję. Zresztą, może masz rację, Maruszak jest w porządku facet, więc kto go tam wie?

— Właśnie. No, a jeszcze Turbol — mówił, odginając trzeci palec. — Po tym ostatnim skoku wzwyż zakochał się w tobie bez pamięci. Ciągłe gada o najbliższej olimpiadzie.

Przed szkołą stał wsparty na brzoźowej miotle woźny Wą-sik, zajęty rozmową ze sprzątaczką, panią Danusią.

Kobieta miała najwyraźniej wolny dzień, bo zamiast w służbowy fartuch w kwiaty była ubrana w spódnicę i obcisłą bluzeczkę z krótkim rękawem. Jej serdelkowate nogi wciśnięte były w błyszczące czerwone szpilki.

— A ty, Racyniak, czego tutaj? — burknął, nie spuszczać wzroku z obfitego biustu blondynki. — Bo to, za przeproszeniem pani Danusi, porządna szkoła, a nie sracz!

— Nie rozumiem, o co panu chodzi — poczerwieniałem, przyspieszając kroku.

— No właśnie — odezwał się Kostek. — I tak w ogóle to dzień dobry...

■7 3

Яze

3 i 3

i: i

B"*

— ... pani Danko — dokończył grzecznie Ptak, po czym pociągnął mnie za rękę. — Nie zatrzymuj się — syknął.

— Tylko się mi tu nie pałętać! — ryknął woźny. — Niech no któryś samochód będzie porysowany albo radio zginie, to wam nogi...

— Ależ pan jest nie w humorze, panie Stefku — przerwała mu sprzątaczką. — A ja specjalnie z urlopu do pana, z prośbą.

Wąsik przestał śledzić nasze poczynania i spojrzał na rozmówczynię z rosnącym zainteresowaniem. Oczy mężczyzny przez chwilę błądziły po spoconej szyi kobiety, by wreszcie zatrzymać się na dekolcie.

— Znaczy się co? — odchylił czapkę, drapiąc się po czole. Drobinę kurzu osiadły mu na skórze, podkreślając żłobienia zmarszczek. — Jaką prośbą? — oblizwał wargi i pomyślał, że przydałby się łyk zimnego piwa. — Bo wie, Danko — rzekł bardziej poufale — że u mnie z pieniżkami krucho. Jolka, moja ślubna, całe konto wyczyściła i zostałem goły i wesoły, jak to mówią — zarechotał nieszczercze.

— No bo wspomniał Stefan o sraczu — pani Danusia uśmiechnęła się czule. — A mnie się akurat tenże zapchał, no i ciasteczka przyniosłam — sięgnęła do torebki, wydając woreczek kruchych ciastek. — Sama upiekłam, Stefan się nie krępuje — podsunęła woźnemu woreczek.

Wąsik przestąpił z nogi na nogę.

— Nie to miałem na myśli, co Danko myśli — szurnął miotłą raz i drugi. — Tylko że taki owaki nie powinien się po porządnej szkole pałętać jak za przeproszeniem... — rzucił

16

światu ponure spojrzenie, sąła, że zbój.

Ech! Znowuż gazeta o nim pi-

Część drogi pokonaliśmy, biegnąc zgięci w pół między samochodami belfrów. Nie rozumiałem, dlaczego się tak kryjemy, ale udzielił mi się konspiracyjny nastrój. Przypomniał mi się również smak bycia w DERKI. Niech piekło pochłonie Skunksa i jego szalikowców!

Sapiąc, dotarliśmy w końcu do drzwi zaplecza stołówki.

— Zgłodniałeś czy szukasz roboty? — zdumiałem się, widząc, dokąd prowadzi mnie Kostek. —

Kuchnia nieczynna, jeszcze są wakacje.

— Nie bój nic, Jasiu — odchrząknął. — Wszystko pod kontrolą. Mam nadzieję — dodał po chwili, z niepokojem spoglądając na wyświetlacz telefonu komórkowego. — Mam nadzieję...

Nie zdążyłem zapytać, na co ma nadzieję, stojąc pod stołówką, kiedy rozległ się sygnał wiadomości tekstowej i na twarzy Konstantego Ptaka rozlał się pełen ulgi uśmiech.

Omiótł wzrokiem treść informacji, po czym sięgnął do kieszeni.

— Masz, wciągnij trochę — podał mi zawinięty w kawałek gazety brązowy proszek. — To na odwagę — zachęcił.

Poczułem zimno pełną od żołądka ku sercu, a w gardle pojawiła się trudna do przełknięcia gruda. Cofnąłem dłoń.

— Kostek, zupełnie cię popaprało? — jęknąłem. — Częstoujesz mnie prochami?! /^\$ШЯЯй5ч

— No coś ty — stropił kichanie. Sproszkowany ty

. — -Brzecz to tabaka, na

u

— Tytoń? Już raz próbowaliśmy palić, ale nam nie wyszło — zachnąłem się. — Zresztą, co ma kichanie do odwagi?

Mój zwariowany koleżka kucnął w cieniu pod ścianą, toteż poszedłem za jego przykładem.

Chodnik w tym miejscu był popękany i nosił ślady wżartych w beton tłustych plam. Przypomniało mi się, że w roku szkolnym codziennie przyjeżdża niejaki pan Zaszczutko po zlewki dla psów ze schroniska w Daszewie. Byliśmy tam kiedyś z klasą: jedna wielka psia rozpacz. Ciekawe, co biedne zwierzaki jedzą w wakacje? Może polują na koty?

— Tabaka, mój drogi, to szlachetna rzecz — zaczął, spoglądając co chwilę na zegarek. Był jedynym nastolatkiem na świecie noszącym zegarek. Wszyscy inni korzystali z zegara w telefonie, ale Kostek był dziwakiem.

— Akurat.

— A żebyś wiedział — Ptak zupełnie nie przejął się pełnym wątpliwości parsknięciem. — Już starożytni polscy rycerze wachali tabakę dla nabrania odwagi — ciągnął z oczami wlepionymi w tarczę zegarka. — A potem odstraszała Tatarów i Krzyżaków potężnym kichaniem. Podaj rękę — powiedział nagle.

Podąłem, niech mu tam. Czego jak czego, ale odwagi to ja nie miałem dzisiaj za grosz.

Kostek ułożył moją dłoń tak, że powstało zagłębienie tuż przy kciuku.

— Tabakowy dołek — objaśnił, umieszczając tam szczyptę brązowego proszku. — Przyłóż do nosa i wciągnij — poinstruował.

18

Przyłożyłem i wciągnąłem. A potem poczułem mocny, drażniący nozdrza aromat i narastające łaskotanie. Oczy zaszyły mi mgłą, a usta same rozwarły się do kichnięcia.

Tak kichnąłem, że mało mi nosa nie urwało.

— Weź, powycieraj kinola, synu, bo ci smarki wiszą — Kostek zachichotał diabelsko i machnął chusteczką higieniczną. Nie przestaje mnie dzisiaj zadziwiać. Konstanty Ptak i chusteczka — to mógłby być tytuł fascynującej powieści.

Wydmuchałem nos i wówczas wydarzyła się rzecz niebywała. Ptak odebrał chusteczkę, zwinąwszy ją uprzednio, a następnie schował do kieszeni.

— Eee, a po co ci to? Mogę sam wyrzucić — zaprotestowałem.

— Po pierwsze, nie ma gdzie, bo nie ma kosza wstał — po drugie, nie możemy zostawiać śladów, a po trzecie... — puknął palcem w szkiełko zegarka — czas na nas. Jacuś się niepokoi.

Wskazał palcem odrapane drzwi.

— Plomba?

— A jaki inny Jacuś mógłby się o nas niepokoić? — odpowiedział pytaniem. — Pewnie że Plomba.

■ V'Jfe

Weszliśmy na wysoki schodek, zerkając, czy nie jesteśmy aby pod obserwacją woźnego albo jakiejś innej niepożądanego osoby

Kostek poskrobał palcem w drzwi i nadstawił ucha. Ze środka dobiegło podobne skrobanie. Stuknął wobec tego dwa razy, zaczekał chwilę, po czym puknął jeszcze raz. Po chwili padła odpowiedź. Puk-puk! Cisza. Puk!

— Niech otwiera — szepnąłem zniecierpliwiony, nie mając pojęcia, po co te podchody i cała szopka.

— Są pewne zasady... — zgromił mnie Kostek. Zaraz potem powiedział nieco głośniejszym głosem: Kukuryku na patyku!

— Zjedz patyka i po krzyku — zabrzmiał odzew, klamka opadła, a w szparze otwieranych drzwi pojawiła się pełna dumy twarz Jacka Plomby. Przewodniczący samorządu uczniowskiego okrada stołówkę w czasie wakacji! — wyobraziłem sobie wielki tytuł na pierwszej stronie „Wieści Trombolina”. Co ja tutaj robię?

Plomba wciągnął mnie do wąskiego, cuchnącego pomyj a-mi korytarzyka.

— Tu jeszcze możemy normalnie rozmawiać — mruknął.

— O czym?

— A tak, ogólnie — przewodniczący wzruszył ramionami. — Udało się? — Spojrzał na Kostka.

— Mhm — Ptak klepnął się po kieszeni.

— Co jest? — zmarszczyłem czoło.

— Nie powiedziałeś mu? — zdziwił się Jacek.

— A miałem? — odparował Ptak.

Jacek Plomba pokręcił głową, po czym zapytał:

20

— Widziałeś kiedyś, Cyna, naradę nauczycieli?

— Na żywo? Nigdy — sapnąłem. Gdzie niby miałem widzieć? Przecież to wszystko tajne i zastrzeżone.

— No to wreszcie zobaczysz — uśmiechnął się Plomba i zatarł dłoń.

Zadrzałem, pełen niedobrych myśli.

Rozdział 2.

Minister z Trombolina

Dyrektor Henryk Balezy, zwany przez uczniów Walezym, nadał rumiane policzki, po czym dmuchnął w mikrofon ile sił w płucach. Po raz szósty z rzędu.

— Mnie to wcale nie działa — oznajmił zdziwiony — I dlaczego?

Nikt nie śmiał pospieszyć z wyjaśnieniem, dmuchnął więc jeszcze mocniej, a potem postukał mikrofonem o blat stołu. Na niewiele się zdało.

Trwała niezręczna cisza, przerywana tłumionymi chrząknięciami. Wreszcie jeden z nauczycieli podniósł rękę.

— No, co tam? — dyrektor groźnie ściągnął brwi.

— Bo może... — odezwał się lękliwie pan Krzywka, nasz chemik. — Gdyby pan zechciał...

— No mówże pan wreszcie!

— Gdyby pan zechciał, panie dyrektorze... — nauczyciel otarł rękawem zroszone czoło. — Gdyby pan... — zawahał się.

Balezy pokręcił głową, nie kryjąc niesmaku.

— Ktoś wie, o co temu człowiekowi chodzi?

— Ja wiem! — wyrwał się siedzący pod ścianą katecheta, pan Bożydar Wątpień.

— Tak?

22

— Chodzi o to, dyrektorze nasz Henryku kochany że nie przełączyłeś przełącznika — rzucił jednym tchem.

— Przełącznika?

— N00, włącznika znaczy. Przycisku — sprecyzował, widząc zdezorientowaną minę dyrektora.

Balezy z uwagą obejrzał mikrofon.

— Ten? — rozjaśnił się.

Wątpień potwierdził, toteż Balezy pomanipulował przy mikrofonie, sapiąc okropnie i w końcu z

uśmiechem oznajmił:

— Raz, raz, raz! Próba mikrofonu! — przesterowa-ne dźwięki zajęczały na granicy wytrzymałości ludzkiego ucha. — Bady, bady, bum, siedem, siedem, w Szemrzeszynie szon brzycinie — kontynuował dyrektor, wsłuchany we własny dudniący głos. W skrytości ducha od lat marzył o megafonie. Bez wysiłku wydawać grzmiące polecenia, jakaż by to była moc, jaka siła perswazji! Może mu na imieniny kupią megafon zamiast teczki? O teczce słyszał od sekretarki, ale na diabła mu teczka?

Spróbował wciągnąć brzuch. Bezskutecznie. Niezrażony, dumnie uniósł brodę, wolną rękę chowając za plecy. Publiczność szemrała zachwycona Och, żeby tak jeszcze mieć generalską czapkę...

Nagle spojrzął na kulącą się na krześle zażenowaną kobietę w ciemnym wyjściowym ubraniu i przypomniało mu się, gdzie jest. I co to za publiczność. Oklapł.

— Witam, pani Rodzynek — mruknęły głośniki dyrektorskim basem.

Kobieta pobladła.

— Racyniak, jeśli łaska — odrzekła gniewnie. Balezy zerknął na kartkę.

— To już nie Rodzynek? Zmianę nazwiska powinno się zgłaszać — pokręcił głową niezieszany

— Tak więc witam panią Racymniak — dla pewności puknął palcem w gąbkę mikrofonu i pomedytował, oceniając efekt. — Witam też państwa na naszej tradycyjnej radzie pedagogicznej sierpniowej serdecznie — otarł wargi.

Rozległy się nierówne brawa. Nauczyciele siedzący blisko dyrektorskiego stołu klaskali hałaśliwie, ci spod ściany nieco ciszej. Niektórzy, ukryci po kątach, wręcz markowali ruchy dłońmi, jakby nie potrafili z siebie wykrzesać krzty entuzjazmu.

— No dobrze, bo nas noc zastanie — Balezy z uśmiechem satysfakcji podniósł rękę. — Na porządek początek obrad... — zamrugał — eee, na początek porządek obrad. W punkcie pierwszym podjęcie decyzji o wyrzu... o relegowaniu ucznia — zerknął na leżącą na stole kartkę — Racymniaka Jana z klasy aktualnie trzeciej „c” do klasy trzeciej gimnazjum imienia generała Borewicza w Potemkowicach. Może też „c”, kto ich tam wie.

— Jak to o wyrzuceniu? Przecież jeszcze nie jest przesądzone — nieśmiało zaprotestował chemik.

24

— W punkcie drugim — ciągnął niewzruszenie dyrektor — omówienie testów dla klas trzecich...

Mógłby to ktoś wreszcie zdjąć? — pokazał palcem wiszące pod sufitem czarne od kurzu sylwestrowe łańcuchy, potłuczone bombki i suche, pozbawione igieł świerkowe gałązki.

— Albo chociaż odkurzyć, drogi nasz Henryczku, byłoby jak znalazł na ten rok — podrzucił katecheta.

— Na ten Nowy Rok — z przekąsem dodał geograf, pan Maruszak. — I kilka następnych.

Zapatrzone w dyrektorski majestat młode nauczycielki zgromiły złośliwców złymi spojrzeniami oraz pełnym pretensji sykaniem.

— Ciiiiichooo!

Henryk Balezy nie słyszał tych syków, skupiony na odczytywaniu długiej listy spraw do poruszenia, którą w poczuciu męczeństwa i odpowiedzialności za losy szkoły układał do białego rana.

~ W punkcie jedenastym...

Na odczytywanie pierwsi zareagowali wuefiści, którzy jako ludzie nadzwyczaj praktycznie myślący wyciągnęli karty do brydza. Zaraz też zaszeleściły dyskretnie otwierane gazety, a tu i ówdzie mądre głowy pochyliły się nad krzyżówkami.

Rada pedagogiczna rozpoczęła obrady.

— Stać!

Mały włos, a rozkwaśliłbym nos na szerokich plecach Jacka Plomby.

— Co jest?

25

Znajdowaliśmy się w wąskim, pozbawionym okien korytarzu, pełnym niezidentyfikowanych rupieci. W ciemności niewiele widziałem, mogłem więc założyć, że prowadzący nas Plomba

również figę widział.

— Nie pamiętam, które drzwi — odpowiedział wyżej wzmiankowany — Drugie albo trzecie.

— Otwórz pierwsze z brzegu — doradziłem półgłosem. — Każde dokądś prowadzą — wzruszyłem ramionami, spojrzawszy na sączące się ze szpar słoneczne smugi.

— A jak otworzę nie te? — w szeptcie kryła się nutka hysterii.

— Co za różnica? — Kostek przecisnął się do przodu. Coś brzęknęło. — I czemu tu taki bałagan? — syknął, rozcierając łokieć.

— Bałagan? — zastanowił się Jacek. — Kuchnię mieli malować, może wynieśli różne rzeczy i ustawili w korytarzu, żeby nie zachlapać. A różnica jest taka, że jednymi drzwiami wejdziemy na stołówkę, a drugimi bezpośrednio do świetlicy. Chcesz wyleźć prosto w objęcia Walezego?

W objęcia Walezego? Jakoś by mnie to wcale nie zdziwiło. Dlaczego miałoby być normalnie i z górki? Gdyby normalność była moją codziennością, nie stałbym w mrocznym korytarzu z walącym sercem. W dodatku w charakterze włamywacza, było nie było. Co prawda, nie ja się włamywałem, tylko kończący kadencję przewodniczący samorządu uczniowskiego, ale znając życie, jedynie ja za wszystko bym zapłacił.

— Szarpnij klamkę — sapnął zniecierpliwiony Ptak. Bał się ciemności, od kiedy w dzieciństwie babcia przez roztar-

26

gnienie zamknęła go w szafie na cztery godziny. Płacz i nawoływania na nic się nie zdały, bo cierpiąca na zaniki pamięci pani Antonina wyszła na zakupy, zapominając, że tylko co bawiła się z wnukiem w chowanego. — Zajrzymy i w razie czego od razu spadamy Nikt się nie pokapuje.

— No dobra — niechętnie zgodził się Plomba. — Otworzę pierwsze na trzy-cztery Uwaga. Trzy-cztery...

— Czekaj! — wiedziony nagłym zrozumieniem walnąłem Jacka w plecy. — To nie te — dokończyłem szeptem, czując dreszcze.

— Ale co...

Przywarłem do niego, zatykając dłonią usta.

— Popatrz, tam pod drzwiami — szepnąłem do ucha.

Popatrzył. Słoneczne smugi migotały nieregularnie, jakby ktoś poruszał się z drugiej strony, przesłaniając światło. Przywarliśmy do ściany.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazała się w nich przygarbiona sylwetka pana Ciopka.

— Jest tu ktoś?

Dyrektor Balezy przerwał dramatyczny wywód na temat postępującej demoralizacji wśród młodzieży i spojrzął z niesmakiem na kręcącego się przy drzwiach nauczyciela matematyki.

— Czy ja panu nie przeszkadzam, panie kolego? Ciopek, zwany przez nas Ciapkiem, wyprostował się gwałtownie i zamknął drzwi.

— Absolutnie nie, panie dyrektorze — wybąkał zmieszany

27

— Na pewno?

Na sali panowała lodowata cisza. Czterdzieści kilka belferskich oczu wpatrywało się w czerwieniejącą twarz matematyka.

— Na pewno — Ciopek w panice sadowił się na krześle. — Zdawało mi się, że słyszę...

— Na drugi raz — przerwał dyrektor — niech się panu nie zdaje, panie Ciopku. Albo może Ciopeku, hę? Pan się odmienia?

— Absolutnie się nie odmieniam, nawet nie śmiem — mamrotał Ciapek, usiłując zniknąć z pola widzenia. W końcu zdesperowany zrzucił długopis na podłogę, pochylił się, by go podnieść i tak znieruchomiał, łypiąc przerażonymi oczami.

Balezy czekał parę sekund, aż nauczyciel wyłoni się spod stołu, ale w końcu dał za wygraną. Chciał mu powiedzieć coś dobitnie wychowawczego, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Zresztą pełna świadków świetlica to nieszczęśliwe miejsce na wychowywanie dorosłego mężczyzny

Władza nad ludźmi budowała dyrektorską pewność siebie, a brak sprzeciwów wywoływał zrozumiałą pogardę dla rządzonych. Od dawna wiedział, że dzięki nim może zajść daleko i nawet

nie zauważą, kiedy wyniosą go na swych barkach na urzędy. Może nawet do ministerstwa? Minister edukacji narodowej Henryk Balez z Trombolina. Jak to brzmi?

Ostrożnie wypuściłem powietrze z płuc. Oderwałem od zimnej ściany mokre od potu dłonie, słysząc obok siebie pełne ulgi westchnienia.

28

Niech mi ktoś wytłumaczy, dlaczego zawsze wplątuje się w podejrzane sprawy, bo sam tego nie potrafię rozgryźć. Przecież nie dalej niż kwadrans temu siedziałem grzecznie na ławce pod świetlicą, a mój świat, choć smutny i szary, był jakoś poukładany.

— Niezła jajcarnia, co, synu? — Kostek ukłuł mnie palcem w plecy. Powinien częściej obcinać paznokcie, bo tymi szponami kiedyś komuś krzywdę zrobi.

— Przynajmniej wiemy, którądy iść — prychnął Plomba z udawaną pogardą dla minionego niebezpieczeństwa. — Siedzę tu od rana i wszystko mi się pokręciło.

Coś brzęknęło, zaraz potem rozległ się chrobot. Mam nadzieję, że nie szczurzy

— W czasie jazdy samochodem ojciec zawsze powtarza mamie, że Trombolin nie Warszawa, a ty się w szkolnej kuchni zgubiłeś? — zapytałem, usiłując zobaczyć, co też Plomba kombinuje. Jednak było zbyt ciemno. — A w ogóle skąd się tu wzięłeś, co?

— O siódmej dziesiątej — zaczął Plomba, stękając w rytm chrobotania — Wąsik robi obchód szkoły. Rozumiesz, czy coś nie zginęło albo czy szyby ktoś w nocy nie wybił — pociągnął nosem.

— No i?

— No i poszedłem za nim — usłyszałem uśmiech w głosie przewodniczącego. — Starą trasą przez świetlicę. Wąsik ostatnio zamysłony chodzi, więc nie trudno go wykiwać... — umilkł na moment, wsłuchując się w chrobotanie i zgrzyty. — Psia mać!

29

— He?

— Nic. Kiedy wszedł na stołówkę, zostałem w obieralni warzyw. Nigdy tam nie zagląda, bo nic tam nie ma oprócz stukilogramowej przerdzewiałej obieralnicy

— Skąd wiesz?

— Jacek już dwa razy przetrenował całą akcję — pospieszył z odpowiedzią Ptak. — W poniedziałek i w środę.

— Bo do wszystkiego... — stęknął Plomba — trzeba się odpowiednio przygotować — rozległ się głuchy trzask. — Udało się.

Skrzypnęła klamka i drzwi stołówki stały otworem. Owionęło nas nieco zatęchłe powietrze, pachnące plastikową ceratą i pastą do podłogi. Staliśmy, delektując się słonecznym światłem, niczym zagubieni grotolazi, a karaluchy lub jak kto woli: *Blatta orientalis*, czmychały w popłochu.

— A teraz, Cyna — szepnął Plomba, chowając do kieszeni komplet wytrychów — posłuchamy belfrów. Nigdy nie rzucam słów na wiatr.

Na palcach podeszliśmy do cienkiej gipsowej ścianki dzielącej na pół niegdyś szpitalną salę przedwojennego szpitala miasta Trombollstadt².

Plomba położył palec na usta, po czym zdjął ze ściany duży obraz, przedstawiający „Martwą naturę na mieszczkańskim stole”, pędzla niejakiego Kalibąbla. Żalony kicz.

— I co wy na to? — powiedział niemal bezgłośnie, pokazując dziurę wielkości dziesięciogroszówki. — Wierciłem

² Przed II wojną światową Trombolin nosił nazwę Trombollstadt, a w budynku szkoły mieścił się wówczas szpital miejski.

30

w dwóch podejściach. Korkociągiem i pilnikiem do paznokci.

Już miałem pogratulować pomysłowi, gdy usłyszałem głos mamy. Odepchnąłem zerkającego przez dziurę Kostka. Mama płakała.

Rozdział 3.

Zdrada pedagogiczna

Co prawda, widok przesłaniały plecy siedzących niedaleko Maruszaka i Wątpienia, ale zdołałem dostrzec sylwetkę mamy stojącej z chusteczką przy twarzy, obok dyrektorskiego stołu.

— ... czasu na normalne wychowanie, więc proszę o wyrozumiałość. A poza tym nie wierzę, że Janek jest zdolny do tego, o co się go tutaj oskarża — mówiła przez łyżę

— Tak jest! — podskoczył na krześle pan Krzywka. — To znakomity chemik, olimpijczyk. Złoty chłopak, chciałoby się powiedzieć. Uczynny...

— Panie kolego — uciszył go Balezy zniecierpliwionym gestem. — Pan akurat jesteś ostatnią osobą do wydawania opinii o uczniach.

— A to dlaczego? — zdumiał się nauczyciel.

— A to dlatego, że pan sam masz zszarganą opinię.

— Jaaa? Jak to?

— Tak to — dyrektor pociągnął łyka ze stojącej na stole szklanki z kawą. — Mam wyliczyć? Proszę bardzo — odchrząknął. — Spanie podczas lekcji, brak umiejętności organizacyjnych, alkoholizm...

— Alkoholizm? — Krzywka pobladł. — Wypraszam sobie. To była prowokacja ze strony niechlubnej pamięci

32

uczennicy Rosomak Małgorzaty! — wyprostował się z godnością. — Z premedytacją podstawiła etanol w miejsce wody, by splamić moje imię.

— Z nie udowodnioną predymentacją — Balezy zmrużył oczy. — Nie rzucajmy oszczerstw po tej sali.

— To ja rzucam? — jęknął Krzywka, siadając ciężko. — Koniec świata...

— Ktoś jeszcze chce się wypowiedzieć w sprawie? — zapytał dyrektor.

Nikt się nie kwapił.

— Może pan... — zawahał się — A gdzie się podział kolega Ciopek?

Wszyscy zaczęli się rozglądać, więc matematyk, rad nie-rad, wynurzył się spod stołu, przeczesując palcami zmierzwione włosy.

— Tutaj jestem, panie dyrektorze — wybąkał spasowiały. — Długopis mi upadł i tak go szukałem, szukałem...

Dyrektor zmarszczył czoło.

— Bo to drogi długopis jest, panie dyrektorze — Ciapek przełknął ślinę, po czym poprawił łąciaty krawat. — Z Niemiec go przywiozłem i nie chciałem, żeby przepadł. Parker Sonnet, za prawie dwieście złotych... — ciągnął z paniką w głosie.

— Tak, tak — skwitował Balezy — A w sprawie Radzymina coś pan chce dodać?

— Jakiego Radzymina?

— Ucznia Radzymina Janusza, pan się w ogóle nie skupia! — zezłościł się przełożony. — A co jest meritum sedna sprawy punkt pierwszy, he?

33

Spłoszony matematyk dźwignął się z krzesła.

— Meritum sprawy jest sprawa, ekhm... — zamrugał płochliwie — ... sprawa Janka Racyniaka, panie dyrektorze.

— No — uśmiechnął się Balezy. — I co?

— No i ten... — nauczyciel splótł palce. — Chcę dodać, że nie bardzo...

— Jak nie bardzo, to ja panu pomogę, panie kolego — dyrektor parsknął śmiechem. Rozległo się kilka nerwowych chichotów. — Czy widział pan, jak uczeń Jan... jakiś tam, wyrzucił koleżankę Palik z pociągu?

— Z pociągu?

— Z tramwaju, chciałem powiedzieć, i nie łap mnie pan za słówka!

— Ale ja naprawdę nie łapię — zaprotestował Ciopek.

— To właśnie widzę! — wycedził Balezy — No więc widział pan czy nie?

— Nie bardzo — bąknął matematyk. — Tłoczno było. Dyrektor zacisnął usta, po czym spojrzął z wyrzutem.

— Mówiłeś mi, że coś widziałeś! To jak? — wlepił źrenice w nieszczęśnika. — No, panie kolego, pierwsze słowo się liczy, prawdaż?

Ciopek westchnął.

— N00, zdaje mi się, że widziałem. Chyba...

— To wyrzucił czy nie wyrzucił? — Balezny otarł pot z nosa.

— Znając go, to wyrzucił, panie dyrektorze — jęknął matematyk i usiadł z nieszczęśliwą miną.

— A więc jednak — dyrektor podniósł palec w geście

34

triumfu. — Sama pani słyszała, szanowna pani. Nie ma ratunku — rzucił mamie twarde spojrzenie. Ze złości aż kipiałem. Kostek szarpał mnie za rękaw i dawał znaki, że też chce podglądać, ale odgoniłem go ze zniecierpliwieniem. Zanosilo się na klęskę.

— Musimy zmiatać — szepnął Plomba, żując znalezione pod stołem wysuszoną piętę chleba. Od razu pomyślałem

0 tabunach Blatta oientalis pozbawionych posiłku.

— To po co ta cała akcja? — prychnąłem wściekle.

— Mam złe przecucia.

— Ja też, synu — wtrącił Kostek. — Dasz popatrzeć czy nie?

— Nie dam — odepchnąłem go.

Walezy właśnie kończył zwycięski pojedynek z prawdą.

— Myślę, że możemy przejść do głosowania — obwieścił, a potem spojrzał z niechęcią na podskakującego na krześle chemika. — Przerwa nastąpi po głosowaniu, panie Krzewik. Jeżeli pana nałóg zżera, niech poczeka.

— Nic mnie nie zżera, proszę pana — obraził się chemik, nie czekając na udzielenie mu głosu. — Prowadzę życie zdrowe i higieniczne w odróżnieniu od... zresztą nieważne.

1 Krzywka jestem, jeśli łaska. Tak mam po ojcu Stanisławie, poruczniku powstania warszawskiego, który bohatersko...

— Ja to mam z panem trzy światy i skaranie boskie — Balezny pokręcił głową. Kilka pań siedzących nieopodal dyrektorskiego stołu również pokręciło głowami. — Czy pan masz

35

coś do powiedzenia, czy warcholstwo i nieodpowiedzialność przez pana przemawia?

— Chcę powiedzieć — Krzywka nerwowo skubnął ucho — że nie możemy chłopaka skazywać na banicję i to wbrew prawu. Kto widział, żeby relegować ucznia do takiej szkoły bez sądowego wyroku?

Dyrektor wstał, okazując podwładnym ogrom swego majestatu. Odchrząknął, po czym włączył mikrofon i powiedział teatralnie słodkim głosem:

— Po pierwsze, drogi panie, taką zawarłem ugodę z obecną na sali panią Rodzyńkiewicz, że albo dobrowolna relegacja na pół roku celem poprawy, albo zakładamy sprawę karną. Prawda, szanowna pani?

Mama załkała i skuliła się jeszcze bardziej.

— Otóż to — ciągnął Balezny. — Po drugie, z pana podejrzanym wyjątkiem, nikt nie ma w tej sprawie nic dobrego do powiedzenia.

— Nic dobrego?

— Na korzyść ucznia, mam na myśli. A po trzecie, pan jesteś naszym nauczycielem, a zły to ptak, co we własne gniazdo kole, ot i taka prawda.

— Niczego nie kalam — obruszył się Krzywka. — Walczę o sprawiedliwość i prawdę. A jeżeli mam wskazać kogoś, kto oprócz mnie może powiedzieć coś dobrego o Janku, to może kolega Turboliński? Ostatnio rozpląwał się nad jego talentem sportowym.

— Bardzo proszę, żebyś pan potem nie mówił — skrzywił się dyrektor, któremu Krzywka wyraźnie psuł szyki i zapla-

36

nowany porządek rady. Piętnaście minut opóźnienia. Skandal! I bądź tu człowieku dyrektorem. — Panie Trąbalski?

Zachichotałem z nadzieją. Po tym jak pobiłem rekord świata, Turbol był moim zadeklarowanym wielbicielem. Może odwróci bieg zdarzeń. Dyro się z nim liczy.

— Panie Trąbalski! — huknął Balezy w mikrofon aż szyby zdrząły. — Mówię do pana!

Pękaty wuefista nawet nie drgnął wpatrzony w karty

— Turbol — syknął pan Wątpień. — To do ciebie.

Fala szeptów przetoczyła się przez świetlicę, aż wreszcie ktoś szturchnął pogrążonego w grze nauczyciela.

— Trzy bez aty, chłopaku! — krzyknął do siedzącej obok młodej wuefistki, odkładając karty —

Kto gra w karo, przegra zaro! — jego gardłowe „er” wibrowało w powietrzu, mile łechcąc uszy

— O czym pan mówi, panie kolego? — zdumiał się dyrektor.

— Że kto gra w karo... ymm — Turbol był nieco stropiony — Że... tak, oczywiście!

Balezy spróbował spleść palce na brzuchu, ale po chwili dał sobie spokój.

— Powiadasz pan, że oczywiście, tak?

— Tak.

— A może jednak nie, co?

— Może i nie, wszystko mi jedno, chłopaku. To jest Heniu... — zmarszczył czoło i szybko się poprawił. — Panie dyrektorze znaczy

37

Zmartwiałem. Oto właśnie zatoneła ostatnia deska ratunku, a ja wkrótce do niej dołączę.

— Odsuń się i spadamy — ponaglił Jacek.

— Sami spadajcie, ja za chwilę...

Usłyszałem delikatny szmer odsuwanych krzeseł. Spojrzałem za siebie. Chłopaki siedli przy stole, próbując zabić czas grą w „kamień, nożyce, papier”.

Balezy wprost promieniał szczęściem.

— Proszę bardzo, sami państwo widzicie, że nawet kolega Trąbalski nie ma nic na obronę Rodzynka.

Przez twarz Turbola przetoczyło się nagłe zrozumienie.

— Chodzi o Jasia Racyniaka? No to przecież, to przecież... — ucichł nagle, a potem przypomniał sobie, że miał poprosić dyrektora o dodatkowe godziny, najlepiej w ramach jakiegoś kółka.

Samochód się sypie, więc grosz się przyda.

— To przecież co? — zapytał Balezy z niesmakiem. Miał wrażenie marnotrawienia czasu.

— To przecież nic takiego, niech się chłopak dyscypliny nauczy, chłopaku — mówiąc, patrzył na stół. — To przecież nic...

— Toż to nie rada, a zdrada pedagogiczna! — wyrwał się Krzywka na swoje nieszczęście.

— Co też pan nie powiesz? — Balezy obdarzył go najnie-przyjemniejszym ze spojrzeń. — To my już panu podziękujemy, bo słowa, co pan tu wypowiadasz, świadczą o braku równowagi psychologicznej! — walnął pięścią w stertę papierów, coraz bardziej poirytowany

38

— Wypraszam sobie pańskie osądy! — odkrzyknął chemik.

— A ja wypraszam sobie pana z sali — Balezy wskazał drzwi. — Pójdź pan do pielęgniarki i zbadaj się na alkamacie — rzucił za wychodzącym z godnie podniesionym czołem pobladłym nauczycielem.

— To skandal! — stwierdził Krzywka i trzasnął drzwiami. Podobny huk rozległ się w mojej głowie. Prawdopodobnie usłyszałem pękanie własnego serca.

Zobaczyłem, jak Ciopek wyciąga telefon z kieszeni, mówiąc coś ściszym głosem. Pewnie umawia się z narzeczoną na obiad. Ciopek pomedytował chwilę i wyszedł, wykonując przepaszające gesty

— Wobec tego przejdźmy do głosowania — zarządził Balezy zmęczonym głosem. Opóźnienie rosło, a przecież o pierwszej ma spotkanie ze starostą. I co mu powie, że nie przeprowadził sprawnie posiedzenia, bo jakiś skandalista okoniem staje i robi wbrew? Wykluczone!

— My się zmywamy, Cyna — dmuchnął mi w ucho Plomba. — Za długo już tu siedzimy

— To się zmywajcie.

— Tobie też radzimy — Kostek usiłował wepchać głowę pomiędzy mnie a ścianę. Nie dopuściłem cwaniaka. To moja sprawa, moja rada pedagogiczna i moja dziura.

— Jak sobie życzysz, synu — sapnął Ptak. — Czekamy pod kioskiem.

Po chwili usłyszałem skrzypnięcie drzwi.

39

— Czyli tak — mruknął Balezny w mikrofon. — Kto z państwa jest za przyjęciem wniosku o relegowanie ucznia... — zerknął do ściągawki — Jana Racynika do gimnazjum w Po-temkowicach? Nauczyciele zaczęli z ociąganiem podnosić ręce.

— A ty nie jesteś za? — zapytał Wątpień siedzącego sztywno Maruszaka.

— Uczę go, chłopak jest w porządku — Maruszak wzruszył ramionami. — Nie widzisz, że to wszystko grubymi niemi szyte?

— Widzę czy nie widzę, moja sprawa. Nie uczę go, więc nie wiem — Wątpień podniósł rękę.

— Jak nie uczysz, to się chociaż wstrzymaj.

— Na poprzedniej radzie się raz wstrzymałem i raz byłem przeciw — wyliczył katecheta. — Teraz powinienem być za, prosta matematyka.

— Taak — geograf pokręcił głową. — Matematyka. A co z człowiekiem?

Wątpień nie odpowiedział, bo i po co? Głosy zostały policzone. Witaj, poprawczaku.

Patrzyłem na mamę wychodzącą z sali na miękkich nogach. Odechciało mi się wracać do domu. Odechciało mi się wszystkiego.

Drzwi skrzypnęły, więc się uśmiechnąłem ze smutkiem.

— Jednak wróciliście? Co za odwaga!

— Ano wróciliśmy — padła ponura odpowiedź. Odwróciłem się gwałtownie. Tuż za mną stał podparty

pod boki Wąsik, a obok niego wyraźnie ucieszony Ciapek.

40

— I widzi pan, panie Stefku? Mówiłem, że coś słyszałem.

— Ano, mówił pan, panie Maćku, mówił — woźny chwycił mnie za ramię. — Włamanie do szkoły, patrz pan, co za bandzior.

— To przesądza sprawę — matematyk zatarł dłonie. - Ano, przesądza...

Rozdział 4.

Zdzisiek Żardelko

Pożegnanie było smutne jak pogrzeb w deszczu. Rodzina odprowadzała mnie do autobusu niczym skazańca jadącego na dwadzieścia lat do kamieniołomów. Brakowało orkiestry grającej marsza żałobnego i wieńców ze świerkowych gałęzi. Dobrze, że chociaż Dyzio został w domu. Już tęskniłem do tej głupiej psiej mordy

Na domiar złego, choć szyja mnie bolała od wykręcania, nigdzie nie widziałem Ani. A jeszcze dzisiaj rano płakała i przysięgała, że pojedzie ze mną do „samych Potemkowic”, żeby osłodzić „te straszne chwile”. No i masz, człowieku, wspólną jazdę i osładzanie.

— Nie martw się, synu — pocieszał mnie zasapany Kostek, który przybiegł przed minutą zaledwie. Pod pachami koszulki rosły mu ogromne plamy potu. — Może jeszcze zdąży... albo może coś jej wypadło?

Jasne, że jej coś wypadło. Ja jej wypadłem z planów na najbliższe pół roku, pomyślałem, czując, jak niewidzialna dłoń ściska mi gardło. Podeszliśmy do wózka z lodami, żeby swobodnie porozmawiać.

Glut w swoim mniemaniu też się zaliczał do grona potrzebujących swobody, lecz mu to mniemanie szybko wybiłem z głowy

42

_ Idź pilnować autobusu, żebym wsiadł we właściwy

— Ale jeszcze nie ma żadnego — Krzysio szedł pół kroku za mną, próbując wziąć mnie za rękę.

— No to wypatruj.

— Gdzie?

— Na niebie — odrzekłem, zatrzymując się.

— Aleja...

— Jazda do mamy! — pokazałem palcem na czytającą rozkład jazdy rozdygotaną kobietę.

— To już wolę do taty — obraził się Glut i odszedł przygarbiony
Zażyczyłem sobie dwie Owocowe Piramidy, bo wypadło zafundować koledze. Na brata nie było
mnie stać, musiałem oszczędzać do piątku.
Znudzony lodziarz w białym fartuchu i czapce z daszkiem pokazał w uśmiechu końskie zęby, podał
lody, po czym zagaił:

— Lody, lody dla ochłody. Moja babcia chorowała, zjadła loda — wyzdrowiała.

— Ile się należy? — zapytałem, nie widząc cennika.

— Sam minister wylaź z wody, żeby kupić u mnie lody! — wykrzyknął lodziarz, po czym
wyciągnął zza pazuchy cennik.

Na szarej tekturze wypisano wołami: WANILIOWE 5 ZŁ, ŚMIETANKOWE 5 ZŁ, OWOCOWA
PIRAMIDA 10 ZŁ 1 PORCJA.

— Co?! — zdębiałem. — Pan chyba żartuje?

— Za tyle to nawet turysta z Japonii się przestraszy — dodał Ptak.

43

Li tO l

Łnątem.

I

Spojrzałem na lepkie strużki spływające mi po dłoni. Cukier i barwiona woda.

— Rezygnujemy — oświadczyłem, odkładając lody na chromowany blat.

— Chwilunia, za towar ruszony należy się zapłata — lodziarz przestał się popisywać
rymowanekami. — Wskakiwać z kasiawki, panowie!

— Niech pan zawoła tego ministra, co u pana kupuje, może on wyskoczy — odpyskował Kostek.

— Zaraz zawołam, ale policję — zagroził. — Nie dam się robić w bambuko.

— Tak jest, policję — powiedziałem, odciągając Kostka. — I jeszcze SANEPID, żeby zbadali te
mrożone salmonelle po dysze. Do widzenia.

Mężczyzna burknął coś nieprzyjemnego i odjechał wózkiem spory kawałek dalej.

44

— Widziałeś ty cwaniaka? — powachlowałem się dłonią. Prawie południe i ukrop leje się z nieba.
Zdjąłem plecak. — O czym rozmawialiśmy, Kostek?

— Mówiłem, żebyś się nie martwił Anką — przypomniał.

— A kto tu się martwi? — machnąłem ręką. — Przynajmniej będę mógł spokojnie poczytać gazetę
w autobusie, w końcu to prawie pół godziny jazdy.

— Co racja, to racja — stwierdził Kostek, nie kryjąc podziwu dla mej twardości. Żeby wiedział,
jaka jest prawda, kulałby się ze śmiechu po chodniku. — Ale dziwię ci się, że jedziesz autobusem,
synu. Starzy by cię zawieźli jak panisko, a i jeszcze jakiś fajny pokój załatwili.

— Mhm, z widokiem na morze albo góry Do wyboru — westchnąłem. — Podobno naprzeciwno
internatu jest jakaś rzeźnia, albo co?

— Skąd wiesz?

— Coś czytałem. A poza tym chłopaki z Klanu przysłali kartkę Bykowi — wyjaśniłem. — Z
zaproszeniem, ale nie chciał skorzystać.

— Znaczą się Slipek?

— Znaczą się on.

Mama pokiwała do nas przyzywająco, więc zarzuciłem plecak na ramię i ruszyliśmy w stronę
stanowiska trzeciego, z którego o dwunastej jedenaście odjeżdżał autobus do Po-temkowic. Czyli za
parę minut.

— Może jednak dasz się zawieźć? — zapytała, gdy podeszliśmy

45

— To samo mówię — podlizzał się Kostek. — Ale to uparta bestia.

— I łobuz — wtrącił ojciec gniewnie. — Z ciebie Kostek też nic dobrego.

— To już pan przesadził, proszę pana — zjeżył się Kostek. — Janek jest niewinny jak aniołek, a ja
jeszcze bardziej.

— Jak ten pan z lodami? — zapytał Glut, kołysząc się na piętach.

— Powiedzmy, że ten pan z lodami się nie liczy — wtrąciłem. — Kostek jest niewinny jak... ptak! Albo nawet pte-rodak...

Umilkłem, bo zdawało mi się, że widzę Anię i serce załopo-tało mi w piersiach. Po chwili okazało się, że to jakaś inna, trochę podobna dziewczyna.

— To jak? — Ojciec zabrzęczał kluczykami od samochodu.

— Nie jestem dzieckiem, sam trafię — opuściłem głowę, walcząc z czarnymi myślami. Kusiło mnie, żeby powiedzieć rodzicom, że się boję, i że wcale nie chcę nigdzie jechać. Dlaczego nie przeprowadzimy się na drugi koniec Polski i nie zaczniemy wszystkiego od nowa?

— Zobaczysz, tydzień zleci, a w piątek do domu — pocieszył Kostek. — Też bym chętnie zamieszkał w internacie, zamiast całymi dniami ślęczeć nad matmą.

— Możemy się zamienić — zaproponowałem. Na horyzoncie pojawił się autobus.

— Błagam cię, mamó, ja muszę iść!

46

— Mówiłam już sto razy, ale powtórzę po raz sto pierwszy — smukła blondynka w błękitnym szlafroku była stanowcza. — Nie pozwolę ci w niedzielę biegać po mieście za jakimś chłystkiem — nie patrząc na córkę, odkręciła buteleczkę z lakierem do paznokci.

— Mamó, to Janek Racyniak, a nie chłystek — oburzyła się Ania. Od pół godziny była gotowa do wyjścia, a w kieszeni miała uszykowany prezent na rozstanie. Mały albumik ze swoimi najlepszymi zdjęciami z wakacji. — Mój chłopak.

— Na chłopaka, moja droga, przyjdzie czas — pani Piętaś opanowanym ruchem dłoni pokryła lakierem pierwszy paznokieć. Efekt mało zadowalający, skrzywiła się. — W trzeciej klasie powinnaś mieć głowę tylko i wyłącznie do nauki. Jasne?

— Ale przecież...

— A poza tym nie pozwolę dziecku na przyjaźń z kryminalistą. Najpierw rozbój, a potem co? Zamorduje kogoś? — spojrzała córce w oczy. — Podaj mi zmywacz.

Ania zerknęła na ścienny zegar i poczuła rosnący ból w żołądku. Jedenasta pięćdziesiąt dziewięć. Już nie zdąży.

— Oddaj mi telefon, mamó — poprosiła.

— Jak ci przejdzie — kobieta pokręciła głową.

— Jak co mi przejdzie?

— Głupota.

Odprowadziłem wzrokiem malejące postacie. Kostek odszedł chwilę wcześniej, Glut huśtał się beztrząsco na metalowej barierze, a rodzice wyglądali, jakby im dołożono po

47

dziesięć lat do życiorysu. Ale ja przecież jestem normalnym, porządnym człowiekiem. Jestem?

— Lopez — szepnąłem. — Pomóż mi, draniu...

— Słucham? — zainteresował się siedzący obok mnie żyłasty facecik o posturze koguta liliputa. — Mówił żeś do mnie, młodzieńcze?

Młodzieńcze? Gościu ma chyba ze sto lat, skoro używa takich określeń. I ten akcent!

— Nie, gadam sam do siebie — sięgnąłem do plecaka po ilustrowany tygodnik „Praca Detektywa”. Muszę przestać kupować drogie czasopisma, bo pójdę z torbami.

— Aha — wyszczerzył białutkie zęby współpasażer. — To się chyba leczy, no nie?

Wzruszyłem ramionami. Za oknem autobusu przesuwwały się leżące na peryferiach Trombolina ogródki działkowe. Niosąca kosz pełen pomidorów dziewczynka w letniej sukience przystanąła i pomachała podróżnym.

— Lubisz basketball²? — zagadał Żyłasty

— Nie wiem, nigdy nie jadłem — zasłoniłem się tygodnikiem.

— Hi, hi, dobry joke³ — zachichotał mężczyzna. — Ja uwielbiam. To moja miłość! — klepnął się w widniejącą na koszulce głowę rozjuszonego byka. Chicago Bulls — głosił czerwony napis.

— Pan z USA? — zdziwiłem się, odkładając „Pracę Detektywa” na kolana.

²Basketball — (ang.) koszykówka. ³ofee — (ang.) żart.

— Z Chicago — pogładził dłonią wygoloną głowę. Zerknąłem na półkę. Stała na niej niewielka torba podróżna z dermy, pełna hotelowych naklejek.

— Aha — wróciłem do czytania, zastanawiając się jednocześnie, co robi Amerykanin w tym autobusie.

— Jadę od Zielona Góra do Potemkowice — oświadczył, jakby wiedział, o co mógłbym zapytać.

— Tam pochowany mój grandpa. Stary mój dziadek, co tu przyjechał po wojnie. Tej drugiej.

— Aha.

— Nierozmowny, co? My pare jest Edi — wyciągnął łapsko.

— Zdzisiek Żardelko — podałem mu dłoń z niechęcią. Nie mam zwyczaju bratać się z dorosłymi, w dodatku w autobusie. Skórę miał ciepłą i suchą.

— Hi, hi — zachichotał ponownie. — Zabawne nazwisko. Very/инпы4.

— Mnie też to bawi — odsunąłem się pod samo okno, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie mam ochoty kontynuować pogaduszek.

— A ty, Zdzisiek, po co jedziesz do Potemkowice? Ostentacyjnie przewróciłem stronę w gazecie. Żyłasty Edi, nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczął kontemplować uroki ciągnącego się wzdłuż drogi lasu.

— No witam kolegę — rzucił patrzący spode łba przyszczaty chłopak w wytartych dżinsach.

4Veryfiinny— (ang.) bardzo śmieszne.

49

— Cześć, Gnida — burknął wchodzący i zaniósł się suchym kaszlem. — Co tak siedzisz przy tym stole? — zapytał, gdy odsapnął.

Gabryś Gnitecki postukał palcem w zapisaną kartkę.

— Obmyślam różne rzeczy, panie Guzek. Arcyciekawe. Chorowity Guzek wrzucił plecak do szafy i zdjął buty

— Taak? A jakie?

— Umyj nogi, to ci powiem, śmierdzieliu.

— Powiedz teraz, bo tak będę stał — zagroził Guzek, po czym kaszlnął nerwowo. Na przepustce wakacyjnej postanowił się znarowić. Ileż można dawać sobą pomiatać.

— Niech ci będzie — zmarszczył się Gabryś. — Napisałem, jak można umilić życie naszemu koledze.

— A co, jednak Cyna przyjeżdża?

— Przyjeżdża, ale Cyna już mu nie pasuje. Wymyśliłem inną ksywkę.

— Ciekawe jaką? — Guzek zakaszłał i zdjął skarpety

— Mielony.

— Dlaczego akurat mielony, nie kapuję — chuderlak zdjął z haczyka ręcznik, rozglądając się za mydłem.

— Bo go tu zmielimy, kochasiu — w oczach Gnidy błysnęła stal, — Na drobno.

Rozdział 5.

Witamy w piekle

Pan Edi zaproponował, że odprowadzi mnie tam, gdzie się udaję. Odmówiłem.

— Na pewno nam nie po drodze — powiedziałem, zeskakując ze stopnia autobusu.

— No, jak nie, to nie — wyszczerzył się Amerykanin. — Good luck⁵, Zdzisiek!

— Wesolego chodzenia po cmentarzu! — pomachałem mu w odpowiedzi.

Pragnąłem jak najprędzej zgubić natręta, ale nie było takiej potrzeby Wsiadł do pierwszej z brzegu taksówki i sam się zgubił. Miałem nadzieję więcej go nie spotkać i srodze się wkrótce zawiodłem, niestety

Potemkowice znałem tak, jak się zna sąsiednie miasto, w którym nieczęsto się bywa. Czyli nijak.

Dworzec autobusowy i okolice, to wszystko. Teraz będę mógł się napawać potemkowickim widokiem i wdychać potemkowickie powietrze do oporu. O ile pozwolą mi wychodzić.

Stanąłem na rogu ulicy, niezdecydowany, co dalej robić. Zasięgnąć języka u tubylców czy kupić w kiosku plan miasta? Przypomniało mi się, że mam oszczędzać. Good luck — (ang.) powodzenia.

Telefon milczał, więc na początek zaoszczędzę na rozmowach z Anią. Pierwsza korzyść z bycia rzuconym przez dziewczynę. W weekendy zamiast spacerować po Tromboli-nie, będę mógł się powłóczyć z chłopakami — druga korzyść. Bardzo pocieszające, westchnąłem ciężko.

W zasięgu wzroku nie było żadnego kiosku, za to przechodniów pod dostatkiem. Postanowiłem zapytać o drogę kogoś wyglądającego staro i inteligentnie, żeby mnie nie skołował. Kołowanie przyjezdnych to specjalność tubylców, zwłaszcza młodych. Ileż to razy posyłałem zagubionych kierowców na manowce! Pewnie niektórzy po dziś dzień błąkają się gdzieś po Kaczycach Dołach albo na łąkach przy Podmokłej.

W oczekiwaniu na odpowiednią osobę zerknąłem tu i tam, by porównać mój Trombolin z tą zapadłą dziurą.

Im dłużej porównywałem, tym kwaśniej szą miałem minę. Wiedziałem, że nie ma sprawiedliwości na świecie, ale żeby aż tak?

Zgodnie z zakorzenionym we mnie lokalnym patriotyzmem Potemkowice powinny być biedne, szare i żałosne. Tymczasem były zadbane, pełne eleganckich sklepów i odremontowanych kamienic. Z okna parteru, tuż nade mną wychylała się wsparta na poduszce kobieta bardzo obfitej urody w zielonej bluzce. Udałem, że na nią nie patrzę.

— Przepraszam pana — zaatakowałem siwobrodego staruszka w białym garniturze i słomkowym kapeluszu. — Szukam ulicy... eee... Masarników Chyba. Gimnazjum z internatem.

— Co?! — krzyknął staruszek, pryskając wokół śliną. — Twoim bratem?

52

— Moim bratem? — ściągnąłem brwi. — Nic nie mówiłem o bracie. — Nie rozumiem — przyznał staruszek. — Na co zbieracie?!

— Czy ja za cicho mówię?

— Za cicho mówisz, ja nie słyszę dobrze!

— To się nie dogadamy, do widzenia — skinąłem nieznacznie głową i poszedłem dalej. W stronę kościelnej wieży Staruszek zdjął kapelusz, trzepnął nim o kolano i uklonił się wyglądającej przez okno.

— Witam panią Zosieńkę!

— Dzień dobry — odpowiedziała chrapliwie. — Z pana to jest kawalarz, panie Ziutku.

53

— E tam, zaraz kawalarz — staruszek błysnął białą sztuczną szczęką. — Prędzej kawaler, bym powiedział. Tyle że z odzysku.

— A coś pan tak głuchego udawał przy niedzieli?

— Bo widzi pani Zosieńka — przyglądał kozią bródkę — zaczyna się od pokazania drogi, a kończy na pożyczaniu pieniędzy A na co mi to? Prędzej bym wołał panią Zosieńkę na piwko z pianką zaprosić. I na kiełbaski.

— No to zapraszaj pan — podochociła się kobieta.

— Z miłą chęcią, ale lekarz zabronił mi piwka. Smażonego też jeść nie mogę. Żołądek nie ten, co kiedyś.

— To co mi pan Ziutek głowę zawraca?

— No bo pogoda ładna, to i pogadać trzeba — staruszek włożył kapelusz i odszedł spacerowym krokiem.

Ulica nie była długa. Doszedłem nią aż do kościoła, przy krzyżu skręciłem w wybrukowaną wąską uliczkę, a potem stanąłem niezdecydowanie pod metalowym słupem.

— Ej, młoda! — machnąłem ręką do mniej więcej siedmioletniej rowerzystki z lizakiem w ustach.

— Poczekaj!

Kolorowe koła z szurnięciem przyhamowały na wyslizganej kostce. Dziewczynka miała krótkie czarne włosy z niebieską spinką w kształcie motyla i niebieskie ogrodniczki. Na umazanej lizakiem brodzie widniały przyklejone okruszki ciastka. Łasuch, jednym słowem.

— A ty co, stary? — wyjęła lizaka i natychmiast wykrzywiła się w małpim grymasie.

— Nie udawaj szympansa, to nie zoo — pokazałem język.

— A ty nie pokazuj języka, bo ci krowa nasika — od-szczeknęła się.

Po tym pokazie dobrej woli i przyjaznych gestów nadszedł czas na konkrety

— Szukam jednej ulicy — uśmiechnąłem się. — Pomożesz mi?

Pokiwała głową, że pomoże.

— Masarników się nazywa — pociągnąłem nosem. — Nie kupiłem planu miasta, bo to takie miasto, że planów nie sprzedają.

Dziewczynka spojrzała na mnie, spojrzała na słup, a potem postukała się po czole.

— Głupi to ty jesteś, co nie?

Szczęka mi opadła na taką bezczelność. Dziewczynka zaśmiała się diabelsko, wsiadła na rower i tyle ją widziałem. Odwróciłem się z zadartą głową. Na słupie umocowano tablicę z małym herbem Potemkowic, czyli murem obronnym z basztą, i napisem: ulica Masarników. Głupi to ja jestem. Ślepy również.

Kawałek dalej rozciągało się siatkowe ogrodzenie, a za nim kompleks budynków z wielkimi oknami. Po drugiej stronie ulicy widniał

dłu gi ceglany barak z metalowymi drzwiami, zapewne owa rzeźnia. Za nim kilka podobnych.

„Samorządowe Gimnazjum nr 5 im. generała Sławomira Borewicza w Potemkowicach. Internat SG nr 5" — widniało nad wejściem. Ani słowa o poprawczaku, trudnej młodzieży i pokucie za grzechy. Pociągając, odetchnąłem z ulgą.

Bramka była zamknięta, wobec czego wcisnąłem dzwonek domofonu. Po chwili ze świstów i chrobotów wyłowilem zapytanie:

— ... em, no co tam?

— Ja w sprawie przeniesienia — powiedziałem, pochyliwszy się mocno. Dla przedszkolaków ten domofon, czy jak?

Za moimi plecami przejechał samochód z podskakującą na wybojach przyczepą.

— Co przyniosłeś? — głos należał do młodej osoby.

— Nico! — krzyknąłem, ponieważ akurat przejeżdżał ambulans na sygnale. Niby boczna uliczka, a ruch jak w Nowym Jorku.

— Jak nico, to spadaj, koleś! — zachrzącało solidnie i głośnie umilkł.

Jeszcze nie wszedłem, a już zaczęło mi się podobać. Najwyraźniej świry przejęły władzę nad światem. I w to mi graj, jest z kim walczyć.

Gabryś Gnitecki podniósł lornetkę do oczu.

— Już jest — ucieszył się. — Widziałeś, Manik, jak wyliczyłem? Prawie jak w szwedzkim zegarku.

— Dlaczego akurat w szwedzkim? — zdziwił się ziewający dotąd z nudów Patryk Manik.

Wyciągnął rękę po lornetkę,

ale Gnida go zignorował. Na pucułowatych policzkach Ma-nika rozkwitł rumień gniewu.

— W szwedzkim, bo na szwajcarski mnie nie stać, głą-bje _ pryszczaty chłopak czuł narastające podniecenie i nienawiść. Upadek Klanu i pobyt w tej niechlubnej instytucji mocno mu doskwierał, a sprawca wszystkich nieszczęść stał właśnie przed furtką. — Mogłeś jeszcze niżej umocować domofon, Guzek. Za mało się pochyla.

— Dlaczego nie wchodzi? — Guzek zignorował zarzut. Dopiero by mu kierownik Kierol dał popalić. Miał tylko w ramach dyżuru poprawić mocowanie urządzenia, bo dzień wcześniej nieznanemu sprawcy niemal dokumentnie wszystko porozkręcali. Guzek zakaszłał, uśmiechnął się do swoich myśli i usiadł na tapczanie. Kiedyś Cyna wreszcie przyjdzie i wtedy się na niego napatrzy. Gabryś podał Manikowi lornetkę i odpowiedział po chwili milczenia.

— Już się tam Leszczu na dyżurce z nim pobawi w kotka i myszkę. Wejdzie, jak się porządnie spoci. Albo zacznie błagać.

— Kierol coś usłyszy i afera gotowa — Manik oblizwał wargi, obserwując drepcącą w miejscu, zniechęconą sylwetkę.

— Kierola jeszcze nie ma, debilu. Niedziela przecież. — Gnida pociągnął z kartonu łyk soku. Miał

lekkie winny posmak. Przydałaby się lodówka w taki upał, ale poprawczak to nie hotel, jak mawia Kierol. A Omszały ma lodówkę. Gdzie tu sprawiedliwość?

57

— To kto nas pilnuje?

— Nie wiem. Rano byli Rudy z Wapniakiem, to pewnie jeszcze są. Zmiana dopiero o piątej.

Guzek popatrzył na zegarek.

— Siedem minut go trzyma. Na ile się umawiałeś?

— Na dwadzieścia — odpowiedział Gnitecki, zaciskając usta.

Miałem dosyć siedzącego po drugiej stronie drutów idiota. Gdyby nie sytuacja, odszedłbym, złorzeczając pod nosem, ale musiałem wytrwać.

— Wpuścisz mnie czy nie?! — krzyknąłem pochylony czując narastający ból w plecach. Prędej mi garb wyrośnie, niż się z kimkolwiek dogadam. Głośniczek pisnął przejmująco, a potem zachrobotał.

— ... tole mów ... aźniej!

Dałbym sobie rękę uciąć, że ten koleś od otwierania furtki celowo zatyka sobie usta co pół słowa. Chyba że jest to jakieś inne gimnazjum, dla umysłowo ociężałych i po prostu źle trafiłem. Ale nie, Masarników jak byk!

Myślałem, że będą problemy z wychodzeniem stąd, a tymczasem nie mogę wejść. To nienormalne. Popatrzyłem uważnie na furtkę. A potem jeszcze raz.

— Niech go diabli! — Gnitecki rzucił lornetkę zaskoczonemu Manikowi.

— Co się stało? — pucułowaty ponurak wyregulował ostrość. — Gdzie on się podział?

58

— Przeskoczył — rzucił Gnida opryskliwie. — Tego nie przewidziałem.

— Już myślałem, że coś z nim nie tak — zaśmiał się Guzek. Zatkło go od tego śmiechu, więc odczekał chwilę, spokojnie oddychając. — Cały Cyna, jakbym go widział.

— Zamknij się, ty kaszłący truposzu! — rozeźlił się Gabryś. — To dopiero początek...

Wytarłem dłonie o spodnie. Jednak coś mi z tej niesamowitej Lopezowej skoczności pozostało. Może na zawsze.

Podniosłem plecak i lekkim krokiem podszedłem do drzwi wejściowych. Samorządowe Gimnazjum nr 5 im. generała... Gdzie jest w takim razie internat?

W oknie odległego budynku rozbrzysnął refleks światła. Błysk, chwila przerwy i znowu. I jeszcze raz.

Albo ktoś rusza oknem, nadając alfabetem Morse'a, albo... Lornetka? Pobiegłem w tamtą stronę. Internat Samorządowego Gimnazjum Nr 5 w Potemkowi-cach. Nareszcie trafiłem, gdzie trzeba. Trzy przyciski kolejnego domofonu były podpisane. Górny — kierownik internatu, środkowy — pokój wychowawców, dolny — portiernia, dyżurny portierni. Dyżurny portierni? To zapewne on przetrzymał mnie tak długo.

Wcisnąłem górny. Nic. Wcisnąłem środkowy

— Taak? — zapytał senny głos.

— Mam tu skierowanie...

— Wlazł — buczenie przy zamku poinformowało mnie, że oto jestem wpuszczony.

59

Wszedłem, czując, jak przechodzi mi wszelkie chojractwo. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Zadygotałem.

— Cześć, Cyna — przywitał mnie stojący na szczycie kilkustopniowych schodów chłopak z czerwoną opaską na ramieniu. Dyżurny

— My się znamy?

— A nie? Dziwne — mruknął mało zrozumiale.

Teraz go poznałem. Niejaki Leszczyński z Klanu Zaufanych. Leszczu.

— I co powiesz? — zagaiłem, człapiąc po schodach. Leszczyński rozciągnął usta w płaskim uśmiechu.

— Witamy w piekle, Cyna. Witamy w piekle.

Rozdział 6.

Cyna jak żywy

Nie powiem, żeby mi się spodobało przywitanie w wykonaniu tego chłoptasia. Ale strachy na Lachy, jak mówi starożytne przysłowie. Nie dam się przestraszyć byle Leszczyńskiemu.

— Żeby wejść dalej, musisz zapłacić wpisowe — wspomniany Leszczu stanął przede mną w postawie żebraczej. — Dwie dyszki.

— Z rabatem? — zapytałem, czując wzbierającą adrenalinę. Plecak był ciężki, a poza tym chciałem się już zamontować w pokoju i zacząć odliczać dni do końca półrocza.

— Z rabatem to będzie... — brwi dyżurnego ułożyły się w literę Y — Jakies...

— Zabierz łapsko — odsunąłem go z drogi. — Żartowałem. Nie będę ci płacił.

— Pożałujesz — nabzdyczył się Leszczyński. — Mógłbym poświadczyć, że masz dobrą wolę.

— A ja wolę, żebyś niczego nikomu nie poświadczał. I odwal się na początek.

Dyżurny postanowił nie dawać za wygraną. Ucapił mnie za plecak, usiłując przewrócić na podłogę. W półobrocie odpiąłem pasek i napastnik stracił równowagę, zatańczył niezgrabnie, po czym upadł z miękkim plaśnięciem.

61

Usiadłem mu na piersiach, wbijając kolana we flakowate bicepsy

— Zapamiętaj sobie, ryju, że nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie — wysapałem w wykrzywioną twarz. — Nie zrobię ci krzywdy Jeszcze nie — przełknąłem ślinę. — A teraz powolutku wstaniemy i grzecznie mnie zaprowadzisz do kogoś, kto tu rządzi. Fersztejen?

— Tu rządzi Gni... — wysyczał Leszczyński.

— Ja tu rządę — odezwał się męski głos. Poderwałem się żwawo, pomagając powstać dyżurnemu.

W holu, obok wielkiej donicy z olbrzymią agawą, stał dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony rudowłosy mężczyzna w dżinsach i koszuli w kratę.

— Widzę, że się aklimatyzujesz — ni to stwierdził, ni zapytał. — Ty jesteś pewnie ten Janek od Balezego.

— Janek Racyniak — podsunął Leszczu. — Dawniej Cyna, a od dzisiaj Mie...

— Bardzo miło, że masz tyle do powiedzenia — przerwał mężczyzna. — Ale nie ciebie pytałem, Leszczyński.

— Ja tylko... — dyżurny spuścił wzrok.

— A kto pilnuje portierni? Wiesz, ile ci grozi karniaków za samowolne opuszczenie stanowiska?

— Ale p-panie Ru... ru... — zapowietrzył się Leszczyński. — Panie W-witku, ja chwilowo, nowego wpuścić i w ogóle...

— Brał od ciebie jakieś pieniądze? — pan Witek spojrzał na mnie badawczo.

— Absolutnie nie — odpowiedziałem zgodnie z praw-

62

da. — To sympatyczny chłopak, proszę pana — podniosłem plecak. — Szczery i bezpośredni.

— No, no — mruknął rudowłosy — Oczywiście. Kiwnął głową na Leszczyńskiego, żeby zmiatał. Leszczyński zmiotł natychmiast.

— Witold Rudziawka — przedstawił się. — Jestem tu wychowawcą, dasz wiarę? — W oczach rudowłosego zamigotał smutek. — Chodź — westchnął — spiszę twoje dane i zaprowadzę na salony No, a za piętnaście minut obiad.

Wydawał się nad wyraz miłym człowiekiem. Na krótką metę.

— Gdzie jest mój bloczek, Manik? — Gnitecki nerwowo przerzucał ubrania.

— Jaki bloczek? — zapytany uniósł leniwie głowę znad poduszki.

— Obiadowy — warknął Gabryś. — Nie udawaj głupka, głupku.

— Na pewno ci skubnął — ożywił się gryzmołacy w notesie Guzek. — Ja bym go zrewidował.

— Nie słuchaj go — bronił się Patryk. Nie mógł sobie pozwolić na bijatyki, bo trafi do izolatki. Od lipca wyłapał już dziewięćdziesiąt pięć punktów karnych i na tym koniec.

— No dobra — burknął Gnida, odgarnawszy koszule. — Są wszystkie, nawet te lewe. Swoją

drogą...

Rozległo się natarczywe stukanie do drzwi. Gabryś mrugnął do Guzka, by ten pofatygował się i otworzył. Nie wolno

63

im było zamykać się na patent, ale mieli w nosie ten zakaz. I wiele innych.

— To... to kompletny wariat! — jęczał w progu zasapany chłystek z pokrytymi żelem włosami. — Nastukał Leszcza i przysłał mnie, żebym wam powiedział...

— Żelu, co ty fanzolisz? — zdumiał się Gnida. — Kto nastukał Leszcza?

— Cyna — chłopak przecisnął się obok pokąsującego Guzka. — Cyna nastukał. Rzucił się jak bestia i Rudy go zakwaterował...

Gnitecki wyprostował się z gniewem w oczach. Podbita kolanem półka runęła na podłogę wraz z ubraniami.

— Cyna nie istnieje, pamiętasz? — zapytał Manik, czyszcząc poślinionym palcem czubek buta.

— I w ogóle powtórz wszystko jeszcze raz z jakąś logiką, bo cię rozgniotę jak zdechłą wesz — syknął Gnida, trąc kolano.

— Rudy Cynę wpuścił, Mielonego znaczy — Żelu oblizwał wargi, patrząc łakomie na karton z sokiem. — Orange... Kurczę, jak tu gorąco!

— Patryk, weź go palnij w dynię, zanim ja to zrobię — zdenerwował się Gabryś, patrząc na zegarek. — Powinniśmy schodzić.

— Nie, nie — nazelowany chłystek wsadził ręce w kieszenie. — Mielony wszedł, a Leszczu chciał go skasować na zwyczajowego piąta, no to ten Leszcza obezwładnił i mu nastukał — oczy chłopaka błdziły po kartonie. — Na to przyszedł Rudy i go zabrał. Leszczu mnie wysłał, bo musi

64

I

siedzieć na dyżurce — szczupłe dłonie wyskoczyły z kieszeni, a rozcapierzone palce zacisnęły się na kartonie. Na stół chlusnęła żółtawa ciecz.

Żelu spojrzął z rozpaczą na zalany notatnik Gabryś, kwiknął cichutko i zwiął, zanim ktokolwiek się odezwał.

— Szybki jest — odkaszlnął sucho Guzek. — Niech go zaraza! Jak to się stało, że powtarza pierwszą klasę? Z taką szybkością działania powinien kończyć studia.

— Swoją drogą, mógłbyś coś z tym kaszlem zrobić — burczał Gnida, wycierając ręcznikiem okładkę zeszytu. — Do lekarza idź, albo co.

— Ja? — zdumiał się Guzek. — A czy ja kaszlę?

Wchodziłem za panem Witkiem krętymi schodami wypucowanymi na błysk. Mógłbym się w nich przejrzeć i ogolić. Gdybym miał zarost. Zapach środków czystości oraz czegoś nieokreślonego przyprawiał mnie o mdłości.

Przemykający grupkami chłopcy zerkali na mnie ciekawie, szepcząc coś niezrozumiale. Zupełnie jak ten koleś siedzący przy stoliku na początku korytarza pierwszego piętra.

— Mówiłeś coś? — zjeżyłem się, obdarzywszy wspomnianego ciężkim spojrzeniem.

Koleś zbladł i spuścił wzrok na zadrukowaną kartę.

— Nic — bąknął cicho.

Wychowawca obejrzał się, po czym pokręcił głową.

— Zielonka, na jutro regulamin odwiedzin na śpiewająco — rzucił gniewnie. — Zrozumiano?

65

— Tak jest, panie wychowawco! — wyprężył się Zielonka.

Zrozumiałem, czym było to nieokreślone w powietrzu. Nienawiść i strach. Poczulem zimno.

— Pokój sto piętnaście — oznajmił pan Rudziawka. — Twój cały świat na kilka lat!

— Ja tylko do półrocza, proszę pana — wyjaśniłem, gapiąc się na wymalowane czarną farbą cyfry: 115 — mój szczęśliwy numer.

Pokój nie był zamknięty, choć najwyraźniej zamieszkały przez oszalałych na punkcie porządku osobników. Uśmiechnąłem się z politowaniem. Ja od przeprowadzki nie zdążyłem tak swojego wysprzątać i nie zanoszi się, by mi się to udało przed trzydziestką.

Trzydrzwiowa szafa z lustrem. Trzy brązowe tapczany przykryte szarymi kocami. Stół i trzy kryte brązowym materiałem krzesła. Kawalek brązowej wykładziny w szachownicę. Trzy pomalowane olejną farbą brązowe szafki przy tapczanach. Na ścianie obok drzwi regulamin w drewnianej ramie. Nic więcej.

— Nieźle, co? — pan Witek szturchnął mnie, bym wszedł.

— Czy ja wiem? — westchnąłem, rozglądając się za wolnym tapczanem. Na tym za szafą koc był złożony w kostkę, uznałem więc, że jest wolny, i rzuciłem nań plecak. — A dlaczego tu nie ma żadnych plakatów ani lampek nocnych?

— Bo w nocy się śpi — wyjaśnił rudowłosy mężczyzna. — Daj skierowanie.

66

Podąłem wygnieciony druczek i nagle usłyszałem sygnał wiadomości. Głos z zaświatów. Wyjąłem telefon, zerkając na wyświetlacz. To od Ptaka. Z bijącym sercem wcisnąłem klawisz. „Synu, ale sensacja, chyba padniesz i nie wstaniesz!!! Sam w to nie wie...”

— Telefonów też się nie używa — wychowawca wyłuskał mi z dłoni aparat, nim zdołałem przeczytać wiadomość. — W pokoju kierownika jest aparat do rozmów z rodzicami.

— Jak to? Nie może mi pan zabrać komórki! — machnąłem ręką.

Rudy chwycił mnie za nadgarstek i ścisnął boleśnie.

— Tutaj nie wymachujemy wychowawcy przed twarzą, kapujesz, Mielony? Niczym!

— Jaki mielony? — nie rozumiałem o czym mówi. — Proszę mi oddać telefon! — przyjąłem bojową postawę. — Natychmiast! To moje prawo...

— Oprócz prawa do ścisłego wykonywania poleceń wszelkie inne prawa zostały ci odebrane — przerwał pan Witek. — Indywidualne telefony są tu zakazane. I nie ma wyjątków.

— Ale... ale... — spłynąłem na krzesło. — Ale nawet nie będę wiedział, która jest godzina — jęknąłem płaczliwie. — I się spóźnię...

— Regulamin nie pozwala się spóźniać — wychowawca zmrużył oczy, a potem potarł czoło. — Wychodzimy na stołówkę. A co do zegarka, napisz do rodziców, niech ci przyślą taki na rękę. Wszyscy tu noszą ręczne zegarki. Nie zauważyłeś?

Oszołomiony, dałem się wyprowadzić na korytarz. Zaczynałem się dusić ze strachu.

67

Gabryś postawił tacę na stole, zdjął talerze i skinął Żelowi, że może odnieść ją na miejsce. Miły chłopak z tego Grzesia, uśmiechnął się.

— Niedziela — wytarł łyżkę o koszulkę — to i obiad jak w domu — z błogą miną siorbnął rosółu.

— Mmm... niebo i anioły w jednej misce.

— Ty nie masz domu — skrzywił się Manik.

— A ty masz, pólseroto? — odparował Gnida. Bezrobotny Manik senior dorabiał do zasiłku zbieraniem złomu i butelek, a pani Manikowa trzy lara temu wyjechała w nieznane, nie dając do tej pory znaku życia.

W porównaniu z Patrykiem Gnida miał u babci komfortowe warunki. Kieszonkowe, własny pokój i święty spokój. Aż do tej pory.

— Szkoda, że makaronu mało — wybrzydzał Guzek, który wybrzydzenie miał zapisane w genach. Jego ojciec był braka-rzem w fabryce butów „Tornado SA.” w Trombolinie, utrzymującej miejscowy klub piłkarski. Stary Guzek wybrzydzał na co dzień w pracy i przynosił to wybrzydzenie do domu, aż pewnego dnia nie zastał w nim ani żony, ani syna jedynaka. — O, a na drugie udko z kurczaka. Znowu udko z kurczaka. Daliby schabowego albo na przykład łazanki.

— Zamknij się i jedz, bo mi się niedobrze robi od tego gładzenia — Manik miał serdecznie dosyć pokasującego cherlaka. Chamskiego Gnidy również. „Że też nie mogli mnie umieścić w pojedynce, jak Omszałego?” Potem przypomniał sobie, że w porównaniu z Omszałym jest tylko zwykłym szkolnym kombinatorem. — Możesz mi oddać, jak ci

68

nie pasuje — wyciągnął rękę po talerz. — I tak się muszę dopychać chlebem.

— Czy ja powiedziałem, że nie będę jadł? Nie wolno ci! — pisnął Guzek, próbując złapać brzeg talerza. Za późno.

— Ty, Guzek? — zapytał Manik, posypując zdobyczny rosół pieprzem z miseczki. — A jak ci właściwie na imię, co? Pewnie Koklusz, he, he!
— Józek — odpowiedział za kolegę Gabryś. Oblizał łyżkę, odstawił talerz i dziabnął widelcem pieczone udko — Józek jest z klasy „e”. Z tej samej co Plomba.
— Józek Guzek, bardzo pięknie i idiotycznie zarazem — pochwalił Manik, nie przerywając mieszania zupy. — Józek Guzek kupił wózek.
— Zamknij się! — prychnął bohater rymowanki. — Zamknij się, bo...
— Bo co? Józek Guzek nie ma nówek, Józek Guzek pierdzi -ruzek — rozkręcał się stołówkowy poeta. — Józek Guzek...

Guzek nie zdzierzył. Włożył dłoń do stojącego przed Ma-nikiem talerza, zgarnął makaron i chlapanął nim prześmiewcy w twarz.

— E... — zdołał wykrztusić Manik. — Eee...

— O żesz ty w mordę — Gnida zeszytywniał z kością w dłoni. — Patrzcie, kto wchodzi!

— E... — Manik odgarnął makaron z czoła i skurczył się w sobie. — Cyna. Jak żywy!

Rozdział 7.

Omszały po raz pierwszy

Dziewczyna w milczeniu spoglądała w chłodne oczy przybysza. Zamrugwała, odganiając odrętwienie.

— Nie wpuścisz mnie? — zdziwił się, szurając stopami o wycieraczkę.

— Jakoś nie mam ochoty — odrzekła szczerze. Serce podeszło jej do gardła i umościło się tam na dobre. — Już nie.

— A to ciekawe — chłopak odsunął ją z nieukrywaną złością, po czym przekroczył próg. — Dzień dobry, pani Piętaś — ukłonił się przemykającej do kuchni kobiecie. — Jak tam szanowny małżonek, ciągle w szpitalu?

— Jeszcze kilka dni — uśmiechnęła się mama Ani. — Zrobić herbaty?

— Dzięki, ale się spieszę.

— W niedzielę?

— Są takie niedziele, proszę pani, że człowiek nie wie, do czego ręce przyłożyć — odchrząknął chłopak.

Pani Piętaś pokiwała głową ze zrozumieniem. Janek Ra-cyniak ilekroć tu zaglądał, tylko burczał pod nosem, a ten i mądrze porozmawia i nie żaden rozbójnik. Westchnęła ciężko.

70

— Chcesz czegoś? — Ania włożyła dłonie w kieszenie, żeby nie widział, jak drżą. Miała nadzieję, że mama nie podsłuchuje.

— Wiesz dobrze, czego chcę — syknął.

— Ależ nie mam pojęcia.

Chłopak rozejrzał się, po czym oparł plecy o brzeg szafki na telefon. Zaczynała go męczyć zabawa w chowanego, jednak warto poczekać. Tego był pewien.

— Masz do niego nie dzwonić, nie esemesować i nie pisać. Żadnych kontaktów.

— Oszalałeś! — krzyknęła poczerwieniała. — Jak śmiesz mi zakazywać...

— Zamknij się — mruknął. Podsunął jej pod oczy foliową torebkę z białym proszkiem. —

Poznajesz?

Milczała.

— A może chcesz działkę? Za darmo, jak wtedy, co?

— Nie biorę, nie podeszło mi — wyszeptwała niemal bezgłośnie.

— Raz wystarczy, żeby robić za ćpuna. Taka dobra uczennica, świadectwo z paskiem —

uśmiechnęła się. — Kochana córeczka tatusia i mamusi. „Jak to się stało, córeczko? Zraniłaś nasze serca!” — pisnęła, naśladowując kobiecy głos. — „Tak ci ufaliśmy...”

— Przestań! — zatkała uszy — Dobrze, nie odezwę się do Janka.

— I nie pojedziesz do niego.

— Nie pojedę.

— Niech cierpi.

— Niech cierpi — powtórzyła z ciężkim sercem. Trzasnęły drzwi. Gra rozpoczęła. Smród i hałas. Tyle do mnie dotarło po przekroczeniu progu stołówki. Jarmark, a nie poprawczak. Milknące rozmowy i dziwne, bardzo przenikliwe spojrzenia znaczyły ślad mej wędrówki do okienka, w którym tańczyła obfitych kształtów osoba w białym fartuchu i czepku. Kilkuosobowa kolejka rozpierzchła się, ustępując nam miejsca.

— Pani Helutko — wychowawca pochylił się, by być lepiej słyszany — jeden obiad dla nowego.

— Niech da bloczek — zaskrzeczała pani Helutka, cała w pąsach.

W kuchni musiało być jak w piekle. I gorąco, i diabła pod dostatkiem, stwierdziłem, widząc czterech nastoletnich po-magierów w brudnych fartuszkach. Właśnie rzucali się gotowanymi ziemniakami.

— Przecież mówię, że nowy — odrzekł Rudy nieco poirytowany — W poniedziałek mu się wyda, a jeść musi.

— To co pan nic nie mówi, że nowy — kucharka otarła rękawem spocony nos. Za jej plecami pomagierzy robili sobie właśnie wąsy z makaronu. Parsknąłem śmiechem.

— Nie ma się z czego śmiać, kawalerze — skrzeczenie niesło w sobie nutkę urazy. — Co pan za kpiarza przyprowadził? Graficiarz jakiś czy, nie daj Boże, skin?

— Wcale się nie śmiałem. A bynajmniej nie z pani, tylko z tych tam... — chciałem wyjaśnić nieporozumienie, ale wychowawca położył palec na ustach.

— Nikt cię nie pyta — wyjaśnił.

Umorusani dyżurni uzbroili się w chochle i pokrywy od kotłów, zaczynając udawaną bitwę. Niemożliwe, żeby Rudy tego nie widział.

— Czy pan nie widzi, co się tam wyrabia?

— No cóż, za dyskusje tylko zupka, bracie — skwitował, odsuwając moją porcję na bok. Zaraz capnęły ją czyjeś drżące łapska i poniosły w siną dal.

Rozległ się szmer zadowolenia, dzięki czemu zrozumiałem, że kumpli tu mieć nie będę. Ani lekkiego życia. Chwyciłem talerz z rosółem, odprowadzany głupkowatymi ukłonami kuchcików. Dzięki, debile.

— Znajdź sobie miejsce — mruknął za mną wychowawca. — A o szesnastej przyjdź do biura kierownika. Żebym nie musiał wysyłać dyżurnego po ciebie!

Nie miałem pewności, czy głodzenie ucznia gimnazjum jest zgodne z konstytucją, ale nie śmiałem pytać. Zwłaszcza że z daleka uśmiechały się do mnie gęby Gnidy, Manika i Guzka. Ten ostatni nawet podniósł się z krzesła i machał ręką zapraszająco.

— Na drzewo, goryle — powiedziałem bezgłośnie. Chyba zrozumieli, bo Guzek wywalił do mnie jęzor.

Pod oknem siedział wysoki, niezmiernie smutny chłopak z blond czupryną. Wyglądał na pragnącego towarzystwa, więc czym prędzej podążyłem w jego kierunku.

— A ty gdzie? — Przedemną wynurzył się pyzaty koleś w kraciastej koszuli z opaską na ramieniu. Dyżurny stołówki. Powariowali z tymi dyżurnymi. Zręcznym ruchem ominąłem zawalidrogę.

- Hej! — zawołał, chwytając mnie za ramię. Rozkołysana zupa pociekła mi po palcach. — Pytam, gdzie idziesz?

— Tam — wskazałem ruchem głowy — Bo co? Czoło dyżurnego uległo głębokiemu pofałdowaniu.

— Tam nie wolno — sapnął. — Możesz usiąść... na przykład. .. — zastanowił się. — E...

— Spadaj — doradziłem przyjacielsko. Żołądek domagał się wypełnienia, pora gdzieś przysiąść.

— Powiedziałem, że nie wolno — dłoń dyżurnego zacisnęła się kurczowo, więc kopnąłem go w kostkę, aż zasyczał. Przemoc rodzi przemoc, jak napisał pewien grecki filozof. Einstein czy jakoś tak.

— A ja powiedziałem: spadaj.

— Znajdę cię — załkał pyzaty, głęboko urażony w swej dumie. — A wtedy zobaczysz.

— Jasne — potwierdziłem na odchodnym.

Nie pytając o pozwolenie, przysiadłem się do smutnego blondasa. Spojrzał na mnie i w błękitnych źrenicach zamigotały iskierki zdumienia.

— Smacznego — chrząknąłem grzecznie.

— Ty tutaj?

— Mhm, ja tutaj.

— Ze mną nikt nie siada — wykrztusił.

— Gadasz? — wytrzeszczyłem oczy, a potem zajrzałem pod stół. — Rzeczywiście!

Chłopak opuścił głowę, pozwalając grzywce opaść na czoło. Ubrany był w zieloną koszulkę z napisem „Bez paniki”, a na policzkach i na brodzie wiły mu się pojedyncze,

74

jasne włosy Najwyższy czas zacząć się golić, pomyślałem z zazdrością.

— Cyna jestem - mruknąłem, szukając w rosole czegoś oprócz makaronu. Nieogolony samotnik miał w talerzu kilka pasków marchewki i rozgotowaną cebulę, ale ja podpadłem kucharce. — A właściwie Janek.

— Kuba - westchnął tamten. - Zresztą możesz mówić

Omszały, jak wszyscy

Podłubał widelcem w kurzym udku. Przełknąłem ślinę.

— Omszały? Mam wrażenie, że gdzieś już o tobie słyszałem — zastanowiłem się głośno. — Tylko gdzie.

— Też jesteś z Wrocławia?

— Z Trombolina, niestety.

Omszały wzruszył ramionami. Chyba nie pogadamy.

— Widziałeś, jaki kozak? — kaszlnął Guzek. - Nawet nie podszedł.

— No — podniecił się Manik — i od razu do Omszałego, jak w dym. Może też ma kogoś na sumieniu? Swoją drogą zawsze...

— Przestań bredzić — zastopował go Gabrys. — Słuchałeś kiedyś sam siebie? Cyna nie z takich, głąbie. Mielony chciałem powiedzieć, nie Cyna.

Patryk Manik pokręcił głową. Kiedyś odplaci Gnidzie za chamskie traktowanie. Zawiązką. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw trzeba zmielić Mielonego.

— To co robimy? — zapytał Guzek, starając się nie kaszleć.

75

- Zaczekamy na niego pod pokojem i pogadamy Jak koledzy — Gnida oderwał zębami chrząstkę z kurzej kości. — Szto pętnaszcie... — przełknął — sto piętnaście, z tego co wiem.

— Już ci donieśli? — zamrugał Manik. — Jakim cudem?

— Żadnym cudem — skrzywił się Gnida. — Pogadałem z Rudym, bo 115 jest pod nami, więc mu przydzielił.

— Rudy cię nienawidzi — syknął Patryk.

— Wręcz przeciwnie, od niedawna mnie uwielbia — Gnida postukał palcami o blat stołu. — Zwłaszcza od momentu, kiedy dowiedziałem się czegoś, czego nie powinienem wiedzieć.

— Niby czego?

— Gdybym ci powiedział, Manik, skończyłaby się tajemnica. Idziemy, i tak zaraz zagwizdzą.

Omszały wytarł usta serwetką.

— Odchudzasz się?

— Słucham? — drgnąłem zaskoczony pytaniem.

— Pytam, czy się odchudzasz — powtórzył. — Na samej zupie daleko nie zajedziesz.

— To za karę.

— Aha.

Nie obeszło go to zbyt. Widać, nie jestem pierwszym karanym w ten sposób.

Niespodziewanie zabrzmiały trzy krótkie gwizdki. Na środku sali stał długowłosy dyżurny z gwizdkiem w ustach.

— Kooniec obiadu! — wrzasnął.

Omszały popatrzył na zegarek.

— Co za punktualność — szepnął z podziwem. — Przestań wiosłować i zmiataj do pokoju, bo dostaniesz karnia-ka — doradził.

— Że co?

— No już!

— A ty?

— Ja? Ja tu jestem na innych prawach — uśmiechnął się ze smutkiem.

Wstałem, zderzając się z siwym mężczyzną o obwisłych policzkach. Przypominał starego chomika z wielkim

brzuchem. Pod pogniecioną marynarką z szarego płótna nosił poplamiony kawą kremowy podkoszulek. Do tego spodnie z brązowego materiału i góralskie kapcie.

— Przepraszam — wymamrotałem zaskoczony

— A tyś co za jeden?

— Janek Racyniak, proszę pana — przysunąłem krzesło i zabrałem talerz. Zauważyłem, że wszyscy odnoszą brudne naczynia na wąski metalowy stół przy drzwiach do kuchni. Postanowiłem się dostosować.

— Kolejny męt z Trombolina, tak?

— Zaraz męt...

— Zmiataj w podskokach — burknął. — Idziemy, panie Michalski — kiwnął palcem na Omszałego.

Koleś ma specjalną eskortę. Ciekawe.

Rozdział 8.

Kto nosi fajne gacie?

Wszedłem na piętro nie zaczepiany przez nikogo, co odhaczyłem w myślach po stronie plusów. Wiedziałem jednak, że w życiu bilans z reguły wychodzi na zero, więc spodziewać się mogłem jakiegoś minusa. Długo nie czekałem.

Sto osiemnaście — zerknąłem na drzwi naprzeciw schodów. Przy następnych stał stolik, a przy stoliku drzemał osobnik zwany Zielonką, dyżurny piętra. Na mój widok znacznie się ożywił.

— E, cwaniaczek, masz gości — zagaił, gdy go mijałem.

— A ty masz brudne paznokcie — odpowiedziałem z uśmiechem.

Zielonka zacisnął pięści.

— Nie podskakuj, bo się przewrócisz — bąknął pod nosem.

Przystanąłem, mierząc wzrokiem mizerną postać. Z kanciastą, ogoloną na łyso głową i wielkimi ciemnymi oczami do złudzenia przypominał E.T. ze starego filmu o zagubionym kosmicie.

— Grozisz mi?

— Nie grozę, tylko mówię — kiwnął głową w bok. Nieco dalej o ścianę opierało się trzech ponurych typków. Kwiat Klanu Zaufanych.

79

— Sam bym ich zauważył, ale dzięki — odpowiedziałem łagodniej. Od kiedy wszedłem do tego budynku, stałem się podejrzenie spięty i agresywny Poprawczak to nie na moje nerwy, niestety

— Tu nie lubią kapusiów i kolaborantów. Ani cwaniaków

— Ja też ich nie lubię.

— A to ciekawe, skoro sam jesteś...

— Na razie, Zielonka — przerwałem mu. — I nie słuchaj bzdur. Jestem detektywem, a nie kapusiem, kapujesz? — Mrugnąłem do zdeorientowanego chłopczyny, wziąłem głęboki oddech i ruszyłem dalej.

Dyżurny Zielonka wyjął z kieszeni pudełko zapalek, złamał jedną z nich, po czym zabrał się do wydłubywania brudu zza paznokci, nie przerywając obserwacji terenu. Oby nie było bójki na jego dyżurze, pomyślał strapiony. Może do szóstej wytrzymają?

Plomba bujał się w odrapanym fotelu, puszczając bańki z mydła. Na widok wchodzącego

wyprostował się nieznacznie, ujął słomkę w dwa palce i zapytał:

— Na biegunie byłeś, czy jak?

— N00... — Kostek nadal stał w drzwiach Jamy — Prawie.

— Prawie? — Ogromna, mieniąca się tęczo-wo bańka zadrżała u wylotu słomki, uniosła się w powietrze, po czym opadła ciężko na zaśmiecony butelkami i fiolkami stół.

Obaj przyglądali się temu z niemą fascynacją.

— Co znaczy „prawie”? — odezwał się Jacek, maczając słomkę w mydlinach. — Umówiliśmy się na pierwszą, a jest

80

wpół do trzeciej. No, bez dziesięciu minut. Czekam tu i czekam.

— Dlatego bawisz się bańkami?

— Dlatego bawię się bańkami — przytaknął Plomba. — Jak widzisz, zdążyłem wszystko przygotować, pobawić się, znudzić, zdrzemnąć i znów się pobawić. Wchodzisz czy nie? Gorąco tylko wpuszczasz.

Kostek wzruszył ramionami i wszedł. Skrzypnęły niena-oliwione zawiasy Ptak poprawił smętną zasłonkę w kwiaty, przestawił kartonowe pudło z miejsca na miejsce, zdjął palcem kurz z półki...

— Powiesz coś wreszcie czy będziesz sprzątał? — zniecierpliwził się Plomba. — Przez ten upał własną matką zostałeś?

— No więc — Kostek wytarł palec w spodnie i przysiadł na drewnianym taborecie. — Pan Rysiek powiedział, że Marynia przyjdzie później. Za jakiś czas, sam nie wiedział. No to skoczyłem na miasto...

— Hę?

— No, na lody — Ptak spojrział w sufit. — Na jednego loda właściwie. W czekoladzie, po dwa pięćdziesiąt... i jak wracałem, spotkałem taką...

— Kogo? — Jacek otarł czoło. Upał wdarł się do szopy i przestało być już tak przyjemnie.

Kostek pociągnął nosem, a potem przywołał na twarz sztuczny uśmiech.

— Spotkałem Marynię właśnie.

— Dałeś jej to?

— Itak, i nie...

81

Plomba wstał, potrącając pojemnik z mydlinami. Słomka wyskoczyła w powietrze i zniknęła za regałem. Spieniona ciecz chlusnęła na podłogę.

— Wylało ci się — Ptak wskazał palcem wsiąkającą w beton plamę.

— Widzę. Jesteś dziwnie rozkojarzony, stary Mówisz od rzeczy i w ogóle. Dałeś to Maryni czy nie dałeś?

— Marynia ma wakacje do października. Ale jedna jej koleżanka jest asystentką na uniwerku i od jutra będzie w laboratorium. Marynia wzięła próbkę i obiecała dać tamtej. Jak najszybciej.

— No to w porządku — odetchnął Jacek. — Kiedy wyniki?

— Ta cała Zośka jedzie do Wrocławia dzisiaj wieczorem. No to wyniki za... dwa, trzy dni.

— Może cię to wreszcie uspokoi?

— Może tak, a może i nie? — westchnął Kostek. Zupełnie jak ta smarkula z piaskownicy, która mu się poskarżyła, że Plomba przed chwilą ukradł jej słomkę i mydelniczkę.

Podłoga korytarza była porządnie wyfroterowana. Na błysk, można powiedzieć. Idąc, obserwowałem własną, karykaturalnie powykrzywianą postać. Zatrzymałem się, kiedy dołączyły do niej trzy inne. Podniosłem oczy

— Witaj, przyjacielu — wyszczerzył się Gnida. — Stęskniłem się za tobą!

— Ja też — dołączył Guzek.

— A ja nie bardzo — burknął Manik ponuro. — Przez ciebie tu garuję, śmierdząca kapucho. Mam ochotę ci...

82

— Ejże — uspokajająco rzucił Gnida. — Jesteś niegrzecz-ny, Manik. Kolega przyjechał, przywitać go trzeba, przytulić,

przy...

— Przygrzmocić w ten durny łeb — nie wytrzymał Manik.

— Gabrys chciał powiedzieć: przygarnąć do serca — wyjaśnił Guzek, kaszlnąwszy dyskretnie w zamkniętą dłoń.

Omiotłem ich przeciągłym spojrzeniem, starając się wykrzesać ze źrenic stalowy błysk. Wyszło mi pewnie coś bliżej przerażonego zająca niż stali. Wyczuli to od razu. Wilki mają dobry węch.

— No cześć — pomachałem dłonią. — A teraz spadowa, bo muszę wejść do pokoju.

Mówiąc to, wykonałem gest rozgarniający, licząc, że poskutkuje. Nie poskutkowało. Każdy z osobna był do przejścia, ale nie trzech naraz.

— Widzieliście, jaki nasz przyjaciel zrobił się życzliwy? — Gnida pokręcił głową. — Dobrze wychowany

— Milusi — dodał Guzek.

— Ładnusi — uzupełnił Gnida.

— Kochaniusi.

— Zarąbiaście grzecznusi.

— I w ogóle, ekhe! — Guzek zapomniał zakryć usta. — W ogóle fajnusi.

— A ja bym mu przygrzmocił — Manik był konsekwentny Otarł oplute przez Guzka czoło i wbił we mnie pełne nienawiści spojrzenie.

Patryk Manik im dłużej żył, tym bardziej nienawidził. Nienawidził dorosłych, nienawidził wymyślonego przez nich

83

świata, nienawidził okoliczności, w których musiał egzystować, nienawidził Gnidy, Guzka i całej reszty, a nade wszystko nienawidził poniewierania własną osobą. To ostatnie mu zapewniłem bez pudła, mówiąc:

— Najpierw przygrzmoć łbem o ścianę, Manik, może ci trochę tynku przez uszy wpadnie. Będziesz mieć namiastkę mózgu.

— Ty gnoju! — Manik zapłonął słusznym gniewem i natarł na mnie niczym wściekły byk z koszulki pana Ediego. A konkretnie rzucił się z opuszczonym czołem, nim Gnida z Guzkiem zdołali go powstrzymać.

Czego jak czego, ale refleksu mi nie brakowało. Już wcześniej, w przewidywaniu kłopotów, zacząłem się cofać, a gdy Manik zaszarżował, odskoczyłem pod przeciwległą ścianę i w ostatniej chwili odsunąłem się na bok.

Zderzenie Manika ze ścianą było i widowiskowe, i klasyczne w swojej prostocie. Ślizg na lśniącej posadzce, łupnięcie, chwila ciszy, osunięcie się z jękiem na kolana. Pokaz głupoty w trzech odsłonach z antraktem.

— I co, wsypał ci się tynk przez uszy? — Guzek z zainteresowaniem pochylił się nad oszołomionym kolegą.

— Co się tu dzieje, co mu jest? — nadbiegł zaniepokojony Zielonka. — Już dawno powinniście być w pokojach, cisza przecież.

— Kolega szukał w ścianie mózgu — oznajmiłem, kładąc dłoń na kłamec.

— Podnieście go — pisał Zielonka.

Gnida z Guzkiem chwycili Manika pod ramiona. Patryk dźwignął się z trudem i zacharczał:

84

— Dorwę cię, Cyna. Popamiętasz mnie.

— Weźcie go do kibla i ochlapcie wodą — doradził dyżurny.

Gnida odwrócił się do mnie z diabelskim uśmiechem.

— Jeszcze wrócimy do tej rozmowy, Mielony. Pokręciłem głową. Zaraz mi zabraknie palców do liczenia

gróźb. I co oni z tym mielonym? Jakies kulinarne tęsknoty?

Wszedłem do pokoju i stanąłem jak wryty. Na stole leżał mój plecak, rozbebeszony do cna, a nad plecakiem pochylały się dwie głowy Jedna wygolona, okrągła, z gapowato odstającymi uszami, druga z czarnym bałaganem zamiast włosów i wydłużona niczym kabaczek.

Moje pojawienie się nie wywarło na chłoptasiach żadnego wrażenia. Nawet nie drgnęli, ba, w dalszym ciągu grzebali w plecaku jak w swoim.

— Zabierać łapska! — krzyknąłem wściekle.

— Ciii — uszatek przyłożył palec do ust. — Nie krzycz, bo ktoś przylezie. Nie wiesz, że jest cisza poobiednia?

— Chcesz zobaczyć, co tu mamy? To chodź — zaprosił kabaczkogłowy koleś beztróskim głosem, nie podnosząc oczu.

Prostacka bezczelność powalała na kolana. Wiedziony czystym zdumieniem podszedłem do grzebaczy Zalatywali kilkudniowym potem zmieszany ze STR8. Moim dezodorantem. Ciekawe ile zużyli, pojemnika nie było widać.

— Patrz, Plastuś, jaka piżamka — czarnowłosy parsknął śmiechem, wyjmując moją piżamę w dinozaury Urodzinowy prezent od Gluta. — Jaja, nie? — szturchnął mnie łokciem.

— Mhm — mruknąłem coraz bardziej ubawiony. Ci dwaj musieli być przedstawicielami piniącego się w szkołach gatunku idiotów pospolitych. Dorodne okazy, choć na oko pierwszoklasiści, więc najlepsze dopiero przed nimi.

— A to? — zaśmiał się koleżka zwany Plastusiem i rozwinął woreczek z bokserkami. — Fajne gacie, Walerek. Chciałbym zobaczyć tego durnia, co je nosi — prychnął z uciechy — Chodźcie, założymy je sobie na głowę i wyskoczmy na korytarz. Co ty na to?

— No nie wiem — powiedziałem, wyjmując mu z dłoni nowiutkie gatki. Sam je w sobotę wybierałem w sklepie „Wszystko dla Pani i Pana”. Granatowo-niebieskie z trzema

86

paskami na nogawkach. — A poza tym, który z was podprowadził mi „strejta”? Spojrzeli wreszcie.

— Ty nie jesteś Gizmo? — Plastuś zamrugnął spłoszony.

— Gizmo? Absolutnie nie jestem — wrzuciłem bokserki do plecaka. — Przynajmniej nic o tym nie wiem.

— To gdzie jest Gizmo? — chciał wiedzieć Walerek.

— A czy to ważne? — otworzyłem szafę, szukając wolnych półek. — Może poleciał na Księżyc?

— początkowo miałem ochotę ich ukarać, ale nie wiedzieliby za co.

— No to ten...

— No to ktoś ty? — Plastuś dokończył pytanie za kolegę.

— Cyna — wyprostowałem się. — Ten dureń, co nosi fajne gacie.

Rozdział 9.

Pan kierownik, robaczku, to ja!

Hasło „cisza poobiednia” wprowadziło mnie w błąd. Położyłem się wygodnie na wznak, licząc, że pozbieram myśli i dojdę do konstruktywnych wniosków. Prędzej bym to osiągnął na torach kolejowych, bo Plastuś z Walerkiem okazali się chłopcami wynudzonymi do cna i do cna zepsutymi.

Ledwie zmrużyłem oczy, poczułem, że lewituję. Ocknąłem się więc natychmiast, dzięki czemu zdążyłem zobaczyć ich zadowolone gęby i dłonie ściskające rogi koca.

— Puśćcie mnie — jęknąłem półprzytomnie. Puścili.

W głowie rozbłysła mi supernowa, po czym zgasła, zostawiając po sobie pogorzeliśko bólu. Chwilę później ból minął.

Po trudnym do określenia czasie obudziłem się na tapczanie z mokrym ręcznikiem pod głową.

Dotknąłem tego, co pulsowało pod ręcznikiem i przeszyły mnie dreszcze. Ból wrócił.

— Coście mi zrobili, idioci? — stęknąłem. Zaczynałem rozumieć nienawiść Manika do wszelkich przejawów życia na tej planecie.

— Myyy? — niewinne głosiki przywodziły na myśl tłuste aniołki ze świętych obrazów. Tylko gęby nie takie.

88

— Wy... — podniosłem się i natychmiast opadłem. Zemstę należało odłożyć na później. — Wy zwyrodniale wieprze...

— O, przepraszam — zabalgotał Plastuś. — Sam prosiłeś, żeby cię puścić.

— A w domu powtarzają, że starszego należy słuchać — dodał Walerek. — No to posłuchaliśmy
— Nie zrozumcie mnie źle, chłopaki — mruknąłem, po czym usiadłem z trudem. — Ale coś muszę wam powiedzieć.

— Mianowicie co?

— Mianowicie to, że zabiję was przy najbliższej okazji.

Na odpowiedź przyszło mi trochę poczekać. Wreszcie Walerek sięgnął do szafki, wyjął z niej jabłko, położył je przede mną i zapytał z nabożnym szacunkiem:

— Toś ty taki?

— Jaki? — spojrzałem na jabłko. Wyglądało identycznie jak to, które w domu wrzuciłem do plecaka.

— Jak Omszały — wyjaśnił Plastuś. — Morderca znaczy Przełknąłem ślinę.

Koła pociągu to stukały, to łomotały na przemian. Maszynista z właściwą wszystkim maszynistom fantazją ciągał wajchę gwizdka parowozu, aż uszy puchły od słuchania. Wreszcie ni stąd, ni zowąd wrzasnął nieprzyjemnym głosem:

— Pobudka, do diabła ciężkiego, tromboliński łobuzie!

Otrząsnąłem się z resztek snu, ociekając potem. Zasnąłem w ubraniu, a małe gnojki złośliwie otworzyły okno, więc było tu jak w piekle.

89

Spoglądały na mnie świdrowate oczka mężczyzny o ob-Wisłych policzkach. Choć musiał widzieć, że oprzytomniałem, włożył gwizdek w usta i gwizdnął przeciągle. Bębenki w uszach zareagowały gwałtownym skurczem.

— Pan oszalał? — mruknąłem sennie. — Przecież nie śpię.

— Pięć na minusie — wychowawca wyprostował się, eksponując opięty poplamionym podkoszulkiem brzuchol.

— Pięć na minusie? — potrząsnąłem głową, nie rozumiejąc. Guz na potylicy dał znać, że cały czas tam jest. — Jakie pięć na minusie, wygrałem coś?

Trwożliwy chichot wyprzedził oburzenie grubasa z gwizdkiem. Plastuś i Walerek kulili się na swoich tapczanach niczym wystraszone kundelki. Co tu jest grane?

— Taa, wygrałeś kolejne pięć na minusie — mężczyzna Włożył dłonie w kieszenie płóciennej marynarki, brzękając kluczami. — Razem piętnaście.

Usiadłem, kręcąc głową. Guzowi na potylicy to się nie spodobało, więc zaniechałem kręcenia.

— Kłopoty z matematyką, prawda? — potarłem policzki, by się wreszcie obudzić. Ten facet śnił mi się, to pewne. — Pięć i pięć daje razem dziesięć...

— Dałem ci pięć awansem — uśmiechnął się. Obwisłe policzki naciągnęły się lekko. — Nieźle, jak na pierwszy dzień.

Piętnaście na minusie ani chybi dawało do myślenia, ale postanowiłem nie zaprzętać sobie głowy drobiazgami. Na razie.

90

— Ubieraj się i zasuważ do kierownika.

— Jestem ubrany

— To zasuważ — gburowaty mężczyzna odsunął się od drzwi. — A z wami, chłoptasie, muszę poważnie porozmawiać — zmrużył oczy, łypiąc groźnie na moich współloka-torów

Wychodząc, usłyszałem coś na temat podkładania kija od szczotki pod klamkę ubikacji. I o dewiacji.

Ania nie mogła znaleźć sobie miejsca. Ta niedziela była najgorszą niedzielą w jej życiu i nic nie wskazywało na to, że będzie lepiej. Podpisała pachnące farbą drukarską zeszyty, obejrzała kolorowe podręczniki, odciała czarny guzik od spódniczki i zaczęła przyszywać nowy, z serduszkami. Natłok myśli nie pozwalał się jej skupić.

— Auć — włożyła do ust ukłuty palec, przytomniejąc. Spojrzała na wyblakły plakat Braveheart z Melem Gibsonem. Może powinna walczyć jak on?

Wstrzymując oddech, wyśliznęła się z pokoju i delikatnie stąpając, zeszła po schodach. Mama drzemała przed włączonym telewizorem.

— „Nie przemyślałaś tego, Amando, prawda?” — stalowe źrenice mężczyzny z blizną patrzyły z ekranu. Mama pasjami oglądała tasiemcowe seriale.

— „Nie, ale wiem, co się liczy najbardziej” — odpowiedziała Amanda na zbliżeniu. Twarz aktorki pokrywał pokład blad różowego pudru.

- „Powiesz mi?”

91

— „Powiem ci, Paolo. To miłość”. — W tle zabrzmiał jęklivy głos skrzypiec.

Ania podjęła decyzję.

Gabinet kierownika, opatrzony tabliczką z napisem „mgr Eustachy Kierol, kierownik internatu”, mieścił się na parterze budynku, w bocznym skrzydle, nieopodal toalet. Damskiej i męskiej. Zastanawiała mnie obecność damskiej toalety w męskim internacie, ale wątpliwości rozwiązała tabliczka informacyjna na drzwiach obok: „Bronisława Dederko, starszy intendent”.

Przez porowatą szybę drzwi gabinetu kierownika dostrzegłem chybotliwy cień monstrualnie wielkiej postaci. Wstrzymałem oddech i zastukałem nieśmiało.

— No — usłyszałem w odpowiedzi.

Wszedłem. Na środku małego, kwadratowego pokoiku stała rozstawiona drabina, na jej szczycie zaś tkwiła pękata postać w roboczym ubraniu. Ze spoczonej łysiny kapały ciężkie krople tłustego potu, rosząc rumiane policzki.

Sam gabinet wyposażony był skromnie, a jego główny mebel stanowiło podniszczone biurko z płyty meblowej w kolorze sosny, zawalone rachunkami, skoroszytami tudzież pełnymi pieczętek papierami oraz pokryte czarnym skajem obrotowe krzesło. Pod jedną ścianą stał regał z segregatorami, zaś pod drugą usychająca paproć na stojaku, stolik okolicznościowy i wysłany kocem fotelik.

— No, co tam, robaczku? — zagaił pękaty łysol, przygryzając ustnik wygasłej fajki.

92

— Ja do kierownika.

— Aha — pokiwał głową mężczyzna, nie przestając manipulować wkrętakiem przy oblepionym kurzem złotym żyrandolu. — Podaj mi srebrę.

— Jaką srebrę, proszę pana? — rozejrzałem się nerwowo.

— Taką małą sreberkę, z kostki — sapnął niewyraźnie. Fajka wypadła mu z ust, stuknęła o podłogę, po czym znikła pod biurkiem. — Zapal, robaczku, i mi podaj.

— Śrubkę?

— Fajkę — pokręcił głową.

— Ale ja do pana kierownika...

— No tak, obejdzie się bez śre-berki, robaczku. Co powiesz na I styk bezpośredni?

— Ze co? — Zegar na ścianie wskazywał szesnastą dwadzieścia. Gdzie ten kierownik?

— Małe zwarcie -wyjaśnił z miną szelmy. — Ryzykujemy?

— Nie mam zdania — przyznałem szczerze. — A pan kierownik kiedy

PrzYJd?ie? _ zapytałem, przycupnąwszy na skraju fotelika z koceru

MÓJ Wzrok przykuł widok fajki leżącej pośród tytonio-wych °kruszków oraz maleńka śrubka.

Podniosłem obie.

~ Chyba mam...

~ % kierownik, robaczku — wszedł mi w słowo męż-czyzna_toja

Otarł pot z czoła i wetknął końcówkę przewodu w otwór kostki. Łarówka rozbłysła na moment, a kierownik jęknął przeraźliwie po czym ześliznął się z drabiny, zahaczył stopami o blisko i runął jak kłoda na podłogę. Kilka dokumentów sfrunęło ślad za nim> osiadając na nieruchomym cielem.

~ ^i-oszpeana? Leżitey nawet nie drgnął.

*Voszę pana — szepnąłem odrętwiały. — Niech się pan obudzi

niech pan...

Coś stuknęło i w drzwiach pojawiła się płaska gęba Lesz-

czynskiego.

~ ^zień dobry, chciałem zameldować, że... — wymamrotał, p0 czym zamrugał zdumiony. — A to co?

— C0? _ zapytałem, usiłując zasłonić nogami twarz nieboszczyk

"~ Ho... TO.

Les^czyński przelykał ślinę i nie wchodził.

— "to? _ 2 obojętnością muła obejrzałem paznokcie. — Chodzi ci 0 stert? ubrań na podłodze?

~ chodzi mi o... ~ biurko?

94

— O tru... o trupa mi chodzi — wystękał w końcu. — Załatwiłeś Kierola, niezły myk. Kurczę, ty nie jesteś Mielony, tylko normalnie ten, Desperado — w jego oczach pojawił się nieklamany podziw. — I co dalej, przejmiesz władzę?

— Że jak?

— No wiesz, obłężenie i te sprawy Wiem, gdzie Rudy chowa pistolet. Podobno straszak, ale zawsze. Trzeba wziąć zakładników, niech gliniarze przyślą negocjatora — rozpałał się coraz bardziej.

— Zamknij się, półgłówku — zgrzytnąłem. — To był wypadek, a nie morderstwo.

— Wypadek? — Mina mu zrzedła, a podziw zaczął się ulatniać. Nie mogłem na to pozwolić.

— Zartowałem, Leszczu. Zrobiłem to z premedytacją, na zimno i bez wyrzutów sumienia — zacisnąłem pięści. — Z wami zrobię to samo... — przerwałem, uświadomiwszy sobie, że po raz kolejny grozę komuś śmiercią. Powinni ten poprawczak wyegzorcyzmować, a potem spalić. Na wszelki wypadek.

— No czekam i czekam, a tu się mnie nie anonsuje — zawołał wesoły głos z dziwnym akcentem.

— Ty dyżurny strasznie slowly6, powolny chłopak.

Do gabinetu dziarsko wkroczył żyłasty kogucik w koszulce z napisem „Chicago Bulls”.

— Zdzisiek Żardelko! — uśmiechnął się na mój widok. — Ty tu?

— Mi tu — odpowiedziałem machinalnie. — Pan Edi? 6Slowly — (ang.) powolny.

95

— Ehe.

— Pan Edi? — miauknął zaskoczony Leszczyński, dłubiąc palcem przy czerwonej opasce dyżurnego.

— Yes, it's meF — Amerykanin wyszczerzył białe zęby M A gdzie Justachi?

— Kto taki? — dyżurny rozerwał opaskę, która zwieszała się z rękawa niczym szarfa pogrzebowa.

— Eee, chciałem powiedzieć who& taki?

— Justachi Kierol, wasz szef, a mój brat od stryjek. Bo ja też Kierol... Oh, my God9l Justachi, ty się opalasz? Na podłodze? — Polonus rozłożył ręce w zdumieniu. — Why?w

— Bom, bom, bo mi... bo mi fajka upadła — wyjąkał kierownik, po czym podniósł się żwawo, choć chwiejnie.

Cudownie wrócony do życia pan Eustachy był przykładem boskiej interwencji w sytuacji bez wyjścia. Powiem więcej, dzięki temu niesłychanemu wydarzeniu będę mógł wygrać parę spraw dla siebie. Chociażby respekt, szacunek i...

— Ty ciołku — syknął Leszczyński, wychodząc. — Już myślałem, że z ciebie nie wiem jaki kozak. Powiem Gnidzie, jak sobie z nami pogrywasz. Pożałujesz, żeś tu przyjechał.

Respekt wziął szacunek pod pachę, po czym zwiali oboje gdzie pieprz rośnie. A ja zostałem z Kierolem, Amerykaninem i którąś z rzędu groźbą wiszącą w powietrzu.

7Yes, it's me — (ang.) tak, to ja.

8 Who — (ang.) kto.

9 Oh, my God — (ang.) o, mój Boże.

10 Why?, — (ang.) dlaczego.

Rozdział 10.

Zastępca Guzka

Pan Kierol udzielił mi kilku dobrych rad. Przede wszystkim powinienem donosić mu o wszelkich nieprawidłowościach.

— Jak to donosić?

— Normalnie, robaczku — usadowił się za biurkiem, zachęcając Ediego, by zajął fotel. — Obserwować, przyglądać się i słuchać, a potem niezwłocznie informować mnie o wszystkim.

— Mam kablować?

— Kablować? — żyłasty Amerykanin potarł czoło. — Chyba chodzi o full surveillance¹¹, a nie o kładzenie drutów, tak myślę. Prawda, Justachi?

— Niemalże — kierownik cmoknął ustnik fajki. — Masz być jak to amerykańskie Siaj-ajaj.

— Si-aj-ej¹² — sprostował Edi.

— Nie będę pańskim Si-aj-ej — oburzyłem się. — Żadnego fulcośtam ani kładzenia drutów. Wykluczone!

Kierownik wrzucił ramionami, wyjął z szuflady pudełko zapalek i potrząsnął nimi.

11 Fuli surveillance — (ang.) pełna inwigilacja, szpiegowanie.

12 CIA, Central Intelligence Agency — Centralna Agencja Wywiadowcza działająca przy prezydencie USA, zbierająca informacje dotyczące spraw interesu narodowego oraz zajmująca się kontrwywiadem.

97

— Nie to nie, Jasiu. Wolisz trudniej, miej trudniej.

— Jasiu? — ożywił się Edi. — To już nie Zdzisiek?

— Już nie — rzekłem naburmuszony — I jeszcze jedno, panie kierowniku — nabrałem powietrza — taki rudy wychowawca zabrał mi telefon...

— I dobrze. Kto nie współpracuje, nie telefonuje, robaczku. Czy to jasne?

Pokiwałem głową, że jasne.

— No, to jak jasne, wynocha do pokoju prasować spodnie. Nie cwaniakuj i trzymaj się regulaminu, jutro na apelu dowiesz się reszty.

— W poprawczaku są apele? — wyraziłem zdumienie.

— W jakim znów poprawczaku? — kierownik, nie patrząc na mnie, posłał Ediemu nieszczerzy uśmiech. — To internat o zaostrzonym rygorze, robaczku.

— A to nie to samo, Justachi? — Edi rozparł się w fotelu.

— Pewnie że nie — zachnął się Kierol. — Jakby tu był poprawczak, miałbym dodatek mundurowy i kajdanki na wyposażeniu.

Ponownie sięgnął do szuflady, powstrzymując mnie przed wyjściem.

— Bierz bloczki, żebyś głodny nie chodził.

Wcisnął mi w dłoń prostokątny kartonik z datami od pierwszego września. Kolacji nie będzie. Pies z tym tańcował, mam jabłko.

— Jakaż to pilna sprawa, Edku, he? — kierownik przestał zwracać na mnie uwagę. — Znowu mnie nękaasz?

98

Chciałem posłuchać, ale Edi milczał wymownie. Machnąwszy ręką, wyszedłem bez słowa, by chwilę później natknąć się na niedbale opartego o ścianę Gabrysia Gniteckie-go z gazetą pod pachą. Nie zdejmując torebki z wieszaka, odpięła zamek i zajrzała do środka. Portmonetka, chusteczki, szminka, klucze. Telefonu nie było.

Powstrzymując oddech, weszła do salonu i wsunęła dłoń pod poduszkę. Mama westchnęła sennie:

— Cooss... coo?

— Nic, śpij, mamu — szepnęła zeszywniała z emocji. Delikatnie uwolniła rękę.

Gdzie go schowała!? Oblizła spieczone wargi. I kiedy wróci tato? Bez niego matka okropnie dziwaczeje.

Weszła do łazienki, otworzyła szafkę z lekarstwami. Nic. Same tabletki i tubki z maściami.

Serce tłukło się w niej niczym przerażony kanarek, widzący przez kraty klatki skradającego się kota.

Sypialnia? Sypialnia! Schody zaskrzypiały w rytm jej kroków

Uchyliła drzwi, delektując się przez chwilę zapachem jaśminowych perfum. Mama zawsze pilnuje, by pościel pachniała kwiatami. Podeszła do szafy, przerzuciła bluzki, potem swetry Pudło. Zrezygnowana usiadła na łóżku i wtedy zobaczyła. Telefon leżał na nocnej szafce, pod miesięcznikiem dla amatorów nieustannego meblowania.

99

Palce miała mokre od potu. Menu — telefony — Janek.

— No szybciej — jęknęła zniecierpliwiona. — Proszę... Odezwał się sygnał łączenia, zaraz potem mechanicznie

beznamiętny głos: „Połączyłeś się z pocztą głosową...”.

— Jasiu — szepnęła. — Muszę ci coś wyznać. To bardzo ważne i... I przerażające. Ale ja naprawdę i na poważnie...

— Z kim rozmawiasz? — mama stała nad nią z twarzą wykrzywioną gniewem. — Z tym bandziorem z twojej klasy?

— Z Kostkiem, mamó — skłamała pobladła.

— Taki sam jak tamten — matka zacisnęła usta. — Jeden wart drugiego. Niech no tylko ojciec wróci ze szpitala...

Zerwała się z łóżka i wybiegła, potrącając ramieniem zaskoczoną kobietę.

— Anka! — głos zabrzmiał ostro. Niemal histerycznie.

— Co? — Dziewczyna zatrzymała się na schodach. Trzęsła się, łkając spazmatycznie.

— Telefon.

— Masz. — Błękitny aparacik pomknął w stronę matki jak odbezpieczony granat. Wrogość rozpoczęła swój pokraczny taniec.

Gnida położył mi rękę na ramieniu, więc ją strząsałem z obrzydzeniem.

— Czego? — zjeżyłem się.

— Niegrzeczny jesteś, Cyna, a to nieładnie — zasmucił się. — Powiedziałbym nawet, że jesteś niewychowany. Ale nie powiem, bo cię lubię.

— Coś podobnego? — roześmiałem się. Stwierdzenie Gnidy śmierdziało z daleka zdechłym liskiem chytruskim. — Od kiedy to?

Gabryś nie odpowiedział od razu. Najpierw pociągnął nosem, potem splunął do donicy z palmą, prosto na tabliczkę: „Prosimy nie pluć do palmy!”, wreszcie westchnął:

— Nasze drogi są kręte, bracie.

— Ani ja twój brat, ani swat. Mów, o co biega, albo spadaj.

— Jednak niegrzeczny — Gnida pogroził palcem z uśmiechem. — No to walę na skróty. Damy ci spokój, tak żebyś się bezpiecznie przebujał do półroczka. No i powstrzymamy Manika, bo ten wariat chętnie by cię udusił.

101

— Serdeczne dzięki — odwróciłem się na pięcie. — Nie spodziewałem się — dodałem, odchodząc.

— Ej, chwilunia! Myślałeś, że za darmo? Żarty sobie robisz czy co? Jest propozycja — usiłował chwycić mnie za rękę. Wywinąłem się.

— Mam gdzieś twoje propozycje, Gnida.

— Ale ta jest wyjątkowa, bracie — rozejrzał się czujnie. — Tajemnicza jak cholera.

— Gadaj.

Staralem się zachować spokój, ale rozmowa z wrogiem, a właściwie z szefem wszystkich wrogów, powodowała, że nerwy miałem napięte jak stalowe liny na okręcie. Oby nie

L_ Poczekaj moment, nie pokazuj fochów, bracie. Usiądźmy — wskazał gazetą ławkę pod ścianą.

— Czy ciebie trzeba znokautować, żebyś się odczepił? — zmarszczyłem czoło.

— Usiądziesz?

Usiadłem. Sprawa rzeczywiście musiała być poważna, skoro tak wokół mnie krążył. Chyba że to grubymi nićmi szyta prowokacja, ale nie dowiem się, jeżeli odejdę.

— Na Klan jeszcze przyjdzie czas — sapnął, siadając obok mnie. — Jest coś innego. Przeczytałem w gazecie... — Rozłożył trzymaną gazetę. „Praca Detektywa” z sierpnia.

— Skąd masz tego „Detektywa”? — zdenerwowałem się.
— Plastuś mi dał, a co? — pociągnął nosem. — I tu, uważasz, jest artykuł o skarbie w Potemkowicach. Pomożesz nam go znaleźć, a potem...
— Złodziej na złodzieju — oznajmiłem, wyszarpując mu gazetę — złodziejem pogania. Moja gazeta!
— Poważnie? — roześmiał się. — Weź ją sobie, skoro twoja. I tak wiem, co mam wiedzieć. To jak, wojna czy szukanie skarbu?
Chciałem odpowiedzieć, że wolę wojnę do upadłego niż komitwę z draniami, ale ze schodów z tupotem sfrunęło dwóch pobladłych osobników, drąc się w naszą stronę.
— Chodźcie prędko, Gnida i ty, nowy!
— Coś się stało? — Gabryś wyłuskał gazetę z mych palców i schował ją za pasek spodni.
— Omszały stoi na parapecie — wydyszał mały piegusek, wyhamowując przy ławce.

103

— No i? — Gabryś wstał leniwie.
— No i się odgraża, że wszystko wypapla, jeżeli go nie wypuszczą.
— Albo wyskoczy — dodał znany mi ze stołówki wysmarowany żelem do włosów chłopczyzna.
— Wypapla? O czym? — spojrzałem na pieguska.
— N00...
— On nic nie wie — ostrzegł Gnida.
— Aha — kiwnął głową tamten. — Tak czy siak, chodźcie.
Ruszyli na górę, ja za nimi.
— Ty, bracie, wracaj do pokoju — powstrzymał mnie Gabryś.
— Niby dlaczego?
— Niby dlatego, że nie chcesz być z nami. Czyli że jesteś przeciw nam, zgadza się?
— Nonie wiem...
— To się dowiedz i daj znać. A na razie odczep się od naszych problemów.

Pobiegli i tyle ich widziałem.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i zazgrzytał klucz w zamku. Mama wyszła, zostawiając ją samą. Wróci, jak ochłonie, powiedziała. Ochłonie? Ciekawe, kto bardziej potrzebuje ochłonać, Ania przygryzła wargi.

Spojrzała na aparat domowego telefonu. Nie powinna dzwonić na komórkę, bo to łatwo wypatrzeć na rachunku. Jaki jest numer do Kostka? 068 387 80... i jak dalej?

104

Otworzyła książkę telefoniczną. Zielona Góra. Nie. Po-temkowice... Przelknęła łzę. Trombolin. Palce nerwowo kartkowały cienkie stronic. Paruszczyk Stefan... Pięta Marzanna. To nasz. Czytała bezgłośnie kolejne nazwiska. Psia-kość Zdobysław...Ptak Antonina. Babcia Kostka. Oby ktoś odebrał. Przecież jest niedziela.

Rozdział U.

Parada figlarzy

Nie dowiedziałem się, o co chodziło w tej hecy z Omszałym. Przynajmniej na razie. W gruncie rzeczy mało mnie obchodził los nieznanego chłopaka z Wrocławia. Bardziej interesujące były wydarzenia dziejące się wokół chłopaka z Trombo-lina. Czyli mnie.

Miałem wrażenie, że świat stał się nieostry, pogmatwany i pozbawiony sensu. A może zawsze taki był, tylko dotychczas nie zwracałem na to uwagi? Dojrzewanie jest czynnością bolesną.

Szedłem do pokoju z silnym postanowieniem powstrzymywania złych emocji.

Wybaczyłem nawet Plastusiowi z Walerkiem oddanie gazety Gnidzie, wybaczyłem grzebanie w plecaku i używanie moich kosmetyków, wybaczyłem rozbitą głowę, wybaczyłem...

Wybaczenie skończyło się, kiedy stanąłem pod drzwiami i poczułem swąd dymu. Wiedziony nagłym przecuciem wkroczyłem do pokoju. Nie dowierzałem własnym oczom.

Na stole stał talerz, na talerzu szklana butelka po winie Egri, przy szyjce kopcił się sznurek, a do korka przyklejono jedyne zdjęcie Ani, jakie miałem. Niewyraźne zdjęcie ze spaceru z Dyziem w parku.

Zapomniałem dodać, że żarzący się sznurek też przyklejono do korka. Czuć było również smród denaturatu. Zdaje się, że wszystko miało za chwilę pokazowo spłonąć.

Oderwałem pogniecione, wilgotne zdjęcie, klnąc w myślach, na czym świat stoi. Pośliniłem palce i zgasiłem lont. Z szafy dobiegł mnie szept:

— Jak myślisz, przyszedł już?

— Ciii-choo bądź!

— Ale jak nie przyszedł...?

— Przecież szedł, musiał wejść.

— A jak nie? Wszystko się spali i taki fajny żart na marne pójdzie.

— Nie pójdzie — szepnąłem, przekręcając klucz w drzwiach szafy

— Nie?

— Nie.

— A kto to mówi? — zaniepokoił się głos.

— Wasz rozum — odparłem.

— A co to tak zgrzytnęło? — zaniepokoił się drugi głosik.

— Czy ja wiem? Chyba kosę ostrzą, żeby łby durniom pościnać — odszepnąłem

i przystawiłem do szafy krzesło, opierając je o uchwyt przy drzwiach. — Głównie dowcipnisiom z pierwszych klas.

Kolesie nadawali się do szkoły specjalnej, a nie do poprawczaka. Wspólne z nimi mieszkanie obrażało moją godność.

_ To ty, Mielony? — zapytał któryś ostrożnie. _ Nie, to ja — odparłem. Chłystki uparcie mylą mnie z jakimś Mielonym.

— Rozum?

— Nie, Gyna. Żartowałem z tym rozumem — roześmiałem się z politowaniem. — Żaden rozum by do was nie przyszedł.

— To wychodzimy

— To wychodźcie.

Usiłowali się wydostać, ale zabezpieczenia solidnie trzymały. Po mniej więcej minucie szarpaniny, jęków, tudzież bębnienia pięściami poddali się.

_ Aaa, kapuję — dobiegło z szafy mruknięcie. — Mścisz się za kawał, co?

— Kawał? — podniosłem brwi, rozglądając się przy okazji za czymś metalowym. — Kawał?

Kradniecie, podpalacie i uważacie, że to śmieszne?

Obok talerza leżał widelec ze stołówki. Regulaminami się nie przejmują, braciszku. Pałą sznurki, przynoszą sztućce i włożą do szafy na ubrania. Wszystko to na pewno zabronione.

Wtykając widelec między uchwyty, uświadomiłem sobie, że Rudy miał mnie zapoznać z regulaminem i jakoś zapomniał. Świetnie, zawsze się można powołać na nieznajomość prawa.

_ Mielony, wypuść nas — zaskomlał, sądząc po głosie, Plastuś.

_ Ja ci dam Mielony...

— Cyna, kurczę, bądź człowiekiem — pisał Walerek.

__ Na kolację nie zdążymy, a w brzuchu burczy — załkał plastuś.

Na litość mnie biorą, łajzy

— Na kolację nie zdążycie? A która jest? — usiadłem na tapczanie.

— Czekać... słabo widać... eee... dwadzieścia siedem po piątej.

— W niedzielę kolacja wcześniej. O szóstej już wydają, a czasem za piętnaście — uzupełnił drugi.

— Dzisiaj sałatka z pomidorów i parówki... — czyżbym usłyszał pożądlive mlaskanie? Całkiem możliwe.

Zachodziłem w głowę, jak oni się mieszczą w tak wąskiej szafie. Między półkami?

— Mogę wam przynieść — ziewnąłem głośno. — Chyba można, co?

— Nie można, ale słabo pilnują. Wypuść nas, zrobimy, co zechcesz.

— Kolejkę do kibla ci rano zajmiemy, będziesz mógł do-spać po apelu — kusił Walerek.

Propozycja była kusząca i bardzo życiowa. Po latach doświadczeń z Glutem wiedziałem jednak, że jeśli im poluzuję, nie będę miał spokoju do samego końca. Takich jak oni trzeba trzymać krótko. Poza tym zauważyłem leżące na tapczanie bloczki stołówkowe Plastusia.

— Zrobimy tak — powiedziałem, chowając łup do kieszeni. — Pójdę jeść, a wy grzecznie na mnie poczekacie. Przyniosę wam chleba, żebyście nie płakali — otworzyłem

109

drzwi. — A potem pomyślę, czy warto się z wami ceregielić.

Czym prędzej wyszedłem na korytarz, by nie słuchać grózb i narzekań.

Mieszkańcy piętra mijali mnie w milczeniu, ignorując moją obecność. Jedynie dyżurny piętra Zielonka posłał mi coś w rodzaju uśmiechu i mruknął, że za kwadrans kończy dyżur.

— No i?

— No i tyle.

— To po co mi to mówisz?

— Sam nie wiem — burknął obrażony i opuścił wzrok. Czyżby chciał się zaprzyjaźnić?

Przyjaciół zostawiłem w Trombolinie, nie będę ich szukał w jakimś śmierdzącym internacie.

Poczułem niepokój w kącikach oczu. Niepotrzebnie się rozczulam, muszę być twardy. Jak kamień albo maminy placek.

Zapach nieświeżego jedzenia był bardziej intensywny niż podczas obiadu. Winny był upał, który na zewnątrz prawdopodobnie zelżał, ale tutaj, przy zamkniętych oknach, dostawało się mdłości. Po paru chwilach przekonałem się jednak, że mdłości dostają tylko ja. Chłopaki siedzący przy stołach wtrząchali parówki, aż furczało.

— Ruszaj się, frajerze — wyrwało mnie z zamyślenia wymowne szturchnięcie w plecy. Stałem przed okienkiem na początku długiej, ciągnącej się niemal do drzwi, kolejki.

w

— Floczek — powiedziała nosowo pryszczata dziewczyna w białej chustce na głowie. Spod materiału wyglądały kosmyki czarnych, prostych włosów.

— Floczek?

— Floczek na kolację dafaj!

— No tak, przepraszam — bąknąłem, kładąc oba kartoniki na blacie. — Zamyśliłem się.

— A kolejka czeka — głos z tyłu był pełen pretensji. Obróciłem się, by zapamiętać gościa, ale tak przeciętnej twarzy zapamiętać nie sposób.

— Dlaczego tfa floczki? — chciała wiedzieć dziewczyna, trzymając zaciśnięte palce na talerzu z drugą porcją parówek.

— Drugi dla dowódcy czołgu — uśmiechnąłem się. Nie załapała dowcipu, widocznie była jedną z tych, które nie oglądały Czterech pancernych. Dlatego pracowała jako kuchta, a nie sekretarka.

— Co ty kadasz?

— Nic, zartowałem — odrzekłem, usiłując wyrwać jej talerz. — Kolegę boli noga i podejść nie może. O, tamten gruby w koszulce — niedbale machnąłem ręką. Niech sobie wybierze któregoś.

— Aaa, ten... Fojtek, tak?

— No pewnie że Wojtek — potwierdziłem pośpiesznie.

— Pofiedz tej świni, żeby sam się pofatygował. Zapieraj swoją porcję i spadaj na drzefo.

— Ale ja obiecałem...

Zza pleców dziewczyny wyjrzał jeden z dyżurnych kuchni. Chudzielec o małych, czerwonych, świdrujących

III

oczkach. Na mój widok podskoczył jak mała, po czym wywalił jęzor aż po brodę. Odruchowo odwzajemniłem mu się tym samym.

— Pofiem kierownikowi, że ropisz do mnie durne miny — poczerwieniała dziewczyna. — Jak on się nazyfa? — zwróciła się do przebijającego nóżkami z niecierpliwości, stojącego za mną koleśia.

— Kotlet czy jakoś tak — mruknął typek nieokreślonej urody — Albo może...

— Jacek Plomba — ukloniłem się i korzystając z chwilowej konsternacji, zmyłem się z obiema porcjami. Odprowadziło mnie zbiorowe westchnienie ulgi.

Usiadłem przy stole Omszałego, ale nie pojawił się do końca kolacji. Mam nadzieję, że nie wyskoczył przez okno. Szkoda by było, bo wydał mi się nad wyraz sympatyczny. Mimo insynuacji Walerka, że to morderca. Samo określenie „morderca” w zestawieniu z Omszałym było komiczne. Nie dostrzegłem też żadnego z wychowawców, co akurat nikomu nie przeszkadzało, sądząc po radosnym hałasie.

Wkrótce odkryłem parę innych braków. Na przykład zamiast zapisanej w wiszącym przy okienku „Codziennym menu” sałatki z pomidorów na talerzu widniał mikroskopijny bryzg keczupu.

Brakowało również, w odróżnieniu od innych stołów, dzbanka z herbatą i kubków.

Chleba dali dwie kromeczki, masła starczyło na jedną, parówki wystygły, w związku z czym trudno było obrać je z folii, no i soli do parówek producent nie pożałował.

112

— Cześć, wolne tutaj? — sapnął mi nad uchem jakiś mizernej postury wygolony przyszczol w rozpiętej koszuli w czerwoną kratę. Usiadł, obmacując talerzyk z pieczywem.

— Nie widać? — odpowiedziałem pytaniem.

— A herbaty nie ma?

— A jest?

— No to cześć — pożegnał się równie niespodziewanie, jak się pojawił, i wtopił się w tabun przemierzających się po sali wychowanków.

Odprowadziłem go wzrokiem, przeżuając z niesmakiem kęs zimnego mięsa. Jeżeli w parówkach jest mięso, oczywiście.

Podniosłem drugą kromkę i zauważyłem leżącą pod nią złożoną we czworo karteczkę.

— Mogłaby pani poprosić Kostka? — powtórzyła cierpliwie.

— Halo? Nie bardzo pana słyszę — odpowiedziała miłym głosem staruszka. — Kto mówi?

— Ania Pięta! — westchnęła, czując że traci cierpliwość. — A—NIA PIĘ-TAK, Kostka szukam!

— Hania Piętaowska? — uradowała się pani Antonina. — Witaj, Haneczko, myślałam, że nie żyjesz. Oni tak wtedy strzelali...

— KON-STAN-TY! - przerwała Ania. - KON...

— Mój mąż Konstanty Leopold zaginął w trzydziestym dziewiątym, jeszcze we wrześniu — wpadła jej w słowo staruszka. — Przyjdź na herbatkę z konfiturą, kochanie, przy

иЗ

okazji napiszemy liścik do Kosteczka. Niechaj wraca natychmiast, psotnik jeden! Jestem w wielkiej rozpacz

— Ja też, może nawet w większej — mruknęła dziewczyna i odłożyła słuchawkę. Co za pech! Jak się skontaktować z Ptakiem? Może siedzi na GG, pomyślała, wracając do pokoju.

Karteczka była stronicą wyrwaną z bloku listowego i widniały na niej cztery słowa: północ kibel bądź. OM.

Zagadka dla biednego dziadka, przypomniało mi się powiedzonko z przedszkola. Wstałem, by wypatrzeć „Kraciastego”, ale równało się to wypatrzeniu pojedynczego wągra na twarzy Gniteckiego. Niewykonalne, niestety

Rozdział 12.

Noc przynosi dreszcze

Łazienka miała niską przepustowość, szybko więc zrozumiałem wartość propozycji Plastusia i Walerka. Obaj jednak po wypuszczeniu z szafy, zamiast okazać oczekiwaną wdzięczność, obdarzyli mnie pełnymi pogardy spojrzeniami oraz nieprzyzwoitymi gestami.

— To znaczy, że nie będziecie mi zajmować kibla? Żebym się wyspał?

Prychnięcie przywodzące na myśl wściekłą wiewiórkę oznaczało, że o zajmowanie kibla będę musiał zadbać sam. I o wszystko inne też.

— Kolację jedzcie — wskazałem na wystające spomiędzy kromek chleba zimne parówki w folii. Bez keczupu, gdyż keczup przydzieliłem sobie jeszcze na stolówce.

Nie chcieli, wobec czego zjadłem za nich. Jedzenie nie powinno się marnować. Wodzili wzrokiem za moimi dłońmi i z każdym kęsem przełykali ślinę, jednak złość pozwoliła im przetrwać wieczór z honorem, choć również z pustymi żołądkami.

Przyniesionym skądś żelazkiem wyprasowali sobie spodnie oraz białe koszule, a ja, leżąc na tapczanie, kontemplowałem ich pracę, zastanawiając się przy okazji, jak to jest z tymi bratnimi duszami. Mimo różnic w wyglądzie pasowali

115

do siebie jak rodzeni bracia. Jak Flip i Flap, jak orzeł i reszka, jak miłość i nienawiść. Jak ja i Kostek Ptak.

Na GG zgłosiło się mnóstwo znajomków, lecz numer Kostka był nieaktywny. Jeżeli nie siedział przy komputerze, to gdzie? Może w tej ich Jamie, ale tam...

Przecież nie wyjdę przez okno, pomyślała, szcztokując włosy. Przydałaby się lepsza odżywka i stanowczo trzeba przyciąć końcówki. Jak ja wyglądam? Chodzące nieszczęście.

Wyjęła atlasową bluzkę, powiesiła ją na wieszaku, na czarnej spódnicy. Jutro rano je wyprasuje, żeby wyglądać świeżo. Głowę też umyje rano.

Za dziesięć ósma, a mamy nie ma. Dlaczego mnie zamknęła jak małe dziecko? Zresztą małych dzieci nie wolno zostawiać samych. Prędzej jak psa. Zamknęła mnie jak biednego zrozpaczonego psiaka.

Znów napłynęły łzy, ale tym razem się nie poddała. Płacz spowalniał myślenie, nie mogła sobie na to pozwolić.

Nie zaliczyłem wieczornej toalety, zresztą nie pierwszy raz w życiu. Jutro będzie lepiej. Z prasowaniem ciuchów też dałem sobie spokój. Rozpoczęcie roku szkolnego to nie ślub, nie muszę od razu wskakiwać w smoking.

Zastanawiałem się nad listem od tajemniczego Oma. Przypuszczalnie sam Omszały chciał się ze mną skontaktować, ale po co? I jak mam się obudzić o północy bez budzika?

Postanowiłem machnąć na wszystko ręką, wyspać się i pomyśleć rano. Żałowałem przez moment, że nie mam gazety

116

(j0 poczytania przed snem, ale o wpół do dziesiątej przyszedł wychowawca zwany Wapniakiem, zapytał, czy znam już regulamin śpiewająco i nie czekając na odpowiedź, zgasił światło.

Plastuś z Walerkiem od razu zasnęli i chrapali jak niedźwiedzie. Tylko pozazdrościć. Spali, nie przejmując się moimi westchnieniami za wolnością. Przypuszczalnie nie przejęliby się dożywociem ani karą śmierci. Klasyczny typ więzienny.

Filozofowałem tak długo, aż zmęczenie zrobiło swoje. Podobno warto pamiętać, co się przyśniło na nowym miejscu, bo to prorocze. Ciekawe, ziewnąłem, patrząc na jaśniejący za oknem księżyc.

... dokąd idę? Księżyc świecił niesamowicie jasno, aż oczy raziło. Szedłem wąską wybrukowaną kocimi łbami uliczką, nie przejmując się gasnącymi latarniami. W księżycową noc nie należy przejmować się niczym. Tak ludzie mówią. Chyba...

Należało uciec przed blaskiem księżyca, wejść w mrok. Skręcić w zaułek, wejść w próchniejącą, drewnianą bramę, której skrzydło chwieje się lekko, jakby ktoś przed chwilą tędy przechodził.

Starłem się iść, nie robiąc hałasu, lecz odgłos kroków powracał zwielokrotnionym echem. Nawet kiedy stanąłem. Stuk-stuk. Szur. Szszuur... Zgrzyt metalu o kamień.

Przywarłem do murszejacej ściany jednej z kamienic. Nade mną kołysała się, zawieszona na łańcuchach, drewniana tablica: „Pod Wesołym Wisielcem”. Już tu kiedyś byłem.

117

Ścianę pokrywał białawy krystaliczny nalot. Sól. To musiała być sól, sól jest bardzo ważna.

Najważniejsza. Potarłem palcem chropawą, wilgotną powierzchnię. A jeśli to nie sól? Oblizałem palec. Jednak sól.

— Janek... Drgnąłem zaskoczony

— Janek — szept był dziwnie znajomy

— Utu?

— Kim jest Utu? — głos dobiegał z mroku. Z mrocznych trzewi umierającej kamienicy

— Utu to... — przełknąłem ślinę. — Utu jest... Czułem narastające pragnienie. I dreszcze.

— Utu nie istnieje — odparłem.

— Chcesz pić, prawda? Chciałem pić.

— Chodź, ugasisz pragnienie — powiedział mrok.

Nie chciałem tam iść. Nie mogłem. Wargi pokryły się sztywniejącą warstewką soli. Musiałem tam iść.

— Chcę pić.

— Chodź. Wszedłem.

Ciemność nie była zła. Była chłodna i przynosiła dreszcze, ale nie była zła. O nie.

— Potrzebuję cię, Cyna — powiedziała. — Przyłącz się do mnie, nie pożałujesz.

— Przecież jestem z tobą.

— Napij się, gorąco dzisiaj. Tak słonecznie — ciemność podsunęła otwartą puszkę pepsi light.

119

- Dziwnie smakuje — otarłem usta.

— Tylko pierwszy raz — uśmiechnęła się ciemność. — Wypij jeszcze.

Wypiłem. Ciecz była słodka i lepka. Nie gasiła pragnienia.

— Nie chcę już.

— Nie musisz, tyle wystarczy Obudź się, Cyna.

— Co?

— Obudź się.

Otworzyłem oczy.

— Obudź się, Cyna — szeptała nachylona nade mną postać. Księżyc przesłoniły chmury, było ciemno.

— Utu?

— Cicho, jakie utu, nie rozumiem — syknęła postać. — Wstawaj, byliśmy umówieni.

Nie dostrzegłem twarzy mówiącego, przez co nabrałem podejrzeń. Czyżbym nadal śnił? Dotarło do mnie, że nie śpię, dopiero wówczas, gdy grzmotnąłem stopą o krzesło, a on nie zniknął.

— Co ty wyprawiasz? — zdenerwował się. Na szczęście Plastuś z Walerkiem spali niczym niemowlęta. Głęboko i bezrozumnie. — Ubieraj się.

Włożyłem koszulkę i dżinsy, zasznurowałem buty. Wyszliśmy

Korytarz oświetlony był jedną słabą żarówką nad drzwiami łazienki. Światła wystarczyło jednak na tyle, bym zdumiał się po raz kolejny

— Założyłeś kominiarkę?

120

t

__ Mhm — odpowiedział tamten, mrugając porozumiewawczo. Gdyby nie piżama i kapcie, wyglądałby jak komandos. Ale kominiarka na twarzy i tak robiła odpowiednie wrażenie.

__ Po co?

Syknął, przykładając palec do ust. Należało być cicho.

Magister Teodor Krzywka, chemik z wykształcenia i nauczyciel z zawodu, nie mógł zasnąć. Wbrew wielokrotnym postanowieniom zapalił papierosa, czego natychmiast pożałował. Kaszłąc, rozdusił w popielniczce wypełnioną tytoniem bibułkę aż do filtra.

Otworzył okno, spoglądając na zaciągnięte niebo. Będzie padać. Opłakany koniec wakacji, pokiwał głową ze smutkiem.

Wieczorny telefon od Maruszaka zmroził go swoją treścią. Spowodował, że Krzywka stracił wiarę w człowieka, w umowy i dobre intencje. Roztarł palcem drobiny tytoniu leżące na blacie biurka.

— Pomyślałem, że to skandal, Teoś — mówił geograf zmęczonym głosem. — Choć mnie wcale nie zaskakuje. Wiedziałem, że tak będzie.

— Gdybyś tak przeszedł do meritum, przyjacielu, byłoby nas dwóch wiedzących — Krzywka ściszył telewizor. Oglądał ciekawy film o amerykańskim nauczycielu idealistcie i telefon zadzwonił doprawdy nie w porę.

— Halinka Palik jutro zakłada sprawę Racyniakowi, znalazł się świadek, jakiś kuzyn tego

trogłodyty Hulewicza. Ba-lezy potwierdza i jest chętny Chodzi o pokazówkę.

121

— Jak to zakłada sprawę? — Chemik zakrztusił się herbatą. — Przecież miało być profilaktycznie i polubownie. Powariowali? Złamią chłopakowi życie!

Maruszak milczał chwilę.

— Śmierdzi mi to, Teoś — odezwał się wreszcie. — Racy-niak nie jest przestępcą. Gdyby można było jakoś...

Gdyby można było jakoś... Krzywka jeszcze raz rozwinął przyniesioną przez chłopaka paczuszkę. Wzbraniał się przed angażowaniem w nie swoją sprawę, ale w takiej sytuacji nie mógł pozostać obojętnym.

Wstał od biurka, podszedł do regału z książkami i długo wodził palcem po podniszczonych grzbietach. Toksykologia to nie jego specjalność, psiamać.

Teraz mógłbym się myć, ile wlezie. Ale komu by się chciało moczyć w środku nocy? Policzyłem umywalki. Osiem. Do tego dwa natryski. Trochę mało na czterdziestu chłopaków z piętra.

Spojrzałem w lustro. Nie wyglądałem specjalnie nieświeżo. Napiłbym się wody...

— Właż do kabiny — Omszały szturchnął mnie w plecy.

— Poco?

— Tak będzie bezpieczniej.

— Nie wygłupiaj się, Omszały — zaprotestowałem. Od otwartego okna powiało chłodem.

Zaczął padać deszcz.

— Omszały? Nie jestem Omszałym — mruknął, rozglądając się uważnie. — Zawiedziony?

122

— Raczej zdziwiony — odparłem. — Skąd to OM w podpisie?

— Obrońca Młodych, prosty skrót.

— Młodym, stary, to ja byłem dwa lata temu — parsknąłem. — Bronić możesz Plastusia, a nie mnie. Dam sobie radę.

— Tak ci się tylko wydaje — ciągle mówił szeptem. Nie potrafiłem go zidentyfikować.

— Niech ci będzie, kimkolwiek jesteś — opuściłem deskę, siadając na muszli. — O co biega?

— Dowiesz się, jeszcze chwila — błysnęła podświetlana tarcza zegarka. — Dwie minuty

— Okej, ale ta cała maskarada...

Syknął uciszająco. Z korytarza dobiegły stłumione kroki i pomruk rozmowy. Poczulem dreszcz niepokoju.

— Nawet nie oddychaj — szepnął mi wprost do ucha. Nie oddychałem. Ktoś wszedł do łazienki, kilka osób.

— Sprawdź kible, Boleś — padł rozkaz. Gnida, poznałem od razu.

— Się robi — pisnął dziewczęcy głosik.

Skuliłem się. Cztery kabiny, my w ostatniej. Kroki przemieściły się do umywalni. Boleś nacisnął klamkę pierwszej kabiny

Skrzyp... Skrzyp... Skrzyp... Teraz nasza. Zacisnąłem pięści. W co ja się pakuję? Boleś odszedł.

Wytrzeszczyłem oczy. Dlaczego nie sprawdził? Zamaskowany Obrońca Młodych położył mi dłoń na ramieniu. Tak miało być.

Rozdział 13.

Złoty łup Burego

Gabryś oparł się o umywalkę. Reaktywacja Klanu Zaufanych była jego dziełem, więc odczuwał słuszną satysfakcję. Dawny szary wykonawca czyichś rozkazów sam stał się szefem. Pomyślał o Gosi Rosomak. Gdzież się podziewa ta śmieszna, naiwna dziewczucha? On, w odróżnieniu od Goški, nigdy nie będzie czyjąś przykrywką. Marionetką. Nowy Klan Zaufanych ma nowego przywódcę. Potoczył wzrokiem po sennych twarzach. Kaszlący Guzek, butny Leszczyński, ponury Manik. I trzech młodych. Żelu, Stonoga, Boleś. Podekscytowani i przerażeni. Razem siedmiu. Szczęśliwa siódemka. Cyna mógł być ósmy, ale nie będzie. Wyczyny Racyniaka to mit, a z mitami należy walczyć, obalać je i tworzyć własne.

— Zanim dowiecie się, o co chodzi, złożycie przysięgę — powiedział, wyjmując z kieszeni paczkę

papierosów. Chłopaki wyciągnęły ręce. — Młodzi nie palą — skrzywił, się. — Nie przysługuje, tobie Józek też. Za bardzo kaszlesz.

— Ja kaszlę? — zakaszłał Guzek. — Kpisz sobie czy co? Przyznaj się, że ci szlugów szkoda. — Ciebie mi szkoda — skwitował Gnida. — Ale dosyć o głupotach — zaciągnął się, po czym wypuścił dym nosem. — Przysięga.

124

Między stojącymi rozległ się szmer podniecenia. Manik zaCiągnął się wzorem Gabrysia, lecz z braku wprawy poczuł miękkość w nogach i nudności. Będzie musiał potrenować. Nie to co Leszczu, ten nawet kółka potrafi wydmuchać. Jak parowóz w kreskówce.

— Powtarzajcie za mną — powiedział Gabrys i odchrząknął- Przysięgę układał długo i starannie przez kilka dni. — Klan jest wielki, Klan jest mocny, Klan jak...

— Zając wielkanocny! — wypalił cierpiący na skrzywienie kręgosłupa czarnobrewy Stonoga.

Gnida zgromił profana zimnym spojrzeniem, a Leszczyński dmuchnął mu dymem w oczy

— No co, żartowałem — chłopiec zamrugał zaskoczony.

— Klan jak okręt pośród fal — dokończył Gnida. Powtórzyli nierównym chórem.

Było mi jednocześnie wesoło i strasznie. Choć jak na razie bardziej do śmiechu. Mój zamaskowany „dobroczyńca” wymierzył mi delikatnego kuksańca, bym zachował powagę. Śmiech mógłby nas zdradzić.

— Klan ci ufa, ty mu ufaj i płyn z Klanem w szczęścia dal! — wyrecytował Gnitecki.

Tekst był przydługawy, pompatyczny i trudny do zapamiętania, więc powtarzali, mamrocząc niewyraźnie, za to z mocnym akcentem na „szczęścia dal”. Gnida ledwie hamował złość, nie tak to sobie wyobrażał. Przysięga powinna zapaść im w pamięć jako coś podniosłego, a nie mamrotanie w łazience przy kapiącym kranie.

— Zapalcie zapalniczki — zadysponował, wyjmując swoją

125

z kieszeni. Szkoda, że nie mają pochodni. — I stańcie jakoś.. na bacność może.

— Ale mam mało gazu — jęknął Leszczyński.

— Nie wkurzaj mnie.

Zapłonęły dwa małe ogniki, po nich trzeci. Twarze spowiła migocąca poświata. Oczy nabrały blasku. Gnida odetchnął.

— Jeden wódz i my mu wierni...

— Jeden wódz i my mu wierni.

— Aż po grobu czarny kres... — Gnida zawahał się, patrząc na ziewającego Bolesia. — A ty dlaczego nie powtarzasz?

— Ja? — zakrztusił się Boles. — Ja powtarzam.

— To co było po „wierni”?

— Yyy... grobu czarny kres?

— W porządku — zgodził się Gabrys ku uldze pozostałych. Z powtarzaniem nie szło im najlepiej.

— Parzy mnie w palce — poskarżył się Guzek.

— Wytrzymaj, już kończę. No więc aż po grobu czarny kres... eem... — powiedział Gnida. —

Grobu kres... — w głowie czuł oszałamiającą pustkę. Jak to szło? Przez durnego Bolesia zapomniałem tekstu, zdenerwował się. I rób człowieku klaunom uroczystości.

— Grobu kres — powtórzyli tamci niepewnie.

— Yes, yes, yes\ — dokończył Gabrys. Nic lepszego nie potrafił wymyślić.

Krople deszczu bębniły o blaszany parapet, powodując nieodpartą chęć ziewania. Teodor Krzywka przewrócił kolejną

126

stronicę i potarł opuchnięte powieki. Był zły na siebie za tę nieokiełznaną ciekawość. Zamiast studiować literaturę, powinien najpierw zbadać próbkę. Ale gdzie, w szkolnym laboratorium? Wykluczone. Będzie musiał przeprowadzić analizę w warunkach domowych.

Chociaż z drugiej strony lepiej wiedzieć, czego szukać, niż błądzić w ciemnościach. Wrócił do czytania.

„... dietyloamid kwasu lizergowego...” Hmm. LSD? „... zapis fal mózgowych osoby znajdującej się pod wpływem LSD-25 przypomina stan pobudzenia i niepokoju... efekty zależą od ilości... halucynacje od 8 do 12 godzin. Za krótko. LSD odpada, a szkoda. Byłoby łatwiej, pomyślał, a potem zbeształ się za takie myślenie. Nie chodzi o to, by było łatwiej, chodzi o prawdę. Zerknął na budzik i zamknął książkę. Zostało mu sześć godzin snu. Od biedy wystarczy.

Słuchaliśmy w napięciu. Gabryś nie bawił się w rozwlekłe opisy. Bazował zresztą na przeczytanym w „Pracy Detektywa” artykule, więc jego wiedza siłą rzeczy musiała być okrojona. A poza tym byliśmy tu wszyscy na nielegalu.

— ... i ci dwaj — ciągnął Gnida dumny z wrażenia, jakie wywarł — zakopali to podobno gdzieś w okolicy. Może w rzeźni, kto wie?

— A ten cały skarb Burego — oblizwał wargi Manik — to ile tak na wagę, co?

— Dwanaście kilo — uśmiechnął się Gabryś. ~ Dwanaście kilo złota?

127

— W sztabach i z państwowymi pieczęciami, bracie.

— Ale że nikt przez tyle lat... — zaczął Guzek, lecz roz-1 kaszłał się okropnie.

— Wszyscy myśleli, że tamci zwiali z łupem do Niemiec, a potem do Ameryki, do Burego.

Dopiero kiedy Bury zmarł, wszystko wydało się w testamencie — wyjaśnił Gnida.

— Nie mogli namierzyć ich przez Internet, przecież w sieci łatwo wyłapać przestępców? Czytają maile albo SMS-y w telefonach, to co za problem? — zdziwił się Stonoga.

— Ty, Stonoga, zdaje się, że z historii cienko piszczysz, co? — Leszczyński spojrział na przygarbionego chłopaka z błyskiem pogardy. Sam był jednym z najlepszych uczniów w szkole, dwukrotnym olimpijczykiem. Historia i sztuka były jego pasją. Zwłaszcza w połączeniu ze sobą.

— N00...

— Otóż musisz wiedzieć, że w latach pięćdziesiątych nie było jeszcze Internetu.

— Nie?

— Nie. Telefonów komórkowych również.

— Nabijasz się ze mnie, co nie?

— Niestety nie. I koniec rozmowy — nadał się Leszczu.

Skarb? Magiczne słowo obudziło we mnie detektywa. Gotów byłem wyskoczyć z ukrycia, przyłączyć się do Klanu i szukać złota Burego.

Chłopak w kominiarce chyba wyczuł niepokój. Zacisnął dłoń na moim ramieniu, kręcąc głową.

Przypomniało mi się, z kim miałbym do czynienia. Wspólników trzeba szukać

128

«dzie indziej. Może on by się nadał? Po cóż innego by mnie tu sprowadzał? A Omszały?

— Jest nas siedmiu i siedem kwadratów do przeszukana — usłyszałem szelest papieru. Czyżby Gnida narysował plan sytuacyjny? Mógł też przynieść mapę okolicy, jeśli taka istnieje. Byłem pod wrażeniem. — Latarki kupimy ze składek. Konserwy również.

— Ze składek? — zaniepokoił się Manik. — Ledwie wiąże koniec z końcem, a końca wydatków nie widać. Stanowczo protestuję!

— I po co nam konserwy? — dołożył Guzek, powstrzymując kaszel. Też się zastanawiałem nad tymi konserwami. Najwyraźniej szykują...

Zdrętwiałem. Ktoś wszedł do łazienki. Spojrzałem przez szparę. Dwie postacie przemknęły do umywalni z tłumionym chichotem.

— Co jest, Plastuś? Dlaczego się pałętacie? — usłyszałem pełne niepokoju pytanie Gabrysia.

— Fajek nie dostaniecie — ostrzegł Leszczyński.

— My nie po fajki — powiedział Plastuś.

— A po co?

— Zebranie macie? — zagał Walerek.

— Może i zebranie. Po co przyszliście? Jak siku, to wynocha do kibla — zdenerwował się Gabryś.

— O, i Boles tu jest. I Stonoga — zachwycił się Plastuś. — My też chcemy. Co to za zbiórka?

Nocni Bandyci?

— Filateliści — mruknął Guzek. — Oglądamy znaczki z ćmami — kaszlnął. — Dlatego w nocy. Jarzysz?

129

— Idźcie spać — doradził milczący dotąd Żelu. Czuł się zaszczycony obecnością tutaj, a ci prześmiewcy psuli cały nastrój. Tajemnicy, nielegalu i w ogóle.

— Jak- spać, to spać, ale gdybyście nam dali pooglądać te ćmy — zaczął Plastuś.

— To byśmy wam coś powiedzieli. Coś ważnego — dokończył Walerek. — Ale nie powiemy.

— A o czym nie powiecie? — zapytał Gnida z uroczym uśmiechem.

— A o tym, że Cyna nie ma w pokoju i że pewnie was podsłuchuje — palnął Plastuś ku zaskoczeniu Walerka.

Za oknem rozległ się przeciągły pomruk. Nadciągała burza.

Ania otworzyła oczy Pokój rozgorzał intensywnym białym światłem, pogrzyżył się w ciemnościach, po czym rozgorzał ponownie. Dwa, szybko po sobie następujące grzmoty przetoczyły się nad miastem. Łało.

Dygocąc z przerażenia, podbiegła do okna i zamotana w wydętą wiatrem zasłonę zamknęła je pospiesznie. Hałas ucichł.

— Mamo — szepnęła cichutko. — Przyjdź, proszę. Wstrzymała oddech w nadziei, że usłyszy zbliżające się

kroki. Błysk i grzmot. Cisza. Znowu błysk. Grzmot. Nieco dalej.

— Mamo...

W innej dzielnicy Trombolina nauczyciel chemii przestał walczyć ze snem. Drżąca dłoń powędrowała ku włącznikowi nocnej lampki. Nic, ciemno. Budzik też nie świecił

130

czerwonymi cyframi. Wylaczyli prąd, sapnął poirytowany. Jeszcze brakuje, by spóźnił się pierwszego dnia do pracy

Wymacał w szufladzie niewielką płaską latarkę, pomalo-waną na ciemnozielony kolor. Miał ją jeszcze z wojska. Ile to będzie lat? Dwadzieścia siedem z okładem. Szmata czasu.

Przesunął metalowy suwak i żaróweczka błysnęła wesoło. Pan Krzywka sięgnął po podręcznik toksykologii. „Kwas barbiturowy...”

Rozdział 14,

Ja to mam szczęście

Tupot nóg i wściekłe głosy stanowiły świadectwo tego, że gniew odbiera rozum. Gnida, nie zważając na możliwość wpadki, wbiegł do ubikacji na czele gotującego się ze złości tłumu. Drzwi do kabin otwierały się z hukiem mogącym postawić na nogi całe piętro, ale oni byli ponad to.

— A jednak! — Gabryś odetchnął głęboko na widok skulonej na muszli postaci. — Co tu robisz?

— Co mogę robić w kibelku? — padła spokojna odpowiedź. — Układam puzzle z Chuckiem Norrisem.

— Zdejmij kominiarke.

— To nie kominiarka, ja mam taką twarz.

— Zedrzyjcie mu! — Gnida tracił cierpliwość.

Żelu i Stonoga ochoczo wypełnili rozkaz wodza. Plastuś zaśmiał się podekscytowany Wreszcie coś zaczęło wypełniać bolesną pustkę emocjonalną. Psikusy z Walerkiem to za mało.

Spod czarnej włóczki wyjrzała blada twarz i smutne ciemne oczy

— Gdzie Cyna?

— Kto taki?

— Mielony, Cyna, wszystko jedno — wycedził Gnida.

— Nie znam człowieka.

1)2

— Ten nowy — kaszlnął Guzek.

— On dobrze wie — powiedział Gnida. — Gdzie Cyna?

— Pewnie w hurtowni metali kolorowych.

Błysnęło światło. W łazience stał rozzłoszczony mężczyzna ubrany w niebieski dres. Gęste przetykane siwizną włosy były w nieładzie, jakby ich właściciel wstał przed chwilą z łóżka. I pewnie tak właśnie było.

— Co się dzieje?

— Niiic, panie Władku, rozmawiamy — bąknął Gabryś.

— O wpół do pierwszej?

— Już tak późno? — Guzek spojrział na zegarek z miną zdumionej niewinności. — Ojej.

Zasiedzieliśmy się.

Nozdrza pełniącego nocny dyżur wychowawcy zdrząły niespokojnie.

— Czuję dym. Paliliście papierosy?

— My? — Leszczyński wytrzeszczył oczy — Skądże znowu!

— To kto palił?

— On — palec Walerka wskazał siedzącego na muszli.

— Taa — wychowawca podrapał się w głowę. — Gnitecki i ty... Jak ty się właściwie nazywasz?

Zresztą zaraz się wyjaśni. Obaj do mnie, spisujemy protokół. Reszta spać.

— Protokół? Po co zaraz protokół, panie Władku? — spłoszył się Gabryś. — Serdecznie przepraszamy.

— Przepraszacie na apelu. I zamknąć okno, nie widzicie, że leje? Cała podłoga mokra.

Boleś z niepokojem w oczach przekręcił klamkę okna. Szum ulewy stał się ledwo słyszalny.

133

Stałem wsparty jedną nogą o krawędź parapetu, smagany strumieniami deszczu. Plecami przylegałem do ściany, zacil skając kurczowo palce lewej ręki na grubej wiązce drutów.] Prawą ręką usiłowałem wypchnąć skrzydło okna, ale nadaremnie. Nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, że zdążyłem czmychnąć, czy oplakiwać nieciekawe położenie.

Zdawałem sobie sprawę, że pierwsze piętro to nie wieża Eiffla, ale i tak wysoko. Dobrze, że wiszą jakieś druty, jest sid czego przytrzymać.

Kolejna błyskawica rozświetliła niebo i, nim przebrzmiał grzmot, uświadomiłem sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, to, czego się trzymam w czasie burzy, to nie jakieś tam druty, tylko piorunochron. Po drugie zaś, ktoś stoi pod budynkiem. Dwie osoby

Nie wiem, co gorsze.

Omszały wpatrywał się w otwarte okno z gasnącą nadzieją. Jednak zarys postaci za szybą okazał się grą światła i cieni wśród kropel deszczu, zwykłym złudzeniem. Nikt po niego nie przyszedł.

Wolność była gdzieś tam, niewiarygodnie daleko. Za daleko. Jednak coś się tam działo.

Nie rozumiałem, co mówią, szmer ulewy zagłuszał ciche dźwięki. Widziałem jedynie snopy światła liżące mury i rozmokły piasek. Błysnęło.

Grom uderzył ułamek sekundy później o wiele bliżej, niżbym sobie życzył. Puściłem na moment piorunochron

134

i zakołysawszy się niebezpiecznie, chwyciłem go ponownie. Wyładowania koncentrowały się nade mną.

Faceci z latarkami zniknęli, mogłem schodzić. Odepchnąłem się od ściany, po czym z półobrotu złapałem piorunochron drugą dłonią, macając stopą miejsce oparcia.

Kiedyś czytałem w gazecie o zachowaniu się podczas burzy. Opisywano różne przypadki ludzkiej głupoty, lecz nie znalazłem tam wzmianki o kimś usmażonym na piorunochronie. Będę pierwszy.

Dwie splecione błyskawice, jedna po drugiej. Huk i światło. Ześliznąłem się czym prędzej, drżąc z zimna i przerażenia. Metr, półtora metra. Strasznie wysoko. Czuję, jak dłonie kaleczą ostre zadziory, ale tym się będę martwił, jeśli przeżyję.

Kolejna błyskawica omal mnie nie zmiotła. Woda zalewała twarz, wdzierając się piekącym bólem pod powieki. Znów grom i nieziemskie światło, prosto nade mną.

Skoczyłem. Coś łupnęło głucho pod stopami, pewnie wkopany w ziemię odgromnik.

135

Odbiłem się miękko i wpadłem w kałużę z miłym dla ucha mlaśnięciem.

Błyskawica przemknęła po piorunochronie niemal nie zauważalnie. Poczułem zapach naelektryzowanego powietrza i prawie natychmiast w całym budynku zgasły światła, rów niez te na zewnątrz. Żyję.

Nie było mi dane rozkoszować się tym faktem. W oddal' pojawiła się niewyraźna poświata, wracali ci od latarek.

Przeturlałem się za wkopaną w trawnik ławkę. W samą porę, ponieważ zaraz potem niebo pojaśniało wiązką dalekich wyładowań i ożyły uliczne latarnie. Burza odchodziła. Głosy stały się wyraźne.

— ... włosy stanęły dęba — mówił ktoś, ciężko dysząc z emocji.

— To, to nic — powiedział drugi z mężczyzn. — Kiedyś jak na rybach odpaliliśmy trotyl, to szwagrowi wszystkie nogi urwało. Razem z butami, nowiutkimi jak ze sklepu.

— Ciii — syknął pierwszy. — Jeszcze Zenia coś usłyszy i się narobi.

— Zenia? Ta z portierni? Mówiłeś, że głucha jak pień.

— Głucha, nie głucha — mruknął tamten, stając przy ławce. Stopy miał obute w zielone kalosze.

— Co nie trzeba, to usłyszysz

Głosy mężczyzn były zniekształcone szmerem deszczu, jednak byłem pewien, że znam co najmniej jeden z nich. Tylko który?

Nagle łaskotanie w nozdrzach uświadomiło mi, że zaraz być może dowiem się, z kim mam do czynienia. Jeśli kichnę,

136

namierzają mnie natychmiast. Potarłem nos mokrą dłonią, plącze tutaj stoją? I kim są...

— A jak który nas wypatrzy? Z okna na ten przykład — zastanowił się rozmówca faceta w zielonych kaloszach.

— Śpią — odpowiedź była natychmiastowa.

— A jak nie?

— Władek ma nockę, śpi czujny jak zając. Obudzi się i pogoni. Zresztą w deszczu kto mnie pozna? A ciebie tym bardziej.

Skostnienie. To było najlepsze określenie mojej sytuacji. Skostnienie i gruźlica od leżenia w mokrym ubraniu za ławką. Ja to mam szczęście. A jeszcze przed niespełną półgodziną spałem w najlepsze.

Nieznajomi zwlekali z odejściem, natomiast łaskotanie w nosie nasilało się nieznośnie. Zaczynałem tracić poczucie rzeczywistości. Nagle dotarła do mnie treść wypowiedzianych słów.

— ... może sobie darujemy?

— Darujemy? Człowieku, ty wiesz, ile to jest dwanaście kilo złota?

— Nie wiem — przyznał ten drugi i splunął. Stał teraz blisko mnie. Dżinsy i ciemne sportowe buty, zupełnie przemoczone. — Stoimy w deszczu jak kmioty jakieś. Latarki szkoda, baterie się wyładują. No nie wiem.

— To ci powiem. Za sto gramów tej próby to będzie, licząc po ponad pięć tysięcy razy... dziesięć, no i potem jeszcze razy... O w mordę!

— O w mordę — potwierdził właściciel mokrych dżinsów. — Prawie sześćset patoli! Matko jedyna...

137

Poczułem słuszny gniew. Wszyscy szukają złota Burego, a ja leżę w kałuży Muszę odebrać Gnidzie gazetę i przeczytać dokładnie, co jest grane. Za sześćset tysięcy wynajmę dziesięciu adwokatów, niech mnie wyciągną z tego piekła. I jeszcze udowodnię swoją niewinność.

Niewinność... Posmutniałem. O tym, że jestem niewinny, wiedziałem tylko ja. I może Kostek. Mam dopiero piętnaście lat, prawie piętnaście i pół, a moje życie to ucieczki, ukrywanie się po kątach i tęsknota. Za czymś. A raczej za kimś.

— I co, już ci baterii nie żal?

— Nie aż tak, chociaż co one winne?

— Jakie one?

— No baterie...

— Wracamy, zaczynasz bredzić — głosy zaczęły się oddalać. Latarki zgasły
Na bazie radości straciłem kontrolę nad własnym nosem. Kichnięcie było tak potężne, że o mało mi mózgu przez nozdrza nie wyrzuciło. Co gorsza latarki rozbłysły nagle i podwójny snop światła omiółł okolicę ławki.

— Słyszałeś?

— Coś jakby petarda.

— Coś jakby — potwierdził mężczyzna o znajomym, choć trudnym do zidentyfikowania tembrze głosu. — Ale dymu nie czuć.

— Albo kot szczura złapał, gdzieś tam przy ławce. Sprawdzić trzeba — to był ten od zielonych kaloszy

Pożałowania godne. Może lepiej od razu się ujawnić? Zacząłem się zastanawiać, co powiem, kiedy mnie nakryją, gdy

138

i któregoś z okien wyleciał szklany przedmiot i rozbił się z hukiem o kawałek chodnika przy ławce. Zakrztusiłem się z emocji.

— No popatrz — burknął któryś. — Żarówkami gnojki rzucają, a wychowawca śpi. Jak tam zaraz wejść — podniósł głos.

— Zamknij się i spadamy — syknął drugi.

— Ale...

— Chodu!

Usłyszałem tupot nóg. Skąd ta żarówka? Podszedłem do ściany, wyżejając wzrok. Jedno z okien na parterze było lekko uchylone.

— Ej — szepnąłem. Bez odzewu.

— Ej ty, koleś od żarówki — wychrypiałem nieco głośniejszym głosem. W gardle rozmnażały mi się właśnie miliony wirusów grypy albo innej zarazy, bo czułem się tak, jakbym wypił wrzątek z kawałkami drutu kolczastego.

Cisza jak makiem zasiał.

— No to pies z tobą tańczył — mruknąłem.

Deszcz ustał, postanowiłem więc spróbować szczęścia głównym wejściem od ulicy. Miałem nadzieję, że nie będzie tam o tej porze żadnego dyżurnego, a ta cała pani Żenią z portierni rzeczywiście jest głucha. No i że drzwi będą otwarte...

No tak, stuknąłem się w czoło. Kto zostawia otwarte drzwi do internatu dla młodzieży specjalnej troski? Znaczą się trudnej, chciałem powiedzieć. W dodatku na noc. Zawróciłem.

139

Burza szalała gdzieś nad Trombolinem, więc piorunochron mógł mi parę spraw załatwić. Na przykład bezpieczny powrót. I na przykład uniknięcie kary.

Trzeba włączyć, bo wiatr rozgonił chmury i zrobiło się obrzydliwie jasno. No masz, zaczynam myśleć jak typowe nocne stworzenie. Dajmy na to wampir albo ćma.

Chwyciłem się metalowej plecionki i zapałem nogami

o ścianę. Dłonie zapiekły zapomnianym bólem.

— Auć — syknąłem, zeskakując na dół. Zagrzebana w piachu płyta odgromnika zadudniła głucho. Zaraz ktoś usłyszy i się skończy zabawa. Sprężyłem się. Ręka, noga, ręka, noga... Wysoki ten parter, ale jakoś idzie.

I jak tu nie wierzyć, że człowiek od małpy pochodzi. Ja musiałem mieć nadrzewnego przodka, bo całkiem sprawnie...

Dłoń ześliznęła się nagle z mokrego uchwytu. Balansowałem ciałem, wisząc metr nad ziemią, a moje ramię trzeszczało w stawie. Zaraz mi się urwie. Zamknąłem oczy, próbując zdławić ból.

Coś pacnęło mnie w twarz. Rozwarłem powieki. Przed nosem bujało się skręcone prześcieradło z grubym węzłem na końcu. Uchwyciłem się go z wdzięcznością.

Omszały po raz drugi

Ania kuliła się wsparta na poduszce, drżąc z niepokoju. Burza trwała w nieskończoność, a mama, najwyraźniej mocno na nią obrażona, nie przychodziła. Brakowało jej obecności kogoś, kto przytuliłby ją mocno i pocieszył. Tylko że są sprawy, w których trudno pocieszyć. Dlaczego wdałam się w to wszystko? I jak wytłumaczyć Jankowi, że... Nie zrozumie, oni nigdy nie rozumieją.

Sięgnęła po słuchawki, przez chwilę przeszukując pamięć odtwarzacza. It could be you. You and me all alone...

Otarła łzę. Nie chciała płakać, ale płacz był niezależny od woli. Był ponad wszelkie postanowienia. Oczyszczał i pomagał przetrwać. Leczył i koił. Poddała się.

Wciągnąłem się, tłukąc kolanami o parapet. Gdzie moja kondycja chodźca i skoczek, zastanawiałem się, ciężko dysząc.

— Eee, cześć — powiedziałem do siedzącej w półmroku postaci. Postać wyprostowała się na stojącym pod drzwiami krześle. Milczała.

Spojrzałem na końcówkę prześcieradła przywiązaną do oparcia metalowego łóżka. Wyglądało na szpitalne. I łóżko, i prześcieradło.

141

— Dzięki za pomoc — westchnąłem, rozczesując palcami mokre włosy

— W porządku — odpowiedź była ostrożna w tonie. Raczej wycedził, niż powiedział. Poznałem gościa. — Zawsze pomagam.

— Omszały?

— Tak mnie nazywają.

— Co ty robisz na parterze? W takim... pokoiku — wzrok oswoił się z szarością i mogłem ocenić miejsce. Klitka, chciałoby się powiedzieć. Wąskie łóżko, stolik z krzesłem, szafka i wieszak na ubrania. Izolatka? — Podobno byłeś gdzieś na drugim piętrze?

— Byłem, ale się zmyłem — Omszały podniósł się ciężko. Podeszedł do ramy łóżka i odwiązał prześcieradło. — Bywa.

— Skromnie tutaj — zauważyłem. — Chyba już pójde do siebie — dodałem prędko, licząc, że uniknę niewygodnych pytań. A poza tym znów poczułem łaskotanie w nosie i dreszcze. Muszę się natychmiast przebrać.

— Zaczekaj — burknął Omszały, nie przerywając ścielenia łóżka. Prześcieradło było wygniecione i pełne wilgotnych plam. Jak on na tym będzie spał? — Prawie nie śpiam — oznajmił, widząc moją krytyczną minę.

— Dlaczego? — usiadłem na krześle i podniosłem się zaraz. Siedzenie w mokrych gatkach nie należało do przyjemności.

— Nie twoja sprawa... jak ci tam? Mówiłeś, ale zapomniałem — wyznał z rozbrajającą szczerością. Gdzieś w podświadomości miałem się za pępek świata, ale Omszały wyleczył mnie tym wyznaniem.

142

— Janek Racyniak. Dla kumpli Cyna — wyciągnąłem rękę.

Popatrzył na nią, jakbym podawał mu odbezpieczony granat. Zmieszany potarłem dłoń o koszulkę.

— Cyna? — zadumał się, a potem uśmiechnął. — Można nawet powiedzieć InterCyna, co?

— Nie rozumiem.

— Cyna w internacie, internowany Cyna. Samo się narzuca. Mnie się jakoś nie narzucało.

InterCyna, bardzo śmieszne.

Podreptałem w miejscu. Musiało być już koło drugiej, zaczynałem zasypiać na stojąco.

— To... — odchrząknąłem. Gardło zapłonęło żywym ogniem. — To chcesz czegoś konkretnie czy lubisz patrzeć na szczękające zębami ofermę?

— Otul się — rzucił we mnie kocem. Wolałbym się przebrać w suche ciuchy, ale dobre i to. W końcu facet mi pomógł, choć ma w nosie zawieranie przyjaźni. Ja zresztą też.

Zamotałem się w koc, tłumiąc kichnięcie. Nie chcę sprowadzać nieszczęścia, imieniem Władek.

Albo Zenia.

— Jesteś inny — wykrztusił wreszcie.

— Niż kto? — W kocu zrobiło mi się przyjemnie. I jeszcze bardziej sennie. Dreszcze ustały

— Niż ci wszyscy z Trombolina. Gnitecki, Guzek... Chciałbym ci pomóc.

— Pomóc? — W mej głowie zapaliło się czerwone światełko. — Gdzie masz kominiarkę, Omszały?

— Nie mam kominiarki. Po co ci kominiarka, tu nie ma kominów — zdumiał się.

143

No tak, westchnąłem, to nie on. Nie ten głos i nie ta pc stura.

— .A nic, myślałem przez chwilę, że jesteś...

— OM?

— Wiesz coś o tym? — usiadłem na krześle. Mokre gatki już mi nie przeszkadzały Podeschły chyba.

— Wiem więcej, niż ci się zdaje. I niż im się zdaje. Ciepło ci? — nachylił się nade mną. Spod piżamy wysunął się srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie słońca.

— Fajny słońnik — pochwaliłem.

— Pamiątka — wyprostował się. Wisiorek zniknął. — Naprawdę chcę ci pomóc.

— No, ale w czym? Na razie daję sobie radę.

— W znalezieniu złota Burego. Ręce opadają. W przypiływie naiwności pomyślałem, że trafiłem na bezinteresownego kumpla z wielkiego miasta, a to kolejny poszukiwacz majątku. I to państwowego, jeśli dobrze kombinuję.

— Nie szukam złota Burego. Szukam sposobu wydostania się na wolność.

— To nie więzienie. A o złocie wszyscy trąbią, podobno jesteś specjalistą od takich rzeczy. A ja mam parę informacji...

— Dzięki za pomocną dłoń, stary, ale daruj sobie. Niczego nie szukam, a już guza na pewno — podniosłem się.

— Jak chcesz — posmutniał. — Na złocie mi nie zależy Pomyślałem tylko, że garść informacji się przyda. Pomyślałem, że jak zostaniesz bohaterem...

144

— To źle pomyślałeś — rzuciłem od drzwi. — Lubię cię, jednak święty spokój to podstawa przetrwania. Cześć — powiesiłem koc na krześle. — Zobaczymy się na śniadaniu.

Wyszedłem, starając się nie hałasować.

Ogólnie parter przypominał pierwsze piętro. Taki sam korytarz pełen drzwi, ta sama wypolerowana podłoga, takie same durne obrazki z kwiatami na ścianach i lamperia pomalowana na kremowo. Był jednak wyjątek. Na parterze, tuż przy końcu korytarza mieścił się pokój wychowawców, o czym

dowiedziałem się, kiedy go minąłem. A za załomem, obok donicy z palmą, siedział na schodach siwy facet w niebieskim dresie, z papierosem przyklepionym do ust. Na mój widok zakrztusił się dymem.

— A ty, ykhm, co?

— He? — też byłem zaskoczony Zbaraniały wręcz.

— Pytam — odetchnął głęboko — co ty tutaj robisz?

— Idę.

— Gdzie?

— Chyba dokąd?

— No to dokąd?

— Do siebie.

— Aha.

Przetrawił moją odpowiedź, wstał i przyjrzał mi się bacznie.

— Jesteś mokry?

— No tak, brałem kąpiel. Prysznic raczej.

— W ubraniu? — podniósł brwi. Potarłem dłonią o wilgotną koszulkę.

— W ubraniu — potwierdziłem. — Woda zimna, nie chciałem się przeziębic.

Zaciągnął się nerwowo, po czym oznajmił ponuro:

— W nocy nie wolno się kąpać.

— A palić wolno? — wskazałem głową metalową tabliczkę z napisem ZAKAZ PALENIA.

Znów się zakrztusił.

— Nazwisko?

— Zdzisiek... — zacząłem odruchowo. — Znaczy się Janek Racyniak.

146

— Aha, zaraz zanotuję — obiecał. — A teraz jazda spać!

— O niczym innym nie marzę, dobranoc — ziewnąłem i pobiegłem schodami, sadząc ogromne susy.

— Dobranoc — wymruczał pan Włodek po dłuższej chwili. Spojrzał na tabliczkę z przekreślonym papierosem, pokręcił głową i wcisnął niedopałek w podsuszoną ziemię wynędzniałej palmy

— W ubraniu się kąpią, psia ich mać — zdjął kaptura i zaczął nim rozwiewać dym. — Prać się im nie chce, leniom śmierdzącym — w głosie wychowawcy zabrzmiała nuta żalu. — I weź tu takich wychowuj za nędzne grosze.

Splunął na podłogę, westchnął i rozartał plwociny skarpetką. Na wszelki wypadek.

Przebrałem się w piżamę i wskoczyłem pod kołdrę. Pla-stuś z Walerkiem spali, pochrapując rozkosznie. Od razu widać, że to właściwi kołesie na właściwym miejscu. Wróżę im świetlaną przyszłość w najlepszych więzieniach w kraju. A może i za granicą? Któż to może wiedzieć?

Sen długo nie nadchodził i kiedy w końcu nadszedł, nie należał do najprzyjemniejszych.

... wybrukowana uliczka. Znajomy smród pleśni i szczurzych odchodów, kamienice znaczone lizajami odpadającego tynku. Nie chciałem tutaj być. A jednak byłem.

Dlaczego jest tak jasno? Za jasno jak na pochmurną, bezksiężycową noc. Za jasno jak na smętnie wygaszone latarnie.

147

Tablica karczmy „Pod Wesołym Wisielcem” chwiała się delikatnie na porzdewiałych łańcuchach.

Skrzyp — skrzyp, skrzyp — skrzyp. Cisza.

Spojrzałem na nią. Pokryta była czymś białym. Sól?

Spod grubej krystalicznie lśniącej warstwy wyglądał ledwie widoczny napis Pod... elcem. Chyba powinno być Podleciem, zastanowiłem się.

— Janek...

— Utu?

— Daj spokój, żaden Utu. Nie poznajesz mnie? Czuję pragnienie. To nie mogła być sól, jest zbyt gorzka,

stwierdziłem ni stąd, ni zowąd.

— Chcesz pić, prawda? — mówiący ukrywał się w cieniu, gdzieś w bramie.

Chciałem pić. Marzyłem o piciu. Konałem z pragnienia.

— Kostek?

Ręka z otwartą puszką pepsi light cofnęła się. Mrok odpowiedział chrapliwym, kpiącym śmiechem. Nie mogłem pozwolić mu odejść.

— Chcę pić, proszę.

— Masz, pij — ręka pojawiła się znowu.

— Dziwnie smakuje, prawda?

— Tylko pierwszy raz — uśmiechnęła się ciemność. — Wypij jeszcze.

— Mam ci pomóc? — Głos zmienił barwę. — Wyskakuj z wyra.

— Dlaczego?

— Wstawaj, Mielony, szósta trzydzieści!

148

Otworzyłem oczy

Był dzień, a nade mną wisiała wykrzywiona szelmowskim uśmiechem gęba Walerka.

— Pobudka! — wrzasnął, po czym chlusnął mi w twarz wodą z kubka.

Witaj, nowy dniu.

Rozdział 16.

Tresura kocura

Wcisnąłem się do zatłoczonej łazienki, zaklepałem kolejkę do umywalki i zręcznie operując barkami, biodrami, tudzież rozdzielając dyskretne kuksańce, wepchałem się do ubikacji po zaledwie dziesięciu minutach.

Przy okazji rzuciłem okiem na regulamin internatu, przekazany mi przez wystraszonego chłystka o ksywce Gizmo „z polecenia pana Witka Rudziawki”. Przypomniało się Rudemu o obowiązkach.

Regulamin miał postać słabo czytelnej kserówki z widocznymi plamami od kawy. Składał się z godzinowego rozkładu dnia, kilku praw i długiej listy obowiązków, z których najważniejszym było przestrzeganie regulaminu. Zabawne. Wkrótce przekonałem się, jak zabawne.

Pośpiech był wskazany, ponieważ do śniadania zostało niewiele czasu. Coś koło piętnastu minut. A o siódmej trzydzieści miał być apel. Krótkie, nic nie mówiące słowo „apel”.

W umywalni panował zaduch, z kranów tryskała gorąca woda, w zaparowanych lustrach nie sposób się było przejrzeć, a pastą do zębów wysmarowano wszystko, co możliwe. Słowem, jak w domu.

— Miau, miau — zamiauczał mi któryś nad uchem. Akurat myłem zęby

150

— ■ Czo? — spojrzałem na niego ze szczoteczką w ustach. Był to znany mi z widzenia wczorajszy dyżurny stołówki, długowłosey pętał.

— Miau-u — odpowiedział.

— Hau, hau — szczeknąłem, wypluwszy pastę. Przez umywalnię przetoczyła się fala rechotów.

— Ale ci się odszczeknął, Franio. Tak się dajesz? — podjudził smarujący włosy żelem chłoptaś.

Wzruszyłem ramionami i namydliłem dłonie. Franio przemyślał sprawę.

— To ja tu jestem od miauczenia, kocie — warknął.

— Coś ci się pomyliło, malutki — opłukałem dłonie i twarz. — Jak szukasz kota, idź do swojej wąsatej ciotki. Pewnie ma niejednego.

Franio stracił rezon, zgarbił się i poszarzał. Rozejrzałem się za ręcznikiem, ale go wcięło.

— Gdzie mój ręcznik?

— Ten? — Żelu podniósł oczy Ja również.

Ręcznik wisiał przewieszony przez jedno z krótkich skrzydeł wentylatora pod sufitem. Jak oni go tam powiesili? I kiedy?

— Oddawajcie!

Na milczących twarzach malowały się bezczelne uśmiechy. Zdawać by się mogło, że lada chwila eksplodują z uciechy.

— Długo mam czekać?

— Miau? — zapytał Franio, odzyskawszy rezon.

— Co proszę?

151

- On chciał powiedzieć, że skoro to twój koci ręcznik, to sam go sobie zdejmij — wytłumaczył jakiś tłusty osobnik o ciemnej karnacji i wąskich oczkach.

— Powinieneś jeszcze dodać miau, Eskimos — odpowiedział Żelu.

— Miau — powiedział Eskimos posłusznie

— No dobra, mam fruujący ręcznik — postanowiłem pójść na ugodę. — Zdejmę go sam, na przykład... — zobaczyłem stojącą pod umywalką ssawkę do przetykania odpływu. Trochę krótka, ale może być. — Zdejmę go na przykład tym. A wy mi nie będziecie przeszkadzać, okej?

Nie było odpowiedzi, co przyjąłem za milczącą akceptację. Wspiąłem się na palce, usiłując strącić ręcznik gumową końcówką. Brakowało dosłownie paru centymetrów. Zacząłem podskakiwać i wtedy nie wytrzymali.

— A mówiłem, że będzie skakał? — chichotał Franio.

— Kici, kici, koteczku — Eskimos prawie płakał ze śmiechu. — Hop do góry na pazury!

— Może wolisz kłębek wełny? — zawołał ktoś inny Zacisnąłem zęby Już go prawie miałem, kiedy

wentylator

zabuczał nagle i ruszył z szarpnięciem. Tego się nie spodziewałem.

— Teraz twój ręcznik naprawdę fruwa — ucieszył się Żelu. — Widzieliście kiedyś latający koci ręcznik? — zapytał, mrugając do rozbawionych chłopaków.

Ugodę diabli wzięli. Leszczyński nie kłamał, witając mnie w piekle. Dostyc dobrego wychowania. Chwyciłem Żela za rękę.

152

— Ściągaj, cwaniaku! — warknąłem.

— Chwilunia — w umywalni pojawił się Gnida odpicowany w białą koszulę i czarne spodnie. Za nim czaił się Guzek i Leszczu, obaj podobnie wystrojeni. — Co jest, Żelu? Wygląpy od rana?

wy

— Tresujemy kocura mamrotał spłoszony kawalarz.

— Odbiło ci? — Gabryś wyłączył wentylator. Ręcznik ześliznął się i opadł na podłogę.

Podniosłem go czym prędzej, przyciskając do piersi. Było na nim sporo kurzu, ale co tam.

— Cyna nie jest kotem — wyjaśnił Guzek i kaszlnął dyskretnie w rękaw.

— W odróżnieniu od ciebie — pociągnął za nim Gnida.

— Jak to Cyna? Już nie Mielony? — zdenerwował się Żelu. — I jak to ja jestem kotem? Przecież...

— I jak to ja jestem kotem? — powtórzył nosowo Leszczyński, udanie parodiując zdezorientowanego kolegę. A kto zwiął z obcinki w zeszłym roku? A kto płakał Kierol wi w koszulę, że chcą go zabić?

— Myśmy pozwolili się ochrzcić — przypomniał Gabryś. — Ty, Żelu, nie.

— A Cyna? — pobladły chłopak przełknął ślinę. — Kied go obcieliście? Jest dopiero jeden dzień.

— I wystarczyło — Gabryś machnął ręką. — Cyna jest obcięty i pod ochroną, rozumiano?

— Ale... to nie twoje piętro — bąknął Eskimos.

— Doprawdy? — Gnida wziął się pod boki i zmarszcz czoło. — Jazda na śniadanie, bo będzie dym! Chcecie dymu.

Nie chcieli, nawet nie pisnęli. Przyglądałem się z niejaki uznaniem temu pokazowi siły Gnitecki miał charyzmę, trud no tego nie zauważyć. I spory posłuch.

Korzystając z okazji, wmontowałem się w grupę wychodzącą z łazienki, lecz Gnida puknął mnie palcem w piec i powiedział:

— Ty jeszcze nie, jest sprawa.

— Nie mam z tobą spraw. Nie wspominałem o tym? próbowałem wyjść. Niestety Guzek z Leszczem zataraso wali drzwi własnymi ciałami, wypiąwszy na mnie cherlawe piersi.

— Aleś ty uparty — Gnida pokręcił głową. — Nawet pogadać nie chcesz, nieładnie, bracie. Poddałem się, bo wiedziałem, że będzie mnie nękał w nieskończoność.

154

— No dobrze — westchnąłem. — Skąd ta nagła zmiana klimatu?

— Co masz na myśli?

— Cyna jest pod ochroną, Cyna jest... — uciekło mi inter-nackie słówko.

— Obcięty? — Gnida obdarzył mnie uśmiechem. — Nie uważasz, że to fajnie? Nie będą cię tresować, miauczeć, robić dowcipów — wyliczał na palcach. — I to prawie za friko. Za pół darmo, chciałoby się powiedzieć.

— Za bezcen nieomalże — nie omieszkał wtrącić Guzek. Zaraz zresztą rozkaszał się brzydtko.

— Czyli co? — zacząłem czuć się osaczony — Mam wstąpić do Klanu?

— Absolutnie nie — Gnida wyszczerzył zęby. — Wiem, że z trudnych do zrozumienia przyczyn Klan ci nie leży. Trudno, szanuję wybór.

— A szczerze?

— A szczerze? — zamyślił się. — Mówi się, że jak nie możesz kogoś pokonać, to się z nim zaprzyjaźnij. Ty nie chcesz przyjaźni, więc proponuję ci jedynie współpracę. Drobna zapłata za święty spokój.

— Jakiś konkretny? — miałem pewność, że jeśli rozmowa się przeciągnie, będą kłopoty. W najlepszym przypadku nie zjem śniadania. A w najgorszym?

— Proszę bardzo — Gnida zerknął na zegarek. Też mu się spieszyło. — Pomożesz nam szukać złota.

— Wynajmiemy cię, bo masz nosa — wtrącił się Guzek. — Będzie szybciej.

155

— Kupa forsy na nas czterech, podzielimy się uczciwie J kusił Leszczyński.

— Na czterech? Czyli wy trzej i ja? A Manik i inni z Klanu?

— Patrykowi się powie, że rezygnujemy Nie musi wiedzieć, inni też — Gnida zatarł ręce.

I ktoś tu przed chwilą mówił o uczciwości? Żalodne. Ale ja też znam przysłowia i jedno z nich mówi, że jeśli wlałeś między wrony, musisz te wrony udawać. Czy jakoś tak.

Gnida, widząc moją niezdecydowaną minę, dodał, że Ma-nikowi odbije, jak zobaczy tyle pieniędzy, więc to dla jego dobra.

— Żeby z radości nie podpalił budy Wiesz, jaki on jest.

— Dobra, dobiliśmy targu — skubnąłem się w ucho. Zawsze kiedy kręcę, skubię się odruchowo.

— Powiedz, kiedy spotkanie, bo chyba nie teraz, co?

— Po obiedzie dam ci znać, co i jak — ucieszył się Gabryś. — Może nie jesteś całkiem stracony dla świata?

— Może i nie, cześć! — rzuciłem na odchodnym, zastanawiając się, dlaczego moi współlokatorzy nie przyszli się umyć.

Leszczyński odprowadził wychodzącego wzrokiem.

— Prowokacja zadziałała, miałeś rację, Gabryś.

— Myślisz, że to kupił?

— Coś za łatwo się zgodził — mruknął zaniepokojony Guzek. — Ja bym mu nie wierzył, zawsze robił nas w jajo. Jeszcze coś wywinie.

— Zobaczymy — Gnida splunął do umywalki. — Jak nam nie pomoże, dzwonię do Skunksa, niech działa.

156

— Wyjdiesz na miasto? — Leszczu ziewnął. Noc była krótka, zbyt krótka jak na niego.

— A po co? Zadzwoń z komórki — Gnida wyjął z kieszeni telefon.

— Skąd to masz? Przecież nam zarekwirowali?!

— Zarekwirowali, owszem — Gabryś obejrzał paznokcie, po czym odgryzł zadarty kawałek. — Ale Rudy mi wczoraj oddał.

— Jak to oddał?

— Poprosiłem grzecznie, to oddał — odpowiedział Gnida tajemniczo. — I już.

— Jak ja grzecznie prosiłem, to mi nawet kieszonkowego z depozytu nie oddał — narzekał Guzek, pokaszując co drugie słowo. — Zawsze są równi i równiejsi. Dlaczego ja nie jestem równiejszy?

Na śniadanie spóźniłem się trzy minuty Niby nic, a piętnaście punktów karnych Rudy mi zapisał.

Pięć za minutę, piękny przelicznik. Przy stole sprawdziłem w regulaminie akapit o punktach karnych. Pkt. 10. Kary

a) Wychowanek otrzymuje tzw. punkty karne za naruszanie regulaminu internatu każdorazowo stosownie do przewinienia (tabela przeliczeniowa — zał.23d. do wglądu u wychowawców). Suma 100 punktów karnych skutkuje zakazem opuszczania budynku internatu na 1 miesiąc bezwarunkowo. Po tym okresie naliczanie punktów odbywa się od początku, chyba że wychowanek podczas zakazu naruszył...

157

Nazbierałem trzydzieści w ciągu kilkunastu godzin, to chyba rekord? Do wtorku mogę mieć setkę bez wysiłku. Spojrzałem na zadowolonego z siebie wychowawcę. Jakież to mdłe, pomyślałem, usiłując posmarować chleb masłem prosto z lodówki. Wreszcie dałem sobie spokój. Położyłem wędlinę na maślane grudy, odgryzłem kawałek i przełknąłem, popijając kawą śmierdzącą przypalonym mlekiem.

Planowałem usiąść przy Omszałym, ale Rudy kazał mi zająć inny stolik, na środku jadalni.

— Muszę cię mieć na oku — stwierdził kwaśno. Jadł jajecznicę na boczku. Dlaczego nie mortadełę jak my?

Kilka minut potem przyszedł Gnida z koleśkami i nie zaczepiani przez wychowawcę dosiedli się do pałaszującego kanapki Manika. Rozbawieni opowiadali coś, gestykulując z rozmachem, a ja czekałem, kiedy pan Witek podejdzie do nich z notesem i wpisze karniaki. Nie doczekałem się. Coś mi nie grało. Tylko że mi często coś nie gra, westchnąłem, kończąc jedzenie. Chwilę później wydarzyło się coś nieoczekiwanego i przyjemnego zarazem.

Kiedy Plastuś, wychodząc ze stołówki, wywalił do mnie jęczor, postukałem się w czoło, ale kiedy został za to skarcony przez Walerka, szczeka mi opadła. Mało tego, obaj zaraz ukłonili się przepraszająco.

Hmm...

Rozdział 17.

Honor rodu Hulewiczów

Na apelu dowiedziałem się, dlaczego warto znać regulamin. Okazało się, że j jestem j edynym normalnie ubranym osobnikiem spośród stu kilkunastu wciśniętych w czarne lub granatowe spodnie i białe koszule. Niektórzy nawet krawaty pozakładali.

Ustawiliśmy się na asfaltowym boisku czwórkami w równych szeregach, w kolejności pokoi od parteru po drugie piętro. Bezwiednie poddałem się woli bardzo stanowczych dyżurnych piętra, reagując jedynie na mocniejsze szturchańce jeszcze mocniejszymi szturchańcami.

— Nieźle Cyna, nieźle — uśmiechnął się Zielonka, wczorajszy dyżurny. — Podziwiam odwagę.

— E tam — wydałem wargi. — Obrona własna nie świadczy o odwadze.

— Nie to miałem na myśli — stwierdził tajemniczo.

— E tam — odpowiedziałem po raz drugi. Zadziałało, bo Zielonka posmutniał i się odczepił.

Niespokojne spojrzenia stojących przy mnie Plastusia i Walerka dawały wiele do myślenia, pomyślałem więc, że martwią się nocnymi ekscesami. Przecież ten cały pan Władek „Papierośnik”, jak go nazwałem, miał spisać protokół, a to brzmi poważnie.

159

Wyszło na to, że jednak nie. Chodziło o naruszenie regulaminu odnośnie do uroczystych apeli.

Brzuchaty, przypominający chomika, wychowawca zwany Wapniakiem dokonał inspekcji, po czym wyciągnął mnie przed szereg.

— Dwadzieścia pięć w plecy, szanowny panie — wysapał, poprawiając ciasny kołnierz. —

Dwadzieścia pięć!

— Za co? Przecież nic nie zrobiłem — zaprotestowałem słabym głosem.

— Ano właśnie — na twarz Wapniaka wypelzły czerwone plamy — Nic nie zrobiłeś, a miałeś!

— Co miałem?

— Miałeś się przebrać i wyglądać godnie — zgrzytnął Wapniak. — Ot, co miałeś! I nie mów, że nie wzięłeś porządnego ubrania. W zaleceniach od kierownika było o tym na pewno.

Zmroziła mnie świadomość, że ma rację. Mama kupiła mi czarne spodnie, kilka par czarnych skarpet i białą koszulę. Włożyła je do osobnej reklamówki i powtórzyła kilka razy, po co to jest. Po to właśnie.

— Nikt mi nie powiedział, że dzisiaj...

— Nikt nie musi ci mówić — przerwał przysłuchujący się temu Rudziawka. — Dostałeś regulamin?

— Dostałem, ale...

— No więc koniec dyskusji.

— Ja tylko...

— Internat baczność! — huknął nagle pan Witek. Odruchowo cofnąłem się między chłopaków W oczach

Rudego błysnął gniew.

160

— Na prawo patrz! — Głowy wychowanków błyskawicznie obróciły się we wskazanym kierunku. Podążyłem za nimi.

Od strony stołówki nadciągał elegancko ubrany niewysoki mężczyzna w kapeluszu. W pierwszej chwili nie poznałem gościa. Dopiero gdy zdjął kapelusz i przyjrzałem się nalanej twarzy oraz spoconej łysinie, zobaczyłem, że to magister Eustachy Kierol we własnej kierowniczej osobie. Rudy podbiegł do niego na sztywnych nogach i przykładając palce do czoła, zaczął meldować coś niezrozumiale. Roześmiałem się na ten widok. Niestety nikt mi nie wtórował, za to zaniepokojony Wapniak zasyczał ostrzegawczo.

— Internat, spocznij! — rzucił Rudziawka z ulgą i zmył się z pola widzenia.

— No to, robaczki, dzień dobry! — wyszczerzył się kierownik. — Wszystko w porządku?

Chciałem powiedzieć, że masła nie da się rozsmarować, a kucharki są złośliwie, ale mnie zagłuszyli gromkim okrzykiem:

— TAK, PANIE WNIKU!

— No i tak trzymać — Kierol pokiwał głową, wyjął z kieszeni marynarki fajkę i schował ją zaraz, westchnąwszy żałościwie. — Wakacje się skończyły, robaczki, rok szkolny się zaczął. Chciałem powitać was wszystkich, a także nowego wychowanka ze szkoły w Trombolinie... — zerknął na karteczkę — Jana Racyniaka.

Rozległy się mizerne brawa. Zdaje się, że klaskali jedynie członkowie Klanu Zaufanych i Zielonka, co było przygnębiające.

161

Kierownik mówił długo o czekających nas wyzwaniach o dbaniu o dobre imię internatu i gimnazjum, o myśleniu o przyszłości. Moje myślenie o przyszłości kończyło się na półroczu. Przeżyć karę, wrócić do Trombolina i, co najważniejsze, w piątek odwiedzić Anię. Jeszcze cztery dni i weekend, pocieszałem się. Istniało co prawda niebezpieczeństwo nabierania tylu punktów karnych, że się stąd nie ruszę, ale postanowiłem się pilnować.

_ I to na tyle, robaczki, do zobaczenia na inaugura-ij — Kierol wsadził fajkę w usta, machnął dłonią w okolicy czoła.

Miałem wrażenie, że powiedział o czymś ważnym, że kiedy pograżyłem się w myślach wspomniał o... O czym?

— Wszystko jasne? — zapytał.

— TAK, PANIE WNIKU!!! - gromki okrzyk umarłego postawiłby na nogi. Nic więc dziwnego, że pobliskie wróble uciekły i do południa żadnego nie było widać.

— Internat baczość! — wydarł się Rudy. Wyprężone szeregi zwarły szyki.

— Na prawo patrz!

Uśmiechnięty kierownik oddalił się niespiesznie. Po długiej chwili padła komenda:

— Do sal rozejść się!

Posłusznie ruszyłem z innymi, ale dopadli mnie wychowawcy.

— Nie tak prędko, kochaneczku — zmarszczył się Wapniak. — Co to było?

— Niby co? — zapytałem pełen niepokoju.

— To wciskanie się w szereg bez pozwolenia — wyjaśnił Rudy ponuro. — Mieliliśmy cię podać jako przykład negatywny

— Powinna być nagana i pięćdziesiąt na garbie. Czujesz to? — skrzywił się Wapniak.

— Proszę pana — jęknąłem. — To wszystko odruchowo i niechcący. Nie miałem zamiaru...

— Myśmy go wciągnęli — niczym spod ziemi wyłonił się Gnitecki.

163

— Słucham? — Wapniak zamrugał zaskoczony.

— Myśmy... a konkretnie ja — Gnida spojrzał Rudemu w oczy — Szarpnąłem go do tyłu, dlatego się cofnął.

— Ale... ale dlaczego? — starszy z wychowawców zdawał się nie rozumieć tego, co słyszy.

— No bo go nie lubimy — padła brzmiąca szczerze odpowiedź. — Chcieliśmy, żeby miał przerąbane, proszę pana.

— Czyli ten... ten jak mu tam — Wapniak potarł policzki — niewinny?

— Niewinny, proszę pana — Gnida mówił podejrzenie beztrąsko. Nie wiedziałem, co o tym

myśleć.

— Nie bardzo rozumiem — stropił się mężczyzna. — Jeżeli to twoja wina, dostaniesz punkty karne. Przecież wiesz.

— Wiem — Gabrys udał przygnębienie. — Ale założyłem się z nimi — wskazał na pętających się opodal Guzka, Leszcza i Manika — że jak pan kierownik wyjmie fajkę na koniec, to się przyznam. No i wyjął, a zakład jest honorowy, sam pan rozumie.

— Taa... — Wapniak był lekko zakrecony — Muszę ci... muszę ci wpisać ze dwadzieścia za niestosowne... — zaczął wygrzebywać z kieszeni pomięte karteluski. — Gdzieś tu miałem notesik — mrucał.

— Ja mu wpiszę — zaoferował się Rudy. — Nie szukaj.

— Ale on zdaje się jest w moim rewirze? — zapytał Wapniak niepewnie.

— To nic — pan Witek poklepał go po ramieniu. — Zapiszę, a potem przypomnę. Chodźcie, chłopaki — kiwnął na nas.

164

Odeszliśmy, zostawiając ogłupiałego Wapniaka na środku asfaltowego boiska.

— Żebyś mi się, Gnitecki, więcej nie wtrącał w sprawy — wycedził, nie zważając na moją obecność.

— Bo co? — z pytania Gnidy przebijała spora buta, żeby nie powiedzieć chamstwo.

— Bo się inaczej policzymy

— Panie Witku, pan wie, że ja wiem — powiedział Gabrys nieco pokorniej.

— Gdybym ja wiedział to, co ty, uważałbym na siebie — ostrzegł Rudy — Przeginięcie pały ma swoje granice.

Gnida poblądł.

— To ostatni raz — wymamrotał. — Kolegę chciałem ratować.

Rudy spojrział na mnie nieprzyjemnie.

— Ty też na siebie uważaj mały, wścibstwo cię kiedyś zgubi. I nikt cię nie znajdzie.

Zabrzmiało to tyleż tajemniczo co złowrogo. Rudziawka miał mroczną tajemnicę, którą znał Gnida. Ślepy by to zauważył, a głuchy usłyszał.

— Chcesz mi coś powiedzieć? — zapytałem Gniteckiego, kiedy wróciliśmy do internatu.

— Nie.

— Na pewno?

— Gdybym chciał, Cyna, już dawno bym powiedział. Ale to gorsze niż kładzenie się na szynach przed pociągiem. Tam jest jakaś szansa, tu żadnej.

— Chłopaki wiedzą?

165

— Stuknij ty się w dynię i spadaj. Nie będę o tym mówił. Odwróciłem się obrażony

— Zaczekaj — powstrzymał mnie Gnida. — Coś ty ta" nerwowo? Miałem ci powiedzieć, że o dziewiątej jest ape szkolny, na korbie z drugiej strony budynku. My nie wcho dzimy od ulicy tylko od wewnątrz. Jak wyjdiesz, zobaczysz małe oszklone drzwi z numerem 7a.

— Po co mi to mówisz? Zapytałbym Walerka.

— Mówię ci, bo chodzimy do tej samej klasy, jak kiedyś Cieszysz się?

— Niezmiernie — zachmurzyłem się. — Aż mnie bok bolą z radości.

W tym samym czasie na dziedzińcu trombolińskiego gim nazjum imienia Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej kończyły się przygotowania do inauguracji roku szkolnego.

Woźny Wąsik pohukiwał na przestraszonych drugoklasi stów, którzy mieli poustawiać krzesła dla nauczycieli i zawiesić flagę państwową na maszcie.

— Sam bym to lepiej zrobił, łamagi nieszczęsne — narzekał, dyskretnie trzymając w dłoni zapalonego papierosa. Dyrektor kilkakrotnie zwracał mu uwagę, by nie palił przy uczniach, więc się maskował.

— To niech pan robi — zawołał któryś w złości.

— Który to powiedział? — dopytywał się Wąsik. — Niech no ja przyważę tego bezczelnego... — zawahał się — typka, to mu nogi... — znowu się zawahał — to mu nogi i już! — dokończył, widząc

nadchodzących nauczycieli.

166

Rzucił papierosa i zgasił go czubkiem buta. Krzywka i Maruszak, dziwna komitywa, pomyślał.

— Mówię ci, Teoś, jak się sprawy mają — ciągnął geograf. — Dzień dobry panie Stefku — przerwał na widok woźnego. Krzywka też się uklonił.

— Komu dobry, temu dobry — sposepniał woźny — Wy świętować, a mnie roboty nadawali — wskazał zabieganych uczniów. — Wy kawkę przed apelem, a ja...

— Nie zagalopował się pan, panie woźny? — Chemik podniósł brwi, kładąc nacisk na słowo „woźny”.

— Ano jak się zagalopowałem, to przepraszam. — Wąsik machnął ręką. — Ale zdumieć idzie, pół godziny zostało, a my jeszcze w lesie.

— To nie stój tak pan, tylko zasuway — roześmiał się Maruszak. Uwaga miała zabrzmieć żartobliwie, ale zabrzmiała poważnie i złośliwie zarazem.

Woźny obrócił się na pięcie i pobiegł między uczniów, pomstując pod nosem.

— Jeszcze raz, bo się pogubiłem — pan Krzywka spojrział na kolegę pytająco. Znali się od dziesięciu lat, ale dopiero sprawa Racyniaka zbliżyła obu nauczycieli. — Co z tym kuratorem?

— Wiem to od Wątpienia, a Wąpień ma wtyki. — Maruszak przysunął sobie jedno z plastikowych krzesel. Krzywka zrobił to samo. — Nowym kuratorem jest od dzisiaj niejaki Zbyszko Hulewicz i stąd ten nacisk.

— Zbyszko Hulewicz? — Krzywka przetarł okulary — Może to zbieg okoliczności? Hulewicz to pospolite nazwisko.

167

— Nie w tym przypadku, niestety — geograf pokręcił głową. — Nasz Szczęsny i kurator Zbyszko to jedna rodzina Jakiś wujeczny stryjek czy stryjeczny wujek tego łobuza.

— Żartujesz?

— Absolutnie nie śmiem, jak mawia Ciopek — westchnął geograf. — Naciskają na Henia, żeby wymusił na Halinie wniesienie sprawy o napaść czynną, bo mają świadka, innego Hulewicza.

— Przecież to pic — zachnął się chemik. — Skąd w gdańskim tramwaju jakiś Hulewicz? Dlaczego się uwzięli na tego biednego chłopca?

— Nie bardzo rozumiem, choć Bożydar użył terminu „honor rodu” — Maruszak ściszył głos. Na dziedzińcu robiło się tłoczno.

— A co to, mafia?

— Hmm — geograf uśmiechnął się w odpowiedzi. — Najdziwniejsze jest w tym wszystkim to, Teoś, że sam Szczęsny nie pali się do sprawy Podobno prosił wujka, by ten jeszcze zaczekał. A kurator nie słucha i wydzwania do Henia. Pokręcone...

— Że sam diabeł nie rozbierze — skomentował katecheta Bożydar Wąpień, siadając przy kolegach. — Tajemnica goni tajemnicę.

Rozdział 18.

Zrozumie i wybaczy

Inauguracja roku szkolnego w Potemkowicach wyglądała jak wszystkie inne inauguracje od zamierzchłych początków mojej edukacji. Czyli dużo gładzenia o niczym, dęcia w trąbki, biegania ze sztandarem w tę i z powrotem oraz trudnego do opanowania zamętu.

Wylądowałem, zgodnie z prorocstwem Gnidy, w klasie oznaczonej numerem trzecia „f, do której chodziło ośmiu koleśki z internatu i potemkowicka reszta. Patrząc na znajome gęby, poczułem się prawie jak w domu. Konkretnie zaś jak w domu wariatów, bo te gęby właśnie prześladowały mnie przez kilka miesięcy w sennych koszmarach.

Brak Tyczki był ogromnym plusem całego zamieszania, ale okazało się, że zamienił stryjek siekierkę na kijek. Najpierw wymanewrowałem Gniteckiego, który koniecznie chciał ze mną usiąść, następnie zaś przeraziłem się na widok typka moszczącego się obok mnie zamiast Gnidy. Potem było jeszcze gorzej.

Wychowawcą nowej klasy był nauczyciel historii, facet o nazwisku Lucjan Chochoł. Wyglądał jak chochoł i jak chochoł się zachowywał. Rzadkie, nastroszone blond włosy, wielkie wyblakłe oczy,

ziemista cera oraz garbaty nos nadawały

169

mu wygląd stracha na wróble. Mówił mało zrozumiale, bełkotliwie wręcz, co nie wróżyło dobrze moim ocenom. Marn kłopot ze zrozumieniem bełkotu.

— Ja tu jestem szefem — oznajmił, mierząc mnie od stóp do głowy — Czy wszyscy to rozumieją?

— Rozumiemy — odpowiedziałem za siebie i resztę świata. Najwyraźniej poczuł się usatysfakcjonowany, bo przestał się gapić.

— To wspaniale. Witam miło i tak dalej — radosne skądinąd słowa miały ponury wydźwięk. Zdaje się, że wcale nie odczuwał radości ze spotkania z nami. — Właściwie możemy już kończyć, przepiszcie tylko plan. Są pytania?

Jedna z siedzących w pierwszej ławce dziewcząt, całkiem niebrzydka czarnula, podskoczyła z wyciągniętą ręką.

— Słucham, Pietrusińska, o co chodzi?

— Czy mogę podyktować plan?

— Przecież jest napisany na tablicy — zdumiał się nauczyciel, demonstrując białe od kredy palce i posypany kredowym pyłem rękaw granatowej marynarki.

— Ale ja lubię dyktować — zarumieniła się. — Mogę?

— Pan jej pozwoli — mruknął ktoś z tyłu. — Ona chce zostać nauczycielką.

— Naprawdę? — Chochoł pokręcił głową z niedowierzaniem. Trudno mu było zrozumieć, że ciągle są chętni do tego zawodu.

Pietrusińska dyktowała, a pan Chochoł przeszedł się po klasie z dziennikiem w dłoniach, koncentrując się głównie na chłopakach z internatu. W końcu stanął nade mną.

170

— Gdzie masz tarczę, Racyniak? — syknął nieprzyjemnie. r- Jaką tarczę?

— Szkolną, a myślałeś, że jaką?

— Nie mam, nikt mi nie dał — wybąkałem, wietrząc nadciągające niebezpieczeństwo.

— Dziwne — jego oczy zwężyły się. — Pan Kierol zawsze rozdaje tarcze nowo przyjętym wychowankom, a o tobie zapomniał?

Tarcza! To było to ważne coś, o czym mówił kierownik na apelu. Teraz wiem, że mówił specjalnie do mnie. Dlaczego wyłączyłem się wtedy? Poczulem niepokój. Zbyt często pograżam się w myślach. I skąd te sny o pragnieniu i przyjaznej dłoni w mroku? Miałem wrażenie, że w moim mózgu dzieje się coś niedobrego, jakby niewidzialna zasłona spowijała umysł, blokując pamięć.

Jakby...

— Co jest z tobą, Racyniak? — historyk był wyraźnie zaniepokojony — Ja do ciebie mówię, a ty się kiwasz na boki? Jeśli zaczniesz od kpin, to twój koniec będzie przykry — pokiwał groźnie palcem.

— Może on ma chorobę sierocą, proszę pana? — wyręczył mnie w odpowiedzi niedźwiedziowaty koleżka siedzący obok. Łapska miał wielkie, pełne czerwonych blizn i odcisków, a ciężkim spojrzeniem zdawał się przygniatać rozmówcę. Pachniał świeżo skoszoną trawą.

— Masz chorobę sierocą? — zaniepokoił się pan Chochoł. — W dokumentach niczego nie napisali.

— Nie mam — westchnąłem. — Po prostu źle spałem i stąd to wszystko.

171

Po ciszy, jaka panowała w klasie, zorientowałem się, że jesteśmy słuchani przez spragnione nowych wrażeń towarzystwo.

— Już przepisane? — odchrząknął nauczyciel. — Czyli na dzisiaj koniec. Do widzenia wszystkim. A tobie — ściszył głos — ten raz daruję. Pamiętaj jednak, w naszej szkole tarcza to rzecz święta.

Widok Kostka tańczącego w kałuży mógł śmieszyć, lecz Jackowi ostatnio do śmiechu nie było. Sprawy komplikowały się i zapętlały niepotrzebnie, a zachowanie kumpla podejrzanie cuchnęło.

— Wyglądasz nieszczęśliwie — zagaił.

— Bo nieszczęśliwie się czuję — odparł Ptak, mocując się z kłódką. Dół spodni miał upaprany błotem, ponieważ po nocnej burzy wydeptana ziemia przy wejściu do Jamy zrobiła się grząska. —

Wyjściowe buty, wyjściowe spodnie. Matka mnie zatłucze.

— Mogłeś się przebrać — Plomba zmarszczył czoło. — Kłódki nie potrafisz otworzyć?

— Miałem... — stęknął Kostek — miałem ją nasmarować i zapomniałem. Zardzewiała od deszczu i sam widzisz — pociągnął nosem. — Nie da rady! — zdenerwował się.

— Nie wejdziemy?

— Chyba nie. Poproszę pana Ryśka, niech przepiłuje — Kostek wzruszył ramionami. — W domu mam identyczną kłódkę, założę wieczorem i będzie w porzo.

— Jakież wieści z Wrocławia? — Plomba oparł się leniwie o ścianę. Zdążył wrócić ze szkoły i wskoczyć w wytarte

172

dżinsy i spraną koszulkę Nike. Wyjął z kieszeni garść słonecznika, po czym zaczął skubać, plując dookoła.

— Wyobraź sobie, że tak — Kostek przestał manipulować przy kłódce. — Miało być na środę, ale ta Zośka zadzwoniła z Wrocławia, że od siódmej rano laboratorium było wolne, więc zbadła próbkę.

— No i? — Plomba wyprostował się z niepokojem. Do brody przylepiła mu się pasiasta łupinka, kilka innych opadło na buty.

— No i powiedziała Maryni, żeby jej więcej nie zawracała głowy taką prościzną. Próbka była czysta.

— Czyli?

— Czyli przegrałem zakład — skrzywił się Ptak. — Więcej się z tobą nie zakładam, synu. Ale...

— Są jakieś ale? — Jacek połknął rozgryzioną pestkę. — Wiedziałem.

— Miałem na myśli, że dalej nic nie wiadomo — westchnął ciężko. — A czas leci.

— Ano leci, leci — filozoficznie skomentował Plomba. — To co, szósta? Siódma?

— Raczej szósta — w oczach Kostka pojawił się żal. — Jutro mam wejściówkę z matmy, muszę pokazać starym, że nie jestem ciołkiem.

— No, no — uśmiechnął się Plomba. — Trzymaj się, kujonie! — Klepnął Kostka w ramię i poszedł w stronę ulicy, zręcznie omijając kałuże.

Ptak odczekał, aż Jacek zniknie z pola widzenia. Bez wysiłku otworzył dobrze naoliwioną kłódkę, zajrzał do wnętrza

173

komórki i odetchnął z ulgą. Koperta z przesyłką od Maryni leżała zaraz za progiem. Nieco wybrudzona, ale to nie szkodzi.

Całe szczęście, że na widok Jacka zdołał ją dyskretnie wsunąć pod drzwi, choć przez to był zmuszony odegrać przedstawienie w błocie. Panika robi z człowieka błazna, ale spanikował, bo to, co powiedział kumplowi, było tylko częścią prawdy

Na przyszłość muszę być ostrożniej szy, nakazał sobie w myślach. Jeżeli Plomba rozgryzie, co jest grane, przepadłem. Nie zdążę z niczym.

Nierówny stukot maszyny do pisania doprowadzał Ediego do szewskiej pasji. Wił się w fotelu, siorbiąc kawę pełną pływających fusów, aż wreszcie nie zdzierzył.

— Kupiłbyś sobie komputer, man", dwudziesty pierwszy wiek, a ty tłuczesz pisma na maszynie jak w średniowieczu.

— Komputery się nie przyjmą — kierownik spojrział na żyłastego facecika z wyższością. — To chwilowa fascynacja techniką i niepotrzebne zamieszanie.

— Co ty gadasz, Justachi? Dwudziesty pierwszy wiek. Cały świat na tym jedzie.

— Polska to nie cały świat — oznajmił Kierol. — Kiedyś przyznasz mi rację. A w ogóle mógłbyś poczekać, aż skończę. Mam zdanie do wyiksowania, chyba że tak może zostać?

— Jak?

— „Aktualny stan aktualnie liczebny sto czternaście osób, w tym dojdżeznych zero"?

13 Man — (ang.) człowiek.

174

— Bełkotliwe and... complicated14. Nie może zostać.

— Tak myślałem — kierownik podłubał ustnikiem fajki ^ porośniętym włosami uchu. — Czyli icksujemy Rozległo się krótkotrwałe, irytujące stukanie.

— Nie bardzo rozumiem, Edku, czego ode mnie oczekujesz? — Tym razem ustnik fajki wylądował tam, gdzie jego miejsce — w ustach.

— Chcę trochę popracować u ciebie, Justachi. Kilka...

— Miesiące?

— Dni raczej — odparł Edi na wdechu. — One week⁵, może być?

Eustachy Kierol wyciągnął zadrukowaną kartkę, przeczytał pobieżnie, po czym zgniótł ją z niesmakiem.

— To po to dziadek do Ameryki emigrował, żebyś ty u mnie w Polsce pracy szukał? — Papierowa kula wpadła do kosza, a podejrzliwy wzrok kierownika spoczął na twarzy kuzyna z Chicago. — Świat na głowie stanął i ogonem macha.

— Justachi, ja drugi dzień do ciebie przychodzę, za hotel płacę, a ty nie słuchasz — Edi poczerwieniał. — Potrzebuję niedużo practice¹⁶, rozumiesz my stupid¹⁷ brat od stryjek?

— No, no — kierownik pogroził mu palcem. — Nie mówi się brat od stryjek, tylko kuzyn. Tak trudno zapamiętać? I na diabła ci praktyka w internacie? Jak taka bieda w USA, to ci parę złotych pożyczę.

14 Complicated — (ang.) skomplikowane.

15 One week — (ang.) tydzień.

16 Practice — (ang.) praktyka.

17 Stupid — (ang.) głupi.

175

— Otwieramy w Chicago dom dla takich, eem... niełatwych, trudnych boys z polskiej dzielnicy. Miasto daje money, całkiem sporo — tłumaczył cierpliwie Edi.

— Aaa, skoro tak — rozjaśnił się pan Kierol. — Ja zawsze mówiłem, że jeszcze będziemy Ameryce pomagać. I proszę, już się zaczyna. Praktykuj, ile wlezie, tylko... — nachylił się do krewniaka. — Tylko nie leż za bardzo w oczy, bo uprawnień to ty nie masz, co nie?

Ania czuła radosne podniecenie. Pożegnała się szybko z koleżankami, kupiła w kiosku znaczek i nakleiła na kopertę. Nocne lzy nie poszły na marne, dzięki nim napisała długi list, który wyjaśniał wszystko w szczegółach.

To było ważne, choć naj ważniej sze napisała na końcu. Pierwsze szczere wyznanie. Głęboko wierzyła, że on zrozumie i wybaczy. Że czując tak samo, zapomni to, co złe. I że potrafi...

Czerwona skrzynka wisiała dokładnie tam gdzie zawsze. Na ścianie sklepu tuż za rogiem. Jeszcze raz przeczytała wzięty z książki telefonicznej adres: „Kol. Jan Racyniak, Internat Gimnazjum Nr 5, ul. Masarników 9, POTEMKOWI-CE”. Nie знаła kodu pocztowego, ale czy to aż tak istotne?

Odchyliła metalową klapkę. Leć, szepnęła.

Nagły, mocny uścisk dłoni uniemożliwił wsunięcie listu w szczelinę. Spojrzała w smutne, zmęczone oczy

— Byłem pewien, że trzeba cię śledzić — powiedział obojętnym tonem. — Zawsze miałem nosa do takich niuniek jak ty — zgnieciony list powędrował do kieszeni sfatygowanych džinsów.

176

— Dlaczego to robisz? Myślałam, że jesteście przyjaciółmi-••

— Przyjaźń — zadumał się. — Wielkie słowo, prawda? Ile jesteś w stanie zrobić dla przyjaźni?

— Dla niego? Wszystko — szepnęła.

— Zabić też się pozwolisz?

Pokręciła głową w milczeniu. Nogi były zbyt miękkie, by na nich stać, a żołądek skurczył się do rozmiarów orzecha włoskiego. Bała się jak nigdy.

Rozdział 19.

Próbka próbce nierówna

Gnida dorwał mnie jeszcze przed obiadem, informując o zaplanowanym spotkaniu.

— Pamiętasz umowę? — wysapał, zwalniając kroku. Byliśmy już w internacie, ściślej mówiąc: na

schodach. — Dzisiaj w łazience.

— O północy? — zagałęm, próbując przylepić kartkę na obiad do dolnej wargi zgodnie ze zwyczajem starych wyjadaczy Podpatrzyłem to już wczoraj, ale dopiero dzisiaj wpadłem na pomysł, żeby jak najbardziej wtopić się w otoczenie.

— Dlaczego o północy? — zdziwił się Gabryś. — Coś wiesz o nocnych zebraniach?

— Tak mi się skojarzyło — odparłem, śliniąc tekturkę. — W filmach szpiegowskich zawsze spotkania są o północy Tyle że nie w kiblach, a w apartamentach.

— Nie jesteśmy szpiegami — uśmiechnął się Gabryś. Ostatnio coraz częściej szczyrzył do mnie zęby

— Wiem — zatrzymałem się, by podnieść bloczek. Był wilgotny, ale odpadał co chwilę. — Jesteśmy poszukiwaczami skarbów.

— Nie tak głośno — spłoszył się. Rzeczywiście, kręciło się tutaj sporo osób, z czego kilka zerkało na nasz nieukrywanym

178

zainteresowaniem. — O siódmej mam dyżur w łazience, będziemy mogli spokojnie wszystko omówić. I wiesz co?

— No co?

— Posmaruj bloczek od spodu rozpuszczonym cukrem, inaczej ciągle będzie ci się gubił — doradził, śliniąc swój. Trzymał się bez zarzutu. — Dawno wypraktykowane.

— A po co właściwie to robicie?

— Nie wszyscy tylko starzy. Ale ty możesz w drodze wyjątku — zgodził się łaskawie, jakby był tu Bogiem i carem. — Często na okienku są fajne praktykantki. Wiesz, z zawodówki. I wyklinają nas za te klejące się bloczki. To spowalnia ich pracę.

— No i?

— Taki bajer dla podrywu — zmrużył powiekę. — Wchodzisz? — zapytał, widząc moje wahanie przed stolówką.

Pytanie nie było bezpodstawne. Przechodząc obok gabinetu kierownika, o czymś sobie przypomniałem. A poza tym nie chcę być widywany ramię w ramię z Gniteckim. Jeszcze się parę osób udławi z wrażenia.

— Idź sam — kiwnąłem głową. — Ja muszę na chwilę do Kierola.

— Chyba mu nie donosisz, co?

— A jeśliby nawet?

— Prędzej uwierzę, że pani Zenia pójdzie na emeryturę — z kieszeni koszuli wydobyl mu się nagły wibrujący dźwięk. — No to zmykaj! — rzucił zaniepokojony.

— Masz telefon?

— Neee — zaczerwienił się.

179

— To skąd ten sygnał?

— Gru... gruszek się najadłem — odparł prędko. — Re_wolucja w kiszczkach, przepraszam — skurczył się z ręką na wysokości żołądka i zanurkował w otwarte drzwi ubikacji dla personelu.

— Znam ja te gruszki — mruknąłem, nie mogąc wyjść

z podziwu. Założę się o moją przyjaźń z Kostkiem, że gościu

ma komórkę w kieszeni i w nosie zakazy — Gruszki-srusz-

ki — powtórzyłem. Przy okazji natchnę-

*. -. ła mnie pewna myśl.

— Mówiłeś coś? — zainteresował się przechodzący obok Zielonka.

— Nie — wzruszyłem ramionami. — Pytałem tylko, jak ci na imię — dodałem, widząc zawód w jego oczach. Niech myśli, że go lubię. Bo właściwie go lubię, ma w sobie coś r Kostka. Ale co? Zabijcie mnie, nie wiem.

— Aleksander — wyciągnął dłoń. Miał wyczyszczone i równo przycięte paznokcie. Krytyka zrobiła swoje. — Ale wolę Olek.

— Janek — oddałem uścisk. — Ale wolę Cyna.

— Wiem. Idziesz jeść?

— Nie teraz, mam sprawę do kierownika — wyjaśniłem.

— Nie daj się namówić do współpracy — doradził życzliwie na odchodnym. — Konfidenci Kierola mają tu trudne życie.

Drzwi pracowni uchyliły się gwałtownie.

— O, przepraszam — spłoszyła się czerwonołosa sprzątaczką z wiaderkiem w rękę i suchą szmatą pod pachą. — Myślałam, że nieczynne, a pan tutaj. Posprzątać chciałam. — Stuknęła łokciem w kieszeń kwiecistego fartucha, z której to wystawała szyjka plastikowej butelki płynu czyszczącego. — Właśnie kupili porządny Wypróbować się należy.

Stała niewzruszenie, jakby chciała wymusić na nauczycielu wyjście do domu.

— Tak, tak, należy się. Mhm... — mruknął uprzejmie pan Krzywka, nie odrywając wzroku od wypełnionych odczynnikami fiolek i słóczków. — Ja też mam właśnie kupione —

181

poślinionym palcem przewrócił stronę w cienkiej książeczce o zniszczonej żółtej okładce.

— Głodny pan nie jest? — zagaiła sprzątaczką, wchodząc do klasy — W domu obiad pewnie czeka, żona nagotowała.

— Nie nagotowała — odparł lekko nieobecny głosem.

— Nie nagotowała? Niegospodarna jakaś, za przeproszeniem pana profesora.

— Raczej nieżyjąca — sprostował z roztargnieniem. — Taa, oczywiście testów paskowych nie mieli. Jedź pan do Wrocławia, mówią. Już im pojechałem.

— Co pan mówi? — kobieta przeżegnała się, przewracając oczyma. — Ja nie wiedziałam, nowa tu jestem, od dzisiaj — mówiąc, rozglądała się dokoła. Dostrzegła tłustą muchę siedzącą na ławce.

— Opaskach?

— O żonie nieboszczce — pacnęła zaskoczona muchę szmatą. — Trup na miejscu — zaśmiała się jędzowato.

Chemik odwrócił się, zdjął okulary i zamrugał ze zdumioną miną.

— Bardzo proszę z większym szacunkiem — powiedział gniewnie. — Trup, też mi coś!

— Co pan mówi? — kobieta znów się przeżegnała. — O musze z szacunkiem?

— O żonie, przecież ciągle mi pani... — przerwał. — Jak nazwisko szanownej pani?

— Bumbulowa jestem po mężu — postawiła wiadro i otarła czoło rogiem szmaty — Janina Bumbul. A za panny Pchła.

182

— To są takie nazwi- ^/ ska? — nauczyciel wrócił do czytania podręcznika dla toksykologów.

— Ano, jak pan widzi — zgodziła się sprzątaczką. — Za Bumbula wyszłam, to i mam za swoje. Skaranie boskie z tym dziadem. Panisko takie, bo maturę zaocznie zrobił uczony wielki. Wie pan profesor, co ten magister mi dzisiaj powiedział przy śniadaniu? Żebym se włożyła kanapki z salcesonem prosto w...

— Pani Bumbulowa — chemik podniósł rękę. — Mnie to absolutnie nie interesuje. Rozumiemy się?

— Eee...

— A poza tym próbka próbce nierówna — stwierdził, wprawiając słuchaczkę w osłupienie. — Można by zrobić identyfikację chromatografem albo, dajmy na to, badania kolorymetryczne. Uwierz pani, pani Bumbulowa? Choć najlepsze byłoby wejść w enzymy, o radioimmunologii nie wspominając. Ale niech pani robi radioimmunologię w szkole. Wykluczone, droga pani.

183

— To ja oblecę ścierą parapety na korytarzu i przyjdę. Za godzinę najpóźniej — zagroziła sprzątaczką, po czym wyszła, cicho zamykając drzwi.

Zapukałem w matową szybę czubkiem palca. Żadnej reakcji. Zapukałem nieco głośniejsze i zobaczyłem gwałtownie rosnący ruchomy cień. Ktoś od wewnątrz nacisnął klamkę.

— Serdecznie zapraszam szanowną dyrekcję... — powitał mnie szeroki uśmiech korpulentnego kierownika. — Ty nie jesteś szanowną dyrekcją — stwierdził zmieszany

— Jeszcze nie jestem, ale nigdy nie wiadomo — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

— W jakiejś pilnej sprawie? — Podciągnąwszy mankiet koszuli, spojrzął na zegarek.
— Ładny zegarek.
— Wiem. Coś nagłego? — Wskazał wewnątrz gabinetu. Potraktowałem to jako zaproszenie.
— Po tarczę przyszedłem, bo rano z tego pośpiechu po prostu... — mówiłem, wchodząc. — Po prostu... — powtórzyłem zdumiony — O kurde mole!

Gabinet błyszczał, a raczej lśnił czystością i porządkiem. Intrygował bukietami kwiatów w trzech kryształowych wazonach. Mamił bielą serwetek. Czarował smukłością kolorowych świec. Powalał na kolana zapachem świeżo zmielonej kawy, ciepłutkich ciasteczek i czekolady I, co najgorsze, wprowadzał niepotrzebny mętlik w pełne ujarzmionego nieładu męskie życie.

— Coś się nie zgadza? — usiadł przy biurku.

184

— Nic się nie zgadza, panie kierowniku.

— Nie rozumiem, robaczku — mężczyzna przetarł okulary, po czym wyjął z szuflady fajkę, powąchał cybuch i schował fajkę z powrotem. Miałem pewnośc, że nawet nie wiedział, co zrobił.

— Podziwiam gabinet — odparłem. — Tak tu ładnie i nie śmierdzi jak... — chciałem powiedzieć, że nie śmierdzi jak wczoraj, ale mina pana Kierola spowodowała zmianę frontu. Ze szczerości uciekłem w dyplomację. — Nie śmierdzi jak u innych kierowników internatów w tym mieście.

— Chyba że tak — mankiet powędrował w górę. Dochodziła trzynasta trzydzieści. —

Nagadaliśmy się i wystarczy

— A co z tarczą?

— Oddałem wszystkie pani Broni Dederko, bo i tak wolicie ją ode mnie. Mam na myśli pannę Bronkę. Drzwi obok — wstał, sygnalizując, bym sobie poszedł. Wówczas mi się przypomniało.

— Mam małą prośbę.

— Dobrze, ale jutro, robaczku.

— Koniecznie dzisiaj, proszę pana. Chcę zadzwonić do domu — usiadłem w fotelu przy ławie.

— To dzwoni — kierownik był coraz bardziej rozkojarzony. — Czy ja ci zabraniam?

— Naprawdę mogę? — Chwyciłem słuchawkę telefonu stojącego na brzegu ławy.

Niemalże mi ją wyrwał.

— Chyba nie masz zamiaru siedzieć tu i głądzić z mamusią?

— Przecież pan pozwolił — stropiłem się.

185

— Idź na miasto i dzwoni z budki — powiedział, mocno zaciskając szczęki.

— To wolno wychodzić? — podniosłem się z bijącym sercem.

— Mówiłem, że to nie więzienie, robaczku. Chyba nie masz jeszcze stu na minusie? To by sprawę komplikowało... — wsadził głowę w firankę, usiłując wypatrzeć coś za szybą. Chyba mu się udało, bo drżącymi palcami poprawił krawat i niemal wyniósł mnie za drzwi. — Zgłoś wyjście wychowawcy Nie dłużej niż na godzinę i wróć przed siedemnastą na naukę własną. Wiem, że nie macie nic zadane, nie obchodzi mnie to. Trzeba czytać regulamin. Do widzenia! — zakończył wywód, zamykając mi drzwi przed nosem.

Ciągle jeszcze oszołomiony niespodziewanym szczęściem zderzyłem się z kobietą obfitych kształtów. A konkretnie z jej biustem, który miałem na poziomie czoła. Przy okazji poczułem zapach ciężkich perfum.

— Ojej! — przestraszyła się i pacnęła mnie torebką.

— Bardzo przepraszam panią — odskoczyłem od niej jak oparzony. — Zamyśliłem się niechcący

— Nic nowego, złotko moje — spąsowiała poprawiała utrzymaną w ciemnej zieleni obcisłą garsonkę. — Wy tylko niechcący potraficie myśleć. Pan Eustachy u siebie?

— U siebie — potwierdziłem. — A pani to zapewne ta cała... dyrekcja? — uśmiechnąłem się miło, ale widać nie aż tak miło, jak chciałem.

— No i czego się szczerzysz? Czy ty wiesz, kim ja w ogóle jestem? — Sięgnęła do torebki po szminkę i sprawnie

186

poprawiła makijaż. — Ja tu jestem panią wicedyrektor od spraw wychowawczych. Magister Donata Kluska, przez esz" — potrząsnęła długimi blond lokami. — I jutro cię chcę widzieć u siebie w gabinecie na długiej przerwie. Wymagasz specjalnego traktowania, tak podejrzewam, złotko moje — chwyciła mnie pod brodę, zaciskając palce. Zabolało.

Czym prędzej obiecałem, że przyjdę i, mamrocząc przeprosiny, wpakowałem się do pokoju zajmowanego przez panią Bronisławę Dederko, starszego intendenta.

Zdebiłem po raz kolejny.

Rozdział 20.

Głodny, dumny i przerażony

Pani Bronisława Dederko z powodzeniem mogła pracować jako modelka, stwierdziłem. Wbrew napisowi na drzwiach nie była ani starsza, ani żaden z niej dederon¹⁸, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Na drugi też. I na trzeci. Wiem, co mówię, bo dawno temu mój staruszek pracował w fabryce włókien sztucznych aż w Gorzowie Wielkopolskim i kiedyś dostał w nagrodę szlafrok z dederonu, który sprezentował mamie. Do dziś leży na dnie szafy w ogóle nie noszony Szlafrok, a nie ojciec.

Panna Bronia w żaden sposób nie kojarzyła się ze sztuczością. Oczy błyszczały niczym poranna rosa, a uśmiech lśnił naturalnym pięknem równych białych ząbków. O minispódnicze, koronkowej bluzeczce, siatkowych rajstopach na długich nogach i ślicznej, okolonej czarnymi kędziorkami buźce nawet nie wspomnę.

Stałem tak, zapomniawszy o bożym świecie, aż dopiero jej głos wydobyl mnie z umysłowej hibernacji.

— Czegoś tak zaniemówił? — zaskrzypiała niczym roze-schnięte skrzypce. — Gapi się i gapi jak nienormalny

IsDederon — rodzaj sztucznego włókna poliamidowego, sztuczny jedwab; w szkolnej gwarze określenie brzydkiej dziewczyny.

188

WyptywaJące z JeJ uroczej krtani zgrzytliwe dźwięki spowodowały, że bezmyślny zachwyty natychmiast wyparował, została jedynie zwykła chłopięca ciekawość.

— No, długo będziesz stał? — zawibrowało mi w uszach. — Czasu nie mam, tu się pracuje! — Pociągnęła umoczonym w karminowym lakierze pędzelkiem po długim paznokciu.

— Aha — zgodziłem się skwapliwie.

— Więc? — Ostrożnie siorbnęła herbaty z filiżanki, po czym postukała palcem w klawisze komputera. Na ekranie monitora dostrzegłem jakiś aktywny program biurowy.

— Tarcza — zdołałem sprecyzować myśl. — Ja tutaj...

— Już dawno powinieneś był się zgłosić — odezwały się tkwiące w jej wnętrzu rozeschnięte skrzypce. Prawdopodobnie rodzice katowali ją w dzieciństwie nauką gry na skrzypcach i w przypływie buntu połknęła je pewnego dnia. — Ale wy wszystko na ostatnią chwilę, a nawet po ostatniej chwili — padło bystre spostrzeżenie.

Intendentka pachniała świeżo i delikatnie, cynamonem i miętą. Niestety, znów się odezwała, wyrrywając mnie ze szponów odrętwienia.

— Nazwisko twoje? — przysunęła nadgarstkiem niebieski segregator.

— Otóż... — wychrzakałem. — Otóż ja... Usiłowałem sobie przypomnieć nazwisko, o ile jakieś posiadałem. Wpatrywanie się w jej bluzkę niczego nie ułatwiało.

— Jednak nienormalny — podmuchwała w paznokcie z zadowoloną miną. — Kierownik zawsze mi podsyła nienormalnych.

189

— Nie, już wiem — spojrzałem w sufit. — Racyniak Jan z Trombolina, pokój sto piętnaście, pierwsze piętro — zaczął mi wracać rozum. To dobrze.

— Racyniak z Trombolina? Znam to nazwisko — spojrzała na mnie uważniej. — Ty jesteś ten, co wyrzucił dyrektora przez okno?

— Po pierwsze nie wyrzuciłem, po drugie nie dyrektora i nie przez okno, po trzecie — sapnąłem oburzony — A w ogóle skąd pani wie, od kierownika?

— Kierownik ze mną o takich sprawach nie rozmawia — na twarz intendentki wypełzła smuga cienia. Zapewne smutku. Dopiero później zorientowałem się, że za oknem pojawił się brodaty mężczyzna na drabinie z nożycami do przycinania drzew. Pewnie tutejszy woźny — W waszej szkole pracuje moja dalsza kuzynka Rozalia. Jest tam główną księgową, czy kimś takim.

— Raczej kimś takim — zgodziłem się, mając nadzieję, że sekretarka jest równie ważna jak główna księgowka.

— Daleko zaszła — długie, wywinięte rzęsy przykryły zamyślane oczy — Nie to co ja, nieszczęsna — spod rzęs pociekły pojedyncze łezki.

— N00... — skubnąłem ucho. — Mówiła coś jeszcze? Panna Bronia restartowała komputer i zmarszczyła czoło,

co uznałem w jej przypadku za niezłą sztuczkę. Mam na myśli marszczenie czoła.

— Podobno jesteś nietypowy — mówiła, przeglądając zawartość segregatora. Zaczynałem przywykać do męczącego głosu. — Ciągłe szukasz skarbów, coś znajdujesz — nie

190

przerywała przerzucania kartek. — Nawet na wycieczce o mały włos, a znalazłbyś słynną lunetę padalca.

— Wisielca — sprostowałem, zdejmując wielką torbę z jedyne wolnego krzesła. — Ale nie o mały włos, bo znalazłem, tylko taki jeden kosmita mi ją podprowadził — usiadłem, zakładając nogę na nogę. Czarna torba wylądowała obok krzesła, na wykładzinie.

— A to ciekawe, co mówisz, bo twojemu koledze się udało — uśmiechnęła się tryumfalnie. Wreszcie dogrzebała się do właściwej kartki. — Tu mam twoje dane, wprowadziłam jeszcze wczoraj, chociaż niedziela była. — Podniosła głowę. Błękitne oczy zrobiły się gniewne i okrągłe.

— Coś zrobił z moją torebką?! — krzyknęła, waląc segregatorem o blat biurka.

— N-nic — podskoczyłem. — To pani torebka? Taka olbrzymia? My-myślałem, że to czyjaś torba podróżna — tłumaczyłem przerażony jej wybuchem.

— Nie wolno torebki kłaść na podłozie! — Teraz w jej krtani grał co najmniej kwartet rozeschniętych skrzypiec i wiolonczel.

Dałbym sobie rękę uciąć, że stojąca na parapecie paprotka zaczęła żółknąć. Facet za oknem zobaczył, że go widzę, machnął niezdarnie nożycami i gwałtownie zniknął. Dobiegł mnie stłumiony jęk.

— Ale dlaczego, przecież tu nie ma myszy? Chyba.

— To przynosi nieszczęście! — Znów walnęła segregatorem. Drobin kurzu ponownie uniosły się w powietrze. Za to smuga cienia zeszła z jej oblicza. Ktoś zabrał drabinę. — Połóż ją na miejsce.

NATYCHMIAST!

191

Zrobiłem, co kazała, i przez chwilę sapaliśmy oboje. Kobieta odezwała się pierwsza.

— W sobotę mam zaręczyny — wyciągnęła ku mnie długi palec. — Jeżeli zapeszyleś, marny twój los.

— Na bank nie zapeszylem, proszę pani — zapewniłem gorliwie. — Tylko...

— No?

— Tylko wspomniała pani, że mojemu koledze się udało z lunetą. Nie rozumiem — otarłem spocone czoło. Gdzieś tam uciekał mi obiad.

Wypięła tekturową kartkę z segregatora. Widniało na niej wypisane czarnym grubym markerem moje nazwisko. Odhaczyła którąś z rubryk i wyjęła z pudełka granatową tarczę szkolną. W Trombolinie nie znaleźliśmy takich wynalazków jak tarcza.

— Co tu rozumieć? — Przesunęła tarczę w moim kierunku. — Nie zapomnij pokwitować — szepnęła. Nawet szept brzmiał zabójczo dla ucha.

— Dobrze, ale niech pani dokończy o lunecie — narysowałem zawijas w zaznaczonym miejscu. Od wewnątrz rozsadał mnie niepokój.

— Rozalka dzwoniła dziś rano z nowinami — odłożyła segregator na miejsce. — Ten kolega, któremu być może pomagałeś szukać, przekazał zabytek krakowskiemu muzeum...

— Niemożliwe — oblizałem spieczoną wargi.

— ... a pieniądze za znaleźne oddał waszemu dyrektorowi na szczytne cele. Mają otworzyć pracownię komputerową jego

192

imienia. Cudowne, prawda? Pozazdrościć kolegów, niektórzy to rzeczywiście... — trąkotała, poskrzypując, a ja zacząłem odpływać w kierunku podłogi. W końcu wziąłem się w garść.

— A nazwisko pani zapamiętała?

— Czyje?

— Tego dobroczyńcy — wycodziłem. — Tego mojego kolegi, któremu pomagałem. Ligurski może?

— Jakoś na „pe”, nie pamiętam dokładnie — znów stuknęła w klawisze. Przystawałem dla niej istnieć.

Przed oczami przelatywały mi czerwone kosmate ćmy. Skąd ćmy w biały dzień? Nie chciałem zadawać tego pytania. Nie mogłem. Musiałem. Musiałem, bo dzień nie był już biały

— Ptak?

— Hm?

— Czy to nazwisko brzmiało jak Ptak?

— Może Ptak, może Szpak. A może Kukułka — odpowiedziała nieobecny głosem. — Jakoś tak mogło być.

Wybiegłem oszołomiony, nie słysząc wołania panny Bronki, bym zabrał tarczę, skoro podpisałem. Drzwi otworzyły się jakby same z siebie i do pokoju wsunęła się niewielka sportowa torba. Witold Rudziawka podniósł ciężkie powieki, niedowierzając własnym oczom. Torba była dwukolorowa. Czerwono-czarna z dominującą głową byka, tudzież napisem Chicago Bulls.

— Areyou sleeping19, Kaszana? — padło pytanie z korytarza. 19 Areyou sleepingi — (ang.) śpisz?

193

— Czyli jednak ci się udało — wychowawca poderwał się z tapczanu. — Nie śpię, odpoczywałem po obiedzie.

— Really7. — Za torbą stał mały żylasty facecik przypominający zadziornego koguta.

— Fajnie ci wychodzi ta amerykańska gadka — Rudy włączył bezprzewodowy czajnik elektryczny. Od jakiegoś czasu marzyła mu się kawa.

— Przecież jestem Amerykaninem — Edi Kierol rozciągnął wargi w hollywoodzkim uśmiechu.

Pan Witek nasypał kawy do filiżanek i spojrzał na swego gościa.

— Nie mówię, że nie jesteś. Ale to kulawe gładzenie, wiesz, jak głupi Polonus za oceanem... — rozejrzał się za cukrem — normalnie bez pudła.

— I'm an actor20, Kaszana, o ile dobrze pamiętasz. — Żylasty Edi wrzucił torbę pod stół. — Mogę tu być do końca tygodnia. Dłużej nie trzeba.

— Chyba nie. — Witek zalał kawę wrzątkiem. — Sam dłużej nie wytrzymam, najpierw jeden gówniarz mnie namierzył, teraz drugi węszy.

— To może któregoś... — Amerykanin przejechał palcem po wystającej grdyce.

— Też o tym myślałem, Edziu. — Rudy oblażał łyżeczkę. — Też myślałem. I nawet wykonałem pewne kroki.

Ochłonawszy nieco na świeżym powietrzu, postanowiłem jednak zjeść obiad. Nie mogę panikować z powodu

20I'm an actor — (ang.) jestem aktorem.

194

plotek pani Rozalki z sekretariatu. Jeżeli przekreśliła historię z Gdańska, mogła i tu wszystko przeinaczyć. Niedługo zadzwonię do Kostka i się dowiem.

Zastanawiałem się, co przycinał woźny na drabinie przed paroma minutami, skoro pod oknem pani Bronki nie rosło żadne drzewko ani bluszcz. Goła, otynkowana i pomalowana na brązowo ściana.

Kolejna nierozwiązywalna zagadka. Zwłaszcza że ów nadgorliwy woźny gdzieś przepadł.

Ucieszony brakiem kolejki do okienka szedłem różnym krokiem, usiłując wygrzebać z kieszeni obiadowy bloczek. Zdążyłem się spocić, kiedy palce natrafiły na mały zmięty kartonik, i wówczas zacząłem rozumieć ukryty sens przyklepania ich do dolnej wargi.

Obiadowe zapachy wywoływały mimowolny ślinotok, co mogło oznaczać tylko jedno: zacząłem się przystosowywać. Zdumiewające u kogoś, komu jeszcze wczoraj wszystko wokół śmierdziało. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy zastałem okienko zamknięte. Dałbym głowę, że przed chwilą zaledwie wygolony dragal brał stamtąd koszyk z chlebem. Przylepiłem nos do szyby, usiłując wypatrzeć kogokolwiek w wydawalni. Nikogo nie wypatrzyłem.

Wystukałem paznokciami żałobnego marsza na blacie i szybie. Żywego ducha.

Zabrałem z pustego stolika wysmarowany tłuszczem widelec, wetknąłem go w szparę, próbując odczepić zamykający okienko haczyk. Nie byłem pierwszy, sądząc po stanie deski w tym miejscu.

195

— A ty co, włamywacz? — jak diabeł z pudełka wyrósł przede mną bysiowaty dyżurny stołówki. Mnożą się ci dyżurni niczym króliki. — Muszę cię ostrzec, Cyna — zniżył głos — że jeśli stąd nie odejdziesz, któryś z wychowawców wlepi ci dwie dychy jak nic. Obserwują cię.

— Dwie dychy — odskoczyłem, chowając widelec do kieszeni. — Za co?

— Raz, za niszczenie mienia — podniósł kciuk. — Dwa, za nieprzestrzeganie regulaminu — podniósł palec wskazujący. — Jest pięć po drugiej.

— No i co z tego? Przecież jeszcze jedzą. Obiad do wpół do trzeciej, zdaje się.

— Ale wydawanie do drugiej. Odejdź, bo Wapniak wstaje od stołu — doradził życzliwie, czesząc palcami zmierzwioną czuprynę.

Odszedłem więc głodny, dumny i przerażony Głodny, bo do kolacji będę gryzł paznokcie. Dumny, bo jestem otoczony niespodziewaną opieką. Przerażony, bo wiedziałem, że wkrótce za tę opiekę słono zapłacę.

Zza szyby okienka pomachał do mnie wykrzywiony kuchcik. Pewnie cały czas tam siedział i pękał ze śmiechu. Przyjdzie dzień, kiedy zapłacze, ale jeszcze nie teraz. Teraz musiałem wyjść do miasta.

Rozdział 21.

Ja noszę zielone kalosze

Dochodziła piętnasta, kiedy Teodor Krzywka uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu godzin.

— To ma sens — mruknął. — Kto by pomyślał?

Jeszcze raz przeanalizował wyniki, pokręcił głową z zadowoleniem i czerwonym pisakiem podkreślił ostatnie zdanie w notesie.

Bumbulowa nie nadchodziła, postanowił więc zadzwonić do chłopaka, niech się nie martwi bez potrzeby. Telefony komórkowe budziły w nim nieustanny podziw. Chcesz zadzwonić, dzwonisz, myślał, przeglądając listę połączeń w poszukiwaniu odpowiedniego numeru. A nie tak dawno trzeba było ganiać do budki albo dzwonić z sekretariatu przy pannie Rozalii i Bóg wie kim jeszcze.

Zaczął odczytywać półgłosem. Maruszak, Najmita R. Najmita Rajmund to dentysta. Dawno nie był u dentysty. Musnął palcem przycisk ze słuchawką. Nie ma czasu na dentystę, trzeba działać. Napr. TV, Palik Hal. No jest. Z reguły nie zapisywał telefonów do uczniów, ale ten chłopak mocno go intrygował. Może nawet mocniej niż ten biedny Janek? Chociaż, jeżeli wyniki nie kłamią, wcale nie taki biedny.

Tak? — odezwał się lekko zachrypnięty młody głos.

197

To ja, Teodor Krzywka — przedstawił się grzecznie.

— Mam pana na wyświetlaczu.

— Aha, no tak — stropił się chemik. — Rozgryzłem to miałeś rację.

— Naprawdę? — w głosie pojawiła się mieszanina ulgi i podniecenia. — Jakieś szczegóły?

— Długo by mówić. Powiem ci tylko tyle, że...

„_ Przepraszam — chemik sapnął do słuchawki. — Nieprzewidziane przeszkody, przedzwonię później.

L- Niech profesor sobie gada — sprzątaczką machnęła ręką. — Ja tam nie podsłuchuję, kto co z kim i co kto ma na sumieniu. Nie moja sprawa. Moja sprawa to ścierać za...

— Do widzenia — Krzywka wyłączył telefon. — I proszę łaskawie nie przeklinać w mojej obecności, szanowna pani — spojrzął groźnie na kobietę moczącą w wiadrze gąbkę. _ A gąbka ma być sucha — dodał, wychodząc z miną zniesmaczonego lorda.

Drżałem z ekscytacji bardziej przystającej facetowi z długoletnim wyrokiem niż mieszkańcowi internatu o podwyższonym rygorze. Ale co tam.

Wyjdę na wolność, łomotało mi w głowie cudowne słowo. Wchodząc po schodach, odmieniałem je przez przypadki, smakowałem i nuciłem pod nosem. Wyjdę na wolność, już za chwilę.

Szedłem, a świat wokół śpiewał, schody kołysały się upojnie, promienie słoneczne tkały z kurzu kolejne litery W... O...L...N...

— Chyba zgłupiałeś? — pan Witek omal się nie zakrztusił dolewką kawy. — Do jakiego miasta? Na stole stała jeszcze jedna, pełna fusów filiżanka i bezpieczny talerzyk z niedojedzonym pączkiem. Zauważyłem to mimo osłupienia.

_ No... tutaj - wykrztusiłem. — Przecież nie do Krakowa.

199

- Do Krakowa bym cię puścił — powiedział, otwierając szafę. — Tutaj nie.

Zabrzmiało to jak kiepski żart.

— Cha, cha — roześmiałem się cicho i z przymusem. — No to jadę do Krakowa. Za godzinę wrócę — ukloniłem się sztywno z zamiarem wyjścia.

— Zaczynasz mnie wkurzać, Mielony — zatrzymał mnie ponury głos.

Odwrociłem się.

— Jak to, proszę pana?

— Tak to, proszę pana — wycedził Rudy, mierząc mnie wzrokiem pełnym nieukrywanej niechęci.

— Coś dzieje się wokół ciebie, a ja nie wiem, co — przerzucił kilka koszul i ręczników, po czym otworzył drugą część szafy, szurając wieszakami. Najwyraźniej robił dla kogoś miejsce na rzeczy Dla kogo? — Śmierdzisz mi kłopotami, Mielony Nie lubię kłopotów

— Ja? Kłopotami? — przestąpiłem z nogi na nogę.

W podświadomości kiełkowała myśl, że być może nigdzie nie wyjdę. Zepchnąłem ją na samo dno, między inne, przerażające myśli. Tam gdzie jest coś, o czym nie chciałem pamiętać. Tam gdzie jest dłoń z puszką pepsa Hght.

— Żebyś wiedział — schylił się, po czym wyjął z szafy zielone kalosze.

Zamrugąłem zaskoczony.

— Pan nosi zielone kalosze?

— Ja noszę zielone kalosze — odkaslnął. — Nawet się rymuje, a co?

200

— A nic — oblizałem wargi. Znalazł się pierwszy z noc-nych włóczęgów. — Nie pożyczylby pan? Na mieście takie kałuże, że...

— Czy do ciebie, chłopie, nie dociera, że nie ma mowy, żebyś wyszedł? — zbliżył się do mnie. Poczulem mieszaninę nieświeżego oddechu, wody po goleniu i potu. — Zgarnąłeś trzydzieści punktów karnych w ciągu doby. A poza tym nikomu nie pożyczam kaloszy, nie chcę się grzyba nabawić, kapujesz?

— Ale kierownik...

— Kierownik nie wie, na jakim świecie żyje — wszedł mi w słowo. — A tutaj ja jestem twoim kierownikiem, czy to tak trudno pojąć? — Przejechał rękawem po czubkach kaloszy

— I nie wyjdę?

— Nareszcie dotarło — odsunął krzesło, wyciągnął spod stołu czerwono-czarną torbę Chicago Bulls, ważył ją chwilę w ręce, po czym wrzucił do szafy.

Chicago Bulls? Przecież to jest torba tego Amerykańca Ediego, potarłem czoło. Ogarnęło mnie zmęczenie.

— Coś tak zbaraniał? — wychowawca szturchnął mnie palcem w zębra. — Gościa mamy z Ameryki na praktyce.

Bezsilność. Tak mogła określić to, co czuła. Poniedziałek przeciągał się w nieskończoność, a udreka była srogą karą za chwilę słabości. Za... Za nic właściwie. Janek. Kochany Janek. Mój. Nie mogę go stracić. Ukłucie pod sercem zabolowało jak nigdy dotąd. Stracę go. Niemożliwie? Wszystko jest możliwe, przelknęła łzę. Wszystko jest możliwe.

201

You and me all alone.. 21 Samotni.

Wolność nie wydawała się już tak oczywista. Świat przestał tańczyć, stał się ponury i pełen złości. Po korytarzu snuli się mieszkańcy internatu, przygnębieni czekającym ich nowym rokiem szkolnym. A gdzie radość z faktu istnienia?

Nie mam wyboru, westchnąłem, kierując swe kroki w stronę pokoju sto piętnaście. Wyobraziłem sobie słoneczne popołudnie spędzone w wątpliwym towarzystwie Walerka i zacisnąłem pięści.

— A żeby was wszystkich... — wybuchnąłem gniewem, szukając w myślach jakichś wymyślnych tortur. — Żeby was...

— Nie tak głośno, Cyna. — Z łazienki wyłonił się półnagi Olek Zielonka z ręcznikiem wokół bioder. — Ściany mają uszy, chłopaki mają uszy, wychowawcy też, niestety — uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Bo... — zabrakło mi słów. — Miałem wyjść, a Rudy...

— Ciszej — kiwnął głową, bym podszedł bliżej. Stanęliśmy pod ścianą. Świeżo wykąpany Zielonka drżał,

na ciele widać było drobne kropelki wody

— Nie wiedziałem, że wolno kąpać się w dzień.

— Ogólnie nie wolno — rozwiął moje wątpliwości. — To specjalny przywilej po wczorajszym podwójnym dyżurze. Całe dwanaście godzin.

— No to fajnie, ale muszę wyjść, a Rudy powiedział...

— Przestań się wydierać, człowieku — zakrył mi usta wilgotną dłonią. — Pod prysznicem stoi jakiś nowy 21 You ani me all alone — (ang.) ty i ja całkiem samotni.

202

wychowawca. Jeśli usłyszysz i doniesie na ciebie, do świąt nie wyjdiesz. Ja też przy okazji.

— Powiniennem wykonać telefon do kumpla — powiedziałem spokojniej. — Mam pilną sprawę.

— To na co czekasz — mruknął Olek. — Przecież...

— Hej, Zielonka! — pomachał do nas jakiś chudzielec z kitką. — Nowy narzeczony?

— Spadaj! — zachnął się Zielonka. Marzył coraz bardziej i coraz bardziej żałował, że się w ogóle odezwał.

— Uważaj, żeby ci ręcznik nie spadł — zaśmiał się inny szyderczo. — Narzeczony się przestraszył! Zielonka pokręcił głową.

— Dobra, znikam, bo się sensacja robi. Na razie.

— Chwila — zatrzymałem go. — Co miałeś na myśli, mówiąc żebym nie czekał?

— Idź po prostu — potarł nos, powstrzymując się przed kichnięciem. — Do piątej nikt cię nie będzie szukał, grunt żebyś wrócił na naukę własną.

— Mam wyjść?

— No pewnie, wszyscy tak robią — klepnął mnie w ramię. — Idź i już.

Odszedł kawałek, po czym kichnął, wydając z siebie przeraźliwy odgłos. Jutro będzie miał solidny katar.

Zbiegłem po schodach, rozmyślając nie o tym, że łamię regulamin, tylko o tym, ile jeszcze razy w życiu zbiegnę po tych schodach. Miałem nadzieję, że niewiele.

Szczęście mnie nie opuszczało aż do portierni. Tu się

203

zawahałem. Wczoraj dyżurował Leszczyński, ale wczoraj była niedziela. Dzisiaj, w dzień roboczy, na pewno urzęduje tam ktoś dorosły. Co będzie, jeśli mnie nie wypuści?

Jak to nie wypuści? — stuknąłem się w czoło. Powołałam się na kierownika i tyle.

Pierwotny plan przejścia na czworakach pod okienkiem portierni zmienił się w nieco bardziej bezczelny plan przejścia z podniesionym czołem.

Przeciąg niósł zapach smażonej kiełbasy, domyśliłem się więc, że portier szykuje sobie obiad. No i dobrze, będzie mniej czujny

Pogwizdując skoczną melodyjkę, przeszedłem kołyszącym się krokiem obok portierni, kątem oka zauważając dziwny obrazek. Na blacie biurka spoczywała czarno ubrana, bezwładna postać.

Kawałek dalej, na taborecie stała elektryczna maszynka do gotowania z dymiącym garnkiem.

— Mhm — mruknąłem zadowolony i wyszedłem za drzwi. Od miasta wiał wiatr swobody, wciągnąłem więc tę woń w nozdrza, by poczuć pełnię szczęścia.

Zaniepokoiła mnie nutka spalenizny Wiatr swobody nie powinien śmierdzieć spalenizną, pomyślałem.

Pomyślałem również, że w garnku z reguły się gotuje, a nie smaży. I że portier nie powinien leżeć na biurku w pozycji denata.

Wiatr swobody zmienił kierunek.

Rozdział 22.

Rzeźnia, rzeźnia, maćradnaja

Portier okazał się portierką, martwą na dodatek, co stwierdziłem, widząc bladą twarz o sinych ustach i niezdrowej cerze. Smród też był niewąski, trudny do określenia, choć nie trupi bynajmniej. W garnku skwierczały przywarte do dna strzępy parówki, wyszarpnąłem więc kabel z gniazdka. Spirale kuchenki pociemniały. Przeszło mi nawet przez myśl, że można by zalać garnek wodą, ale, jak zaznaczyłem przed chwilą, tylko przeszło.

Z trupem było gorzej, niestety Jeżeli go, a właściwie ją, komukolwiek zgłoszę, nie wyjdę już dzisiaj. Jeśli nie zgłoszę, a ktoś się dowie, że akurat wychodziłem, uznają mnie za głównego podejrzanego i wtedy nie wyjdę już nigdy Co robić?

Usiadłem obok nieboszczki na wyłożonym starym kocem krzeselku w pozie zrozpaczonej. Czy ja muszę mieć takiego pecha? Codziennie przechodzi tędy ze sto pięćdziesiąt osób, zwłaszcza w porze obiadowej. Mogła umrzeć sto pięćdziesiąt razy, ale nie. Wytrzymała, aż się zjawiłem. Doprawdy zbyt łaski.

Głowę wspartą miała na grubym, zszywanym zeszywie zatytułowanym „Zeszyt wejść i wyjść”.

Napis częściowo przesłaniały pomalowane na czarno długie włosy ze śladami

205

siwizny oraz łupieżu. Obok, w plastikowym pudełku n ciastkach leżał gruby zielony flamaster, ogryziony ołówek i powyginane spinacze biurowe.

Postanowiłem myśleć intensywnie, bo czas naglił. Gdy bym tak sfalszował wpis, że niby wyszedłem godzinę temu Jednak to łatwo można było obalić, choćby po rozmowie z pa nem Witkiem. A może ją zakopać? W piachu pod internate Nie ma ciała, nie ma zbrodni!

Potarłem pulsujące skronie. Jeszcze lepiej byłoby prze transportować denatkę do kuchni i przepuścić przez ma szynkę do mięsa. Wtedy zjedlibyśmy ją jutro na obiad i.. Wzdrygnąłem się, przerażony własną wyobraźnią.

Koc! Podskoczyłem pobudzony nagłą ideą. Podeprę trup kijem od miotły, przywiążę do krzesła sznurem i przykryję kocem. Flamastrem namaluję źrenice na powiekach, więc nikt się nie kapnie aż do końca zmiany. Będzie jak żywa.

Zacząłem od namalowania źrenic. Wyszły trochę nierówne, ale nieboszczce chyba wszystko jedno?

— Co tak siedzisz, robaczku? Miałeś wyjść. — W drzwiach portierni stanął kierownik. Bardzo ożywiony i ze siadaniem szminki na kołnierzu.

Paraliż nie pozwolił mi się odezwać. Moje myśli już ni były moje. Były obce. Krążyły bezładnie w zakamarkach zmrożonego mózgu, powodując jedynie ból żołądka.

Kierownik uśmiechnął się krzywo, odnotowując w pamięci, że ma jeszcze jednego niewychowanego na stanie.

— Pani Zeniu, pożycz pani zwykłej herbaty i pół cytryny Na śmierć zapomniałem kupić.

206

Słowo śmierć również we mnie krążyło. Ożywiłem się nieco.

— Herbata w szafce, panie kierowniku. W szufladzie — ku mojemu zdumieniu wybełkotała kobieta, nie podnosząc głowy Obojętne zielone źrenice uniosły się, ukazując nie mniej obojętne piwne. Tyle że nie namalowane. — Cytryna też.

— Aha, aha — mruknął Eustachy Kierol, otwierając szufladę. — W szarej torbie?

— W torbie mam leki — pani Zenia w dalszym ciągu spoczywała na biurku. — W lekramówce, panie kierowniku. Takiej z kaczkami.

— Aha, aha — kierownik rozwinął podniszczoną reklamówkę. — Są cytrynki. Wezmę całą, co?
- Proszę bardzo, pan się nie krępuje — powieki opadły
— Herbatkę też wezmę na zapas — kierownik otworzył pudełko z namalowaną głową uśmiechniętego Hindusa w turbanie. — Żeby nie biegać.
— Pan się nie krępuje — powtórzyła portierka sennie. Wcale nie była głucha, jak ktoś wspomniał. Nie pamiętam kto.
— Co mam się krępować? — uśmiechnął się Kierol. — Pani Zenia znowu na tych swoich lekach, zgadłem? Mąż się nie zjawił? Wcale mu się... ekhm — chrząknął zmieszany — To znaczy, współczuję pani ogromnie. Tak właśnie.

Zaczynałem odzyskiwać zmysły, ale zbyt wolno, by nadażyć z interpretacją tego, co słyszę.

— A ty nie włącz do masarni — klepnął mnie w ramię.

— Gdzie? — wykrztusiłem pytanie.

— Do rzeźni, robaczku — sprecyzował. — To niebezpieczne.

Klepnął mnie raz jeszcze i wyszedł, nucąc coś, co brzmiało jak „Rzeźnia, rzeźnia, maćradnajd'22. Ale mogłem się przesłyszeć.

Postanowiłem wyjść, jednak gdy tylko drgnąłem, drapieżne łapsko zacisnęło się na moim przegubie.

— Nie tak szybko — pani Zenia ledwie ruszała ustami. — Jest sprawa.

— Ja się bardzo spieszę — szarpnąłem się całym ciałem. Portierka była silniejsza.

22Mać radnaja — (ros.) matka rodzona. Kierownik prawdopodobnie nucił melodię rosyjskiej pieśni Wołga, Wołga, maćradnaja.

208

Nie dość, że patrzyli spode łba, to jeszcze tarasowali przejście.

— Proszę mnie przepuścić — sapnął chemik, próbując otworzyć metalową furtkę. — Co to ma znaczyć?

— Nie bardzo rozumiem, pszepana — Szczęsny Hulewicz wypluł na chodnik łupiny słonecznika.

— Pan chce wyjść, to pan wychodzi, żaden problem.

— Jakże mam wyjść, kiedy furtkę zastawiacie? — zachnął się nauczyciel. — Szczęsny, ja cię grzecznie proszę. I ciebie, Piotrek, również — popatrzył na dłubiącego w nosie Ślipka.

— Ale o co? — Byku wzruszył ramionami. — My tylko stoimy na chodniku z drugiej strony Chyba wolno, nie?

Teodor Krzywka nie wierzył własnym uszom. Po tylu latach pracy w szkole zdążył przywyknąć do różnych uczniowskich zagrywek, lecz ta przebijała wszystkie. Poczul niepokój.

Modliłem się w duchu, by nie chodziło o pomalowane powieki. I wymodliłem.

— Z chemii jesteś dobry? — zapytała szeptem. Uniosła się nieco, więc mogłem w pełni ocenić jej urodę. Była stara i brzydka. Ulżyło mi nie wiadomo dlaczego.

— Ale o co chodzi? — odpowiedziałem w równie konspiracyjnym tonie. Długie, zaniedbane szpony wbijały mi się w skórę. Nie mogłem się uwolnić, a czas uciekał.

— Bo widzisz, moja córka... — zaczęła, po czym zatrzepotała rzęsami i grzmotnęła głową o zeszyt wyjść. Teraz umarła na bank. Krzywiąc się z obrzydzenia, zacząłem

209

odginać zimne paluchy pani Żeni jeden po drugim. Trzeci, czwarty... Ktoś zastukał w szybę. Serce struchlało, zatrzymując się na moment.

— O matko! — ledwie przepchnąłem powietrze przez ściśnięte gardło.

— Do widzenia, pani Zeniu! — zaskrzypiał w odpowiedzi stłumiony głos panny Broni i za szybą mignęła zgrabna postać. W smród leków, ziół, maści i spalenizny wśliznął się zapach cynamonu i mięty Na krótko.

Nauczyciel cały czas miał nadzieję, że to omam, echo nieprzespanej nocy Lub, co bardziej prawdopodobne, nieprzemyślane młodzieńcze popisy Co gorsza, bez pomysłu na zakończenie.

— Czy wam się poprzestawiało w głowach? — zapytał, siląc się na grzeczność, choć policzki piekły go z gniewu.

— He? — zapytał milczący dotąd trzeci z chłopaków, wygolony chudzielec w obcisłych czarnych

dżinsach, wojskowych trepach i czarnej koszulce z odwróconym krzyżem. Na bicepsie widniał wytatuowany czarny pająk. W połączeniu z ogólną bladocią wygląd chłopca przywodził na myśl kogoś bardzo chorego. Niemalże nad grobem.

Chemik włożył teczkę pod pachę i potarł czoło. Może powinien pójść przez park? Tam jest dziura w siatce i wszyscy... Westchnął.

Twarze chłopaków pozostawały niewzruszone, obojętne wręcz.

— Kim ty w ogóle jesteś, chłopcze? — zapytał zupełnie

210

bez potrzeby Co to go obchodzi? Každy inny nauczyciel Jawno by odszedł, a nazajutrz zgłosił wszystko dyrektorowi. Dziura w siatce czekała.

— To Lucio Bumbul, pszepana. Nowy uczeń, miły gość — splunął łuskami Hulewicz. — Jego matka tu pracuje, zupełnie jak pan.

— Wcale nie jak ja — chemik zapłonął oburzeniem. — Ja tu nauczam, a ta pani...

— On ma na myśli robotę po południu — wtrącił Slipek.

— Nie rozumiem.

— Lucio panu wytłumaczy, pszepana — Szczęsny mrugnął porozumiewawczo. — Piotrek, idziemy — skinął na Ślipka. — Do widzenia panu.

Odeszli, kołyszac tułowiami na boki.

— O co chodzi? — najeżył się Teodor Krzywka.

— He?

— Ty naprawdę jesteś naszym uczniem?

— A kto powiedział, że waszym? — zapytał Lucio, otwierając furtkę. Dopiero teraz nauczyciel dostrzegł równoległe blizny na przedramionach chłopaka. A także dużą, niebieską kropkę pod okiem.

Lucio Bumbul posmakował więzienia, jak widać. Musiał być starszy, niż wyglądał.

— Nie odchodź, zostań chwilę — zbulgotała pani Zenia, mrugając.

— To pani żyje? — zapytałem ze złością. Zwariować można z tak niezdecydowaną osobą.

211

- Życ, żyję — stęknęła. — Tylko mnie powieki trochę pieką po wierzchu. I jakby napuchły Rzeczywiście napuchły W dodatku mocno poczerwieniały

— Zdaje się pani — skubnąłem ucho zmieszany — Czemu miałyby puchnąć?

— Bo ja alergiczka jestem, od byle czego puchnę. — Z ust pani Żeni wypłynęła kropla śliny, wsiąkając w okładkę zeszytu wyjść. — Nie maluję się, ani nie używam kremów. Wszystko mi szkodzi — załkała.

— To ja już pójde — podniosłem się, uznając rozmowę za zakończoną.

— A już najgorzej zjedzeniem — ciągnęła, capnąwszy mnie za rękę. Drugi raz z rzędu.

Powinienem był to przewidzieć. — Nic zjeść nie mogę. Co zjem, to zaraz zwymiotuję — zawahała się. — A tak aspropos, to kto wyłączył kuchenkę? Ty?

— NOO...

— To dobrze — odetchnęła, nie puszczając ręki. — Mam tam parówkę. Zjesz kawalek?

Stanowczo odmówiłem. Obiad mi przepadł, co prawda, ale kilkanaście metrów stąd, za ogrodzeniem czekała na mnie wolność. I jeżeli nie wyjde za chwilę, być może nie wyjde nigdy Jedzenie spalonej parówki niczego nie załatwi. Poza rozwolnieniem ewentualnie.

— Proszę mnie puścić — naprężyłem się. Mięśnie miała ze stali, a palcami mogła gwoździe zaginać, więc naprężanie psu na budę się zdało.

— Z chemii coś tam rozumiesz? — zapytała, nie zwracając uwagi na moje wysiłki.

212

Poddałem się. Kobieta była niezniszczalna, okropna w swej jędzowatej czerni, trupiej bladoci i nagłym zasypianiu. Jeśli faktycznie miała męża, chciałbym go poznać. Ten facet to bohater.

— Coś tam rozumiem — pokiwałem głową ze smutkiem.

— To dobrze — wyprostowała się z trudem, po czym otworzyła szufladę biurka. — Moja córka Magdalena nie rozumie chemii, wyobrażasz sobie? Pierwsza klasa gimnazjum, a ona w ogóle nie

myśli o życiu. Jak matka nie pomyśli, to nikt nie pomyśli — mówiła pani Zenia, machając mi przed nosem wyciągniętym z szuflady brulionem w czerwonej ceratowej okładce. — Zadań nie rozumie, tych wzorów, co to wiesz.

— Nie są trudne, wystarczy...

— Wystarczy — wpadła mi w słowo — że będziesz za nią odrabiał zadania. Raz na tydzień. I nie mów, że nie masz czasu — uprzedziła. — Ja tu jestem codziennie od obiadu do dziesiątej wieczór. Ty zadania z chemii i z fizyki...

— O fizyce nie było mowy — zaprotestowałem oburzony

— I z fizyki — ciągnęła — a ja przymknę oczy... — przerwała, wpadając w nagłe omdlenie.

Z zapuchniętych powiek niczym wyrzut sumienia spojrzały na mnie namalowane źrenice. Uchwyt zelżał. Mogłem iść.

Rozdział 23.

Pozdrowienia od Manika

Lucio spoglądał spode łba na pobladłego nauczyciela. Kiedyś nauczyciele wprawiali go w zakłopotanie, brzydząc i przerażając jednocześnie. Dzięki temu zakłopotaniu zakończył edukację już po szóstej klasie podstawówki, ponieważ doszedł do wniosku, że sześć lat ciągłego obrzydzenia i przerażenia starczy mu do końca życia.

Teraz Lucio nie bał się nikogo ani niczego. Owszem, siła budziła w nim respekt, szanował władzę, ale nie czuł strachu. Nawet w więzieniu. Zwłaszcza tam. Potrafił wbić sobie gwoźdźnia w dłoń albo połknąć sprężynę. Bez mrugnięcia. To dlatego nazywali go Świrus.

— Oddaj to — powiedział sucho.

— Co? — Chemik odruchowo przycisnął do piersi teczkę. Wewnątrz miał portfel z dokumentami i pieniędzmi. — I nie tym tonem! — krzyknął piskliwie. Zbyt piskliwie oraz za cicho, niestety

— Już ty wiesz co. Matka obczaiła i dała cynk. Taki traf.

— Chcesz pieniędzy? — pan Krzywka rozejrzał się w poszukiwaniu jakichś istot ludzkich, ale gdy są potrzebne, nigdy ich nie ma. — Może jesteś głodny, Lucjan?

214

Lucio parsknął krótkim śmiechem i wyjął z kieszeni nóż sprężynowy

— Nie mów do mnie Lucjan — przed twarzą nauczyciela błysnęło stalowe ostrze. — Notatki dawaj!

— Notatki?

— Te badania — opryszek kiwnął głową. — Sześć się wścieka na ciebie i tego młodego, jak mu tam? Zapomniałem, cholera. To co, dajesz, czy mam ci pomóc?

Ostrze zatoczyło koło, błyskając wesołymi refleksami.

Biegłem, frunąłem właściwie, w stronę otwartej furtki. Podejrzewam, że wyrosły mi skrzydła u ramion. Wolność czekała zniecierpliwiona i nic już nie mogło mnie zatrzymać.

Z daleka widziałem ulicę Masarników, jezdnia miała mnóstwo dziur, ale według mnie była najpiękniejszą jezdnią na świecie. Próżno takich szukać w Trombolinie, w Zielonej Górze czy we Wrocławiu nawet.

Przez skrzydła u ramion żywiłem obawy, czy się w tę furtkę zmieszczę, ale nie dość, że się zmieściłem, to jeszcze zderzyłem się z roslym policjantem.

— Och, przepraszam — jęknąłem, macając obojczyk. — Trochę nie wycyrklowałem.

Skrzydeł nie było. Całe szczęście, bo nie wiem, czy posiadanie ich jest zgodne z prawem. Może trzeba wykupić licencję?

— Ślepy jesteś, czy jak? — skrzywił się funkcjonariusz w randze posterunkowego. Pod mundurem rysował się okrągły brzuszek. Zdjął czapkę i wtedy zobaczyłem, że ma jasne, krótko przycięte włosy i delikatne piegi.

— Ależ skąd — zapewniłem, bojąc się, by czegoś nie chciał. Chciał.

— Mieszkasz tu? — wskazał internat.

— Nie — powstrzymałem się przed skubaniem ucha. Jeszcze trochę kłamstw i mi odpadnie. — Na obiedzie byłem. Mam bloczki.

Coś w mojej twarzy wzbudziło zawodową czujność policjanta. Położył dłoń na futerale kajdanek.

— Tak? To pokaz.

216

Struchlałem.

— No więc — mruknąłem, klepiąc się po kieszeniach. — Chyba gdzieś mi... — klepnąłem się nieco mocniej i prawe udo zapłonęło bólem.

— To jak?

— Błoczków już nie mam, ale — sięgnąłem do kieszeni — mam widelec! — Tryumfalnym gestem wyszarpnąłem z kieszeni brudny sztuciec. Obym nie dostał od tego brudu jakiejś gangreny na udzie, albo dżumy.

— Z własnym chodzisz?

— Z własnym — potwierdziłem skwapliwie. — Na stołówce większość widelców rozkradli, pewnie na złom — fantazjowałem. — Zawsze to parę groszy.

— Aż taka bieda? — mężczyzna sposepniał i założył czapkę. — Popatrz, co oni wyrabiają — westchnął ciężko, nie precyzując, jakich „onych” miał na myśli. — Ale co poradzić — wzruszył ramionami, po czym sięgnął do raportówki.

Z czarnego notesu wyjął złożoną kartkę z odbitką zdjęcia w trzech ujęciach. Z profili i od przodu.

— Widziałeś tego pana? Może jadł tu obiad albo kręcił się niedawno?

— Nie — skubnąłem ucho. — Nie widziałem.

— Szkoda — mruknął policjant, chowając kartkę. Spojrzał na zegarek. — Jutro popytam w szkole. Jesteś wolny — przyłożył dwa palce do daszka czapki. — Do widzenia.

— Mhm, do widzenia — machnąłem ręką i odbiegłem, dziwiąc się własnej głupocie. Dlaczego nie powiedziałem, że na zdjęciach jest pan Witek, mój wychowawca?

217

O takich sytuacjach czyta się w gazetach przy śniadaniu nikt jednak nie traktuje ich serio. Bandycki napad z bronią w ręku w biały dzień? Niemożliwe.

Podobnie myślał Teodor Krzywka, szacowna osoba w szacownym wieku. Teraz, kiedy patrzył prosto w pozbawione litości źrenice Lucia Bumbula, zastanawiał się, kto zaopiekuje się kwiatami, gdy go zabraknie. Kto będzie nawoził *Espostoa lanata*, najpiękniejszego kaktusa w kolekcji, kto...

— Halo! — zniecierpliwził się Lucio. — Zasnąłeś, gościu, czy jak? Dawaj notes albo ci wytnę kółko i krzyżyk na czole, bawole — zachichotał, ucieszony niezamierzonym rymem. Żeby pani od polskiego usłyszała, jakie piękne poezje układa, nie nazwałaby go już nigdy matołkiem. Postanowił ją odwiedzić przy najbliższej okazji i zażądać przeprosin.

Nauczyciel chemii rozejrzał się bezradnie. Nie można pozwolić, by ktoś obcy dotykał jego *Espostoa lanata*, wykluczone. Na co mu te notatki właściwie? Niech je sobie Lucio Bumbul zabiera. Odpiął klamrę teczeki.

— Ja stanowczo protestuję przeciwko takiemu traktowaniu — powiedział, zmarszczywszy czoło.

— To sprzeczne z konstytucją!

— Z czym?

— Ale ulegam presji — Krzywka znalazł notes, po czym wyrwał stronicę pokreśloną czerwonym pisakiem.

— Co? — Lucio zamrugał.

— Proszę bardzo — nauczyciel wręczył kartkę młodemu przestępcy. — Źle skończysz, chłopcze, to więcej niż pewne.

218

Chłopak schował nóż. Szef będzie zadowolony, to może premia się trafi. Już go tam gangsterzy dobrze dolarami smarują. Starczy dla wszystkich.

Notatka jak notatka, stwierdził. Bazgrały i cyferki, diabeł nie rozezna.

— A tyś co za jeden? — huknął mu ktoś nad uchem. Wzdrygnął się zaskoczony.

Mężczyzna wyglądał groźnie, miał czarne wąsy, a w dłoni ścisnął wielki klucz do odkręcania rur. Takim kluczem można ogłuszyć słonia, pomyślał Lucio i odsunął się nieco. Pora wiać.

— Dobrze, że pan przyszedł, panie Stefku — ucieszył się nauczyciel. — Ten młodzieniec — wskazał palcem stropionego Lucia — groził mi oraz obrabował z cennych notatek.

— Chyba pan żartujesz, profesorku? — Wąsik klepnął kluczem o otwartą dłoń. — Tak za dnia? Lucio cofnął się pod furtkę, ale woźny był szybki. Podskoczył żwawo i przycisnął opryszka do ogrodzenia.

— Dawaj, coś zabrał — warknął. — Albo tak cię zdzielię w ten dumny łeb, że cię rodzona...

— To akurat kara niestosowna do przewinienia — wtrącił Krzywka. Zamilkł jednak szybko, zgromiony surowym spojrzeniem wyzwoliciela.

— Pan się łaskawie nie wtrąca. A ty — szturchnął chłopaka kluczem w brzuch — coś za jeden? I co ukradłeś?

— Nic — bąknął Lucio, wsadzając kartkę w usta. Przeżuł ją, po czym błyskawicznie połknął. — Nic na mnie nie macie! — wywinął się z uchwytu zdumionego Wąsika, zgrabnie przeskoczył ogrodzenie i uciekł w stronę miasta.

219

— Gonić go trzeba! — zdenerwował się woźny — Policję wzywać! Bo jak zwieje, to szukaj wiatru w polu.

— Niekoniecznie — chemik poprawił kołnierz. — Tak się składa, że mi się przedstawił. Nazywa się Bumbul Lucjan, syn naszej sprzątaczkki. Mamy go na widelcu, że się tak wyrażę.

— Jakiej sprzątaczkki?

— No jak jakiej? Tej nowej, Bumbul Janiny, z domu Pchła — nauczyciel wzruszył ramionami.

— Panie, tu wszystkie sprzątaczkki pode mnie podlegają — oświadczył woźny — Wierz mi pan, profesorze, żeśmy żadnej Bumbuliny z dyrektorem nie zatrudniali. Pchły tym bardziej.

Wszystko sobie zaplanowałem. Najpierw dzwonię do Kostka, niech mówi, co jest grane z tą darowizną dla szkoły i w ogóle, co się dzieje. Potem jeszcze do domu, żeby się nie martwili i że wszystko w porządku. No i może do Ani...

Nie, do Ani nie zadzwonię, postanowiłem, przetykając coś obrzydliwie gorzkiego. To coś nazywa się żal. Muszę o niej zapomnieć, bo oszaleję. Muszę.

Najbliższa budka, o której wiedziałem, była na dworcu autobusowym. Sądziłem jednak, że znajdzie się jakaś bliżej, może nawet na tej ulicy, choć wątpię. Gorzej z kartą telefoniczną. Po drodze do internatu nie natknąłem się na żaden kiosk, postanowiłem więc pójść w przeciwną stronę. Gdzieś przecież dojdę.

Szedłem wzdłuż ogrodzenia i, kiedy w oddali ujrzałem park, a przy bramie kiosk i budkę z lodami, coś mnie

220

podkusiło, by zerknąć na ostatni barak chwilowo nieczynnej z powodu remontu rzeźni.

Do każdego z baraków prowadziły duże metalowe drzwi z namalowanym białą farbą napisem: REMONT. WEJŚCIA NIE MA! Oczywiście bujda.

Przeszedłem na drugą stronę. Siatka ogrodzeniowa wisiała w strzępach, na otwartych drzwiach ostatniego z budynków widniał podniesiony obrotowy rygiel, na którym wisiała biała szmata z czerwonym kółkiem. Flaga Japonii? Skąd tu Japończycy? Obudziła się we mnie ciekawość. Zajrzę tylko, a potem biegnę dzwonić.

Ostrożnie, by nie podrzeć ubrania o ostre druty, wśliznąłem się na teren rzeźni. Niespodziewanie odniosłem wrażenie, że jestem obserwowany, odwróciłem się więc gwałtownie, ale nikogo nie było.

W oddali widziałem kilka idących osób, jechał rowerzysta, a brązowy pies ciągnął na smyczy małego chłopca. Zdążę się ukryć, zanim zwrócę na siebie uwagę.

Za siatką wałało się sporo rozbitych cegieł, sterty desek, kawałki grubego styropianu, rozmokłe kartony, zaś w wydeptanej trawie leżał poczerniały łańcuch z dwiema rozciętymi kłódkami.

Chociaż w nocy padało, metal w miejscach przecięcia nie zdążył zardzewieć. Wniosek był oczywisty Ktoś myszkował w baraku całkiem niedawno, może jeszcze jest na miejscu.

Osoba rozsądna po stwierdzeniu powyższego odeszłaby stąd czym prędzej. Wariat natomiast włazłby do środka szukać guza. Wlazłem do środka.

221

Podłużny barak miał małe, wysoko umieszczone okienka Nad każdym z nich widniały żaluzje na szynach, na szczęście podniesione. Choć i tak światła tu było tyle, co kot napłakał.

Dobrze jednak, że cokolwiek widziałem, inaczej zaraz za progiem nadziałbym się na wmurowany w posadzkę metalowy pręt, wygięty nie wiadomo po co w stronę wejścia. Nieco dalej, w ścianie naprzeciwko zauważyłem wąskie metalowe drzwi oznaczone jako sterownia. Spod zielonej farby wyłaził ledwie widoczny napis: LEITERRAUM23, pisany dziwnymi literami. Pani od niemieckiego mówiła, że tak wygląda czcionka gotycka.

Przez środek hali biegł rząd szerokich drewnianych stołów pokrytych noszącą ślady tasaków i noży nierdzewną blachą. Przy ścianach mieściły się betonowe podesty z uchwytnymi do mocowania maszyn, wszystkie puste z wyjątkiem jednego. Pokryta zaschniętym brudem maszyna wyglądała jak monstualny kielich z kołem zamachowym i lejkowato zakończonym sitem. Prowadził do niej splekany gumowy taśmociąg napędzany olbrzymim elektrycznym silnikiem. Obok taśmociągu stała sterta kartonowych pudeł z czerwonym nadrukiem PZM Mielonka Turystyczna. Przetarłem zmęczone oczy, a potem spojrzałem w górę.

Pod sufitem, na łańcuchach, wisiało mnóstwo grubych ostro zakończonych haków Zapewne do oprawiania ubitych zwierząt. Albo raczej do ładowania mięsa na taśmociągi, sądząc po blokach z linami ze stali. Poczuję się nieswojo. 2iLeiterrraum — (niem.) biuro kierownika.

222

Usłyszałem delikatny szelest dobiegający zza kartonów.

Szczury?

— Hej! — krzyknąłem, zwinawszy dłonie w trąbkę.

— Hej ho! — odpowiedziało echo.

— Jest tu kto? — zapytałem zdumiony.

— Pewnie że jest! — padła wesoła odpowiedź, a po niej upiorny śmiech.

Coś zgrzytnęło i cała maszyna ożyła niespodziewanie.

— Kto to? — odwróciłem się, słysząc tupot za plecami. Ciemna postać wyskoczyła na zewnątrz.

— Błoto! Pozdrowienia od Manika, Mielony! — Łupnął rygiel, na okna opadły żaluzje i nastąpiła ciemność.

Rozdział 24.

Atak trzeba uprzedzić

Nie bardzo wiedziałem, jak się zachować. Było tak ciemno, że aż mnie oczy rozboleły od wytrzeszczania. Wszystko na nic. Obróciłem się w stronę źródła hałasu, przez co momentalnie straciłem orientację w przestrzeni. Do łomotu obracających się zębatek i skrzypienia taśmociągu dołączył dźwięk haków przesuwających się na łańcuchach.

Miałem nadzieję, że są zbyt wysoko, by mnie któryś zaczepił, lecz nadzieja prysła, gdy poczułem bolesne szturchnięcie w plecy Przerażony, przypadłem do podłogi, niestety stanowczo za późno. Zacząłem się unosić, wierzgając bezradnie. Koszulka podjechała pod brodę, materiał zacisnął się na szyi i straciłem oddech.

— ... Chcesz pić, prawda?

Och, chciałem pić. Pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek. Najbardziej.

— Chodź, ugasisz pragnienie. Nie mogłem się ruszyć.

— Chodź — powtórzył głos.

Próbowałem odpowiedzieć, ale przez ściśnięte gardło nie sposób wydobyć głosu.

224

— Napij się, gorąco dzisiaj. Tak słonecznie — przed oczami zamajaczyła otwarta puszka pepsa light.

Czułem bezsilność. Podejdz bliżej, błagałem w myślach. Podszedł, przyjacielsko uśmiechnięty. To ty? — zapytałem bezgłośnie.

— To ja. Pomyślałem, że może gdzieś pójdziemy — powiedział, podając puszkę. — Pij.

W oczach czaiła się obawa, że może nie będę chciał się napić. A przecież chciałem. No i fajny z niego koleś, bardzo zabawny. Odetchnął z ulgą.

— Będę miał więcej, znacznie więcej — mruknął. — Jeśli chcesz. Smakuje?

Nie, nie smakuje. Dlaczego mi to robisz? Dlaczego...

Zacisnąłem powieki, oślepiony silnym jarzeniowym światłem. Ktoś chciał, bym zobaczył, co mnie

czeka. Pod stopami przesuwiał się taśmociąg, prawie go dotykałem czubkami butów. Za chwilę przewiezie przemądrzałego Cynę prosto w terkocące wnętrze maszyny rzeźniczej, by zasłużył na miano Mielonego. Tylko że ja wolałem pozostać w jednym kawałku przez długie lata. Oddychałem z trudem, drżąc ze strachu i śmiejąc się w duchu histerycznie. Szukałem guza, więc znalazłem go błyskawicznie. Patryk Manik, żądny zemsty szesnastoletni psychopata, dorwał mnie, jak obiecał.

Mama wróci późno, być może po północy Po prostu wspaniale. Taty nie chcą wypuścić ze szpitala, a babcia dostała

225

dziwnych boleści i kazała się sobą zająć. Nic, tylko usiąść i płakać. Spojrzała na zegar. Wpół do piątej.

— Myśl, Anka, myśl — potarła skronie.

Jak tu cicho. Zawsze gdy jest tak cicho, dzieje się coś złego. Janek! You and me all alone...

— Dosyć tego — ze złością wyłączyła iPoda. — Zrobię, co zechcę.

„Żadnych kontaktów Niech cierpi” — w myślach odezwał się szorstki głos. Nigdy go nie zapomni.

Potrząsnęła głową.

— Nie zaszczujesz mnie, szmaciarzu! Koniec z tym. Podeszła do telefonu. Zerknęła do książki telefonicznej

i wystukała numer.

— Informacja PKS, słucham?

— Czy... — zawahała się. — Czy jest jeszcze jakiś autobus do Potemkowic?

— W jakich godzinach?

— Może... teraz?

— Siedemnasta dziewięć liniowy, siedemnasta pięćdziesiąt osiem pośpieszny przelotowy, osiemnasta...

— Dziękuję pani, do widzenia — odłożyła słuchawkę. — Nie zaszczujesz — odpowiedziała swoim myślom.

You and me all alone... Dosyć!

To, co terkotało, to nie były zębatki, jak sądziłem pierwotnie. To były szerokie, płaskie noże, mocno zardzewiałe, wyszczerbione i tępe. Obracały się powoli, na tyle powoli, że zdążyłem się pocieszyć, że dyndając na haku, jestem bezpieczny, bo hak się na pewno nie opuszcza.

226

Jednak się opuszczał. Jak Manik tym kieruje, do diabła? Pewnie siedzi w sterowni i ma ubaw po pachy. Musiałem być nieźle podduszony, skoro przestałem wierzcąc i poddałem się ponuremu nastrojowi. Buty dotknęły ostrzy

Ocknąłem się, instynktownie podciągając nogi. Długo tak nie wytrzymam. Psychol nadział mnie na widelec. Na widelec? Ręce miałem odrętwiałe, ale nadzieja obudziła we mnie chęć do walki.

Musiałem walczyć. Sięgnąłem po widelec, już raz mnie uratował z opresji. Może uda się po raz drugi?

Tak naprawdę wszystkie te myśli pojawiły się jednocześnie w pełnym chaosie. Jakoś jednak wiedziałem, co robić.

Końcami palców wyłuskałem widelec z kieszeni, jednocześnie kurcząc się na haku, ponieważ znów czułem wir pod stopami. Zostało mi kilka sekund. Gwałtowny ruch spowodował, że otłuszczony kawałek metalu, który miał mi uratować życie, wysliznął się z niemrawych palców.

Czas spowolnił. Chyba tylko po to, bym mógł zobaczyć widelec kołyszący się na krawędzi kielicha maszyny, z wyraźną tendencją wypadnięcia na zewnątrz.

— Nie! — wrzasnąłem, podbijając go stopą w nadludzkim wysiłku.

Wyskoczył w powietrze, zawirował przed oczyma, po czym opadł i wpadł między ostrza. Buty osmałił snop iskier, a zgrzytnięcie było tak przeraźliwe, że rozboleły mnie zęby Maszyna zatrzymała się z jękiem.

Na razie żyłem, lecz co dalej? Na pytania typu „co dalej” odpowiedzi z reguły przychodzą niespodziewanie szybko. Ta odpowiedź przyszła po niespełna minucie.

Zauważyłem, że szarpiąc się i kołysząc łańcuchem, powoduję jego obniżanie. Odbiłem się więc stopami od buczących, znieruchomiałych noży, po czym opuściłem się na zewnątrz, chwytając dłońmi krawędź maszyny. Do posadzki brakowało kilkudziesięciu centymetrów.

Musiałem szturchnięciem zaburzyć delikatną równowagę między widelcem a ostrzami, gdyż ledwie zawisłem po bezpiecznej stronie, lekko wygięty sztuciec wystrzelił w górę i wbił się w sufit, a maszyna zaczęła mleć powietrze.

228

Wypuściłem powietrze z płuc, usłyszałem trzask rozrywanego materiału i runąłem na podłogę. Byłem poszarpany, obolały, ale cały.

Biegła, zastanawiając się, czy zamknęła drzwi na klucz. Często się nad tym głowiła, jednak zawsze okazywało się, że drzwi zamknęła, a żelazko i gaz wyłączyła. Ale dzisiaj mogło być inaczej. Dzisiaj grzeczna dziewczynka robiła coś wbrew całemu światu. Wbrew mamie i wbrew groźbom tego padalca, fałszywego kumpla. Dla Janka, niech wie. Niech wybaczy.

Lucio Bumbul spoglądał w sufit. Szef, choć szczeniak jeszcze, budził w nim szacunek. Sam Lucio nigdy by nie uwierzył, że taki szczył może rządzić takim cwaniakiem jak on właśnie. Jednak tak jest i nie ma się co zastanawiać. Nad szefem są inni, znacznie groźniejsi. Dorosłe gangstery było nie było.

— No to, co miałem robić, zjadłem i już — pociągnął nosem. Nie lubił takich rozmów. Nie lubił zawodzić.

— Jedz — zachęcił szef, uśmiechając się miło. Lucio znał te lisie uśmieszki. Niedobrze, kurde balans. — Lody się roztopią i pożytku nie będzie.

— Jem — opryszek skrobął łyżeczką po wierzchu czekoladowej warstwy. — Szef się nie gniewa?

— A mam o co? — brew powędrowała w górę.

— No, niby właściwie...

— Zjadłeś, to zjadłeś, smacznego. Najważniejsze, czy zapamiętałeś dane?

229

— Te bazgroły? — Lucio odłożył łyżeczkę. Duszno w tej kawiarni, pomyślał, ocierając czoło.

— Te bazgroły miały mi przekazać pewną ISTOTNĄ in_ formację — młody szef zacisnął pięści.

— Kapujesz, synu?

— Nie bardzo.

— Muszę wiedzieć, co na mnie mają. Co ten chłystek knuje za moimi plecami, z nauczycielem do spółki? Atak trzeba uprzedzać, kapujesz?

— Ale jak? — Lucio nie cierpiał tej kawiarni. Kojarzyła mu się z trudnymi rozmowami, a przebijająca zewsząd nachalna czerwień wystroju budziła agresję. I ta kocia muzyka. Jazz czy inne barachło.

— Siłą albo sprytem! — zdenerwowany chłopak grzmotnął pięścią w stolik. — A z wami...

— Proszę się uspokoić albo wezwę policję — kelnerka wyrosła jak spod ziemi.

— Dobrze, proszę pani — szef spuścił z tonu. — Będziemy płacić — na blacie pojawił się zwinięty banknot pięćdzie-sięciozłotowy

— Jeszcze nie policzyłam, no i nie mam wydać — klepnęła się po fartuszku. Kieszeń zadzwięczała monetami. Wymalowane rzęsy zatrzepotały niewinnie. — Za jakieś pół godzinki, może być?

— Czas to pieniądz, proszę pani — padła filozoficzna odpowiedź. — Reszta dla pani, do widzenia. Szurnęły krzesła, chłopcy opuścili kawiarnię. Kelnerka pomyślała, że zapowiada się udany wieczór. Skoro o piątej taki napiwek, to co będzie o dziesiątej, dajmy na to?

230

Główne drzwi były zamknięte i szarpanie się z nimi nie miało sensu. Podeszedłem pod sterownię. Załomotałem pięścią, lecz nikt nie otworzył.

— Manik, nie wygłupiaj się — zawołałem z nadzieją, że może się opamięta.

Nie opamiętał się, szarpnąłem więc za klamkę. Sterownia nie była zamknięta.

— Ale ze mnie głąb — mruknąłem, zaglądając do wnętrza. — Jesteś tam?

Oczywiście, że go nie ma, odpowiedziałem sam sobie, patrząc na kolejne drzwi z napisem .WYJŚCIE AWARYJNE". Były zamknięte i ani drgnęły kiedy je kopnąłem w rozpacz.

Sterownię stanowiło ciasne pomieszczenie z pełnym przycisków pulpitem, metalowym krzesłem i małym monitorem w poźółkłej obudowie. Gdzieś w hali znajdowała się kamera przemysłowa, może nawet kilka. Patryk Manik dobrze przygotował pułapkę, choć mogę się założyć, że mu ktoś pomógł. Ktoś, kto wiedział, co jest w baraku i jak się to obsługuje. Ale kto?

— Hej! Gdzie się schowałeś? — sapnąłem, próbując nadać głosowi spokojne brzmienie. Niech się Manik nabierze. Zasluguje na coś więcej niż bęcki. — Nic ci nie zrobię, nie jestem mściwy — dodałem, śmiejąc się nieszczerze.

Nikt nie odpowiadał, przejrzałem więc wszelkie możliwe kryjówki. A konkretnie dwie, metalową szafkę na ubrania i miejsce pod pulpitem sterowniczym. W sumie znalazłem drucziany wieszak, papierek po cukierku miętowym Agusia,

231

kawałek plastra i dwa różne odciski butów. Jeden miał wyraźnie sportową podeszwę, numer 43, czyli rozmiar jak mój. Drugi był trochę większy, jakby od trepa.

Nos detektywa podpowiadał mi, że Manikowi towarzyszył jakiś dorosły. Wojskowy albo... Albo robotnik w butach roboczych, rozjaśniłem się. Zaraz też posmutniałem, bo co mi po rozjaśnianiu, kiedy wyjść nie mogę.

Rozdział 25.

Omszały po raz trzeci i ostatni

Delikatne pukanie do drzwi przerwało długą rozmowę. Witold Rudziawka zduślił papierosa w popielniczce.

— Proszę — mruknął zachrypniętym głosem.

— Można? — Do pokoju wychowawców zajrzał onieśmielony chłopak.

— Właż.

Chłopiec pociągnął nosem, czując nasilający się katar. W zadymionym pomieszczeniu trudno było oddychać. Spojrzał na siedzących przy stole mężczyzn i zrobiło mu się głupio. Był zły na siebie, że dał się wmanewrować w coś takiego.

— No co tam? — zagał widziany już wcześniej mały fa-cecik o wyglądzie koguta.

— Ja do pana Witka.

— Tak myślałem — facecik rozciągnął usta w pełnym zębów uśmiechu, zdjął ze stołu napoczęte butelki z piwem Tyskie Gronie i postawił je na podłodze. Nieco spóźniona reakcja. —

Bezalkoholowe — kiwnął głową przyjaźnie.

— Czego chcesz? — zainteresował się wychowawca, ziewając. Trzecie piwo po nieprzespanej nocy nie było najlepszym pomysłem.

233

- Udało się, proszę pana — chłopak przełknął ślin i wlepił wzrok w podłogę. Podłoga nie leżała w jego naturze ale musiał. — Rybka chwyciła przynętę. Flagę Japonii powie siłami...

— Dlaczego akurat Japonii?

— Wziąłem ze szkoły, tak mi się jakoś pomyślało.

— Czyli że poszedł?

— Poszedł, proszę pana.

— No i?

— No i Manik się nim zajął, tak jak było zaplanowane.

— Fajnie — Rudziawka, zwany Kaszana, przymknął zmęczone oczy — Możesz iść.

— Ale... ale czy Manik wie, że to tylko dla postrachu? wychowanek bawił się nerwowo palcami.

— Wie, wie — ziewnął pan Witek. — Idź już.

— Aha, a ten... a umowa?

— Jaka umowa? — Mężczyzna podniósł się ociężale z krzesła. Żyłasty kogucik zaśmiał się chrapliwie. — Ja się nie umawiam z uczniami.

— Jak to? — W oczach chłopca zamigotał strach. — Obiecał pan nie wpisywać mi tych karniaków za brudny korytarz, jeżeli nakłonię... — przełknął łzę. — No bo jak przekroczę setkę, to wtedy... — zadygotał. — A ja muszę jechać, mama ma operację, proszę pana.

Kaszana pokręcił głową i wypchnął natręta na korytarz.

— Musi to na Rusi, Zielonka. A w Polsce, jak kto chce! — powiedział, a potem dodał, widząc łzy na policzkach chłop-

ca: — Nie rycz, co ty baba jesteś? Będiesz grzeczny, to może mi się przypomni, co obiecałem. Trzasnęły drzwi.

Z nudów zacząłem bawić się przyciskami na pulpicie sterującym. Okazało się, że to dziecinnie proste. Jednak gry komputerowe są bardzo rozwijające, godziny garbienia się przy klawiaturze nie poszły na marne. Trochę ćwiczeń i mógłbym statek kosmiczny poprowadzić.

Jedna z kamer obsługiwała środek hali, na zbliżeniach ujrzałem stoły do ćwiartowania. Dwie kolejne pokazywały ściany, jeszcze inna drzwi wejściowe. Manik musiał widzieć każdy mój ruch. Kotek i myszka. Szkoda, że nie ja byłem kotkiem.

Moją uwagę przyciągnął jakiś ruch przy drzwiach. Wyregulowałem ostrość. Obrotowy rygiel uniósł się, a potem do baraku weszła przyczajona postać w kapturze.

Poderwałem się z krzesła, żałując, że nie mam już widelca do obrony. Niby nic, a zawsze coś. Najpierw pomyślałem, że to Manik przyszedł posprzątać moje resztki. Jednak postać poruszała się nieco inaczej niż tamten. Bardziej zwinnie. Poza tym była wyższa. Manewrowałem kamerą w ślad za chłopakiem, ale kąt był za duży i widziałem jedynie jego nos z wysokiego ukosa.

Przykucnął przy ścianie i zaczął majstrować przy skrzynce, której wcześniej nie zauważyłem.

Bezpieczniki, puknąłem się w czoło. Najpierw zgasły światła, za chwilę ponownie się zapaliły, za to wyłączyła się maszyna, taśmociąg i łańcuchy.

235

Przerzucił kartony, wspiął się na podest, zajrzał do wnętrza maszyny, po czym stanął bezradnie. Odrzucił kaptur i wówczas go poznałem.

Omszały musiał zauważyć ruch kamer, bo skierował się do sterowni. Przyczaiłem się na wszelki wypadek, uzbrojony w druciany wieszak, papierek po cukierku miętowym Agusia oraz kawałek plastra z plamką zaschniętej krwi. Sam już nie wiem, kto przyjaciel, a kto wróg. W przeblysku geniuszu zamknąłem drzwi na zasuwę. Teraz mogę nawet z diabłem paktować.

— Cyna — klamka poruszyła się niecierpliwie — jesteś tam?

— A kto pyta?

— Kuba — westchnął głos. — Omszały znaczy, musiałeś mnie widzieć na monitorze. Otwieraj.

— Omszały albo i nie Omszały — droczyłem się. — Podaj jakiś ważny powód, to otworzę — zacisnąłem dłoń na wieszaku.

Nastąpiła chwila ciszy. Widocznie go zamurowało.

— Ważny powód? — wykrztusił w końcu. — Właśnie cię stąd wyciągam człowieku, jaki powód może być ważniejszy?

— Chyba że tak — odpowiedziałem, odciągając zasuwę. — Tyle razy się sparzyłem, to na zimne dmucham. Cześć, Omszały — podałem rękę wybawcy.

Ujął ją z ociąganiem i potrząsnął niemrawo.

— Coś taki poszarpany, z trygrysem się biłeś? Zresztą nieważne — mruknął. — Masz szczęście, że dziś nawiewam i akurat tędy

— Nawiewasz?

2%

— Najwyższy czas — pociągnąłem go do wyjścia. — Dziewczyny nie ma i nie będzie — dodał głosem pełnym żalu.

— Nie chwytam.

— Tego się nie da wyjaśnić — pociągnął nosem. — Oskarżają mnie o coś, czego nie zrobiłem, nie przyjmują wyjaśnień. Nie wierzą, że wpadła w przepaść. Nikt nie wierzy — mówił, idąc coraz szybciej. Dreptałem za nim.

— Wpadła w przepaść? Gdzie?

— Długa historia — wzruszył ramionami. — Nie do opowiedzenia w pół minuty. Grozi mi wyrok, nie ma na co czekać. Na szczęście jest ktoś, kto może mi pomóc — pchnął drzwi.

— Kto taki?

— On — wskazał stojącego na zewnątrz brodatego mężczyznę w szarym prochowcu z podniesionym kołnierzem.

— To przecież... — zmrużyłem osłepione słonecznym blaskiem oczy Tego właśnie faceta widziałem za oknem panny Broni Dederko. — To zdaje się...

— Mój stryjek Hubert — uśmiechnął się Omszały — Pomógł wyjść przez okno.

Mężczyzna bąknął pod nosem słowa przywitania i ponaglił Omszałego, wskazując zaparkowanego przy krawężniku, tuż za znakiem ZAKAZ PARKOWANIA I POSTOJU żółtego fiata Tipo. Bardzo konspiracyjny kolor, pokręciłem głową.

— Trzymaj się, Cyna — Omszały klepnął mnie w ramię, wyjął z kieszeni zmiętą kartkę i podając ją, powiedział: — Drobnny prezent.

>

237

— Co to?

— W tamtym roku sprzątałyśmy te baraki. Zauważyłem w ścianie cegłę oznaczoną krzyżykiem, za nią była butelka, a w butelce... wyjaśnienie tajemnicy

Z samochodu dobiegł krótki dźwięk klaksonu. Małomówny stryjek zaczynał się niecierpliwić.

— Ale...

— Nie słuchaj głupot, jakie o mnie opowiadają i nie daj się zwariować. Cześć — przelazł przez dziurę.

— Cześć — westchnąłem ciężko. Mógł być z niego fajny kumpel. Włożyłem kartkę do kieszeni.

— Aha — odkręcił szybę. — Uważaj na pana Rudziawkę, to przestępca. Chodził tutaj z Mętlikiem. Razem to wszystko przygotowali.

— Serio?

— Bardzo serio. Rozgryzłem go, Gabrys zresztą też. I wiesz co?

— Co?

— Nie widziałeś mnie, dobra?

— No co ty, pewnie, że cię nie widziałem. Już teraz cię nie widzę — rozejrzałem się z głupawym uśmiechem, a potem pomachałem na pożegnanie. Rudy przestępca? To dlatego policjant mnie o niego wypytywał.

Zanim odjechali, stryjek Omszałego wyciągnął szyję do lusterka i odkleił brodę. A może mi się zdawało? Wyjąłem kartkę.

Nie miałem pojęcia, która jest godzina. Nie miałem również pojęcia, co oznacza rysunek na kartce i jaką tajemnicę

238

wyjaśnia. Zamiast zostawiać zagadki, mógł Omszały po prostu powiedzieć, o co chodzi.

Odręczny rysunek z czymś mi się kojarzył, tylko z czym? Wyglądało to jak naprędce naszkicowane duże pudełko z przyklejonym u dołu małym pudełkiem, z którego wychodziła linia zgięta pod kątem prostym i zakończona trzema równoległymi, coraz krótszymi kreskami. Na dużym pudełku widniała wielka litera S, przy kreskach małe u.

— Niech cię licho, Michalski — zmarszczyłem czoło. — Co to w ogóle jest?

Oparłem się o siatkę, usiłując rozgryźć rysunek. I to był głupi pomysł, bo nie dość, że zapomniałem, po co w ogóle wyszedłem z internatu, to jeszcze podpadłem dozorczy

— ... żesz ty złodzieju jeden! — usłyszałem złorzeczenia pełne świszczących sapnięć i stękania.

Zza drzew wyłonił się wychudzony starzec o czerwonej twarzy i błyszczącej łysinie. Utyłane ziemią workowate spodnie, tenisówki oraz brązowa marynarka od garnituru nadawały mu wygląd lumpa.

— O co chodzi? — zapytałem, wyskakując dziurą na ulicę. Miałem nad nim przewagę szybkości i kondycji, nie musiałem więc uciekać tak od razu.

— Kraść się przyszło, tak? — wyzipiał, trzymając dłoń na wysokości serca. — Majątek państwowy przywłaszczają? Grabić?

Przykucnął, ciężko dysząc. Mimo że dzieliło nas parę kroków, wyczułem odór przetrawionego wina.

— Grabić? — zdziwiłem się. — A widzi pan przy mnie grabie?

239

— Już ty wiesz, co mam na myśli, złodziejaszku — Wy_ prostował się z trudem. - Człowiek na śmierć się zaharo-wuje, żeby to wszystko upilnować, a i tak kradną, maszyny rozkręcają na złom. Co tam trzymasz? Oddawaj! — podszedł bliżej, rozcapierzając drżące palce. Na zegarmistrza to on się nie nadawał.

Zszedłem na chodnik.

- Nie mogę niestety - powiedziałem, składając kartkę.

240

— A dlaczego to? Koszulę toś chyba na śmietniku wynalazł — zmarszczył czoło i wsadził głowę w dziurę. Nos miał sinawy i pełen żyłek. Widywałem gości z podobnymi nosami u nas na Kaczych Dołach. Pewnie rodzina tego tutaj.

— A dlatego to, że to są tajne sprawy detektywistyczne, proszę pana — cofnąłem się o krok.

— No, skoro desty... tykiwiczne, to nie ma co — pokiwał głową. — Znaczy się nie złodziej, tylko jakby odwrotnie, tak? Ale czego tu szukać, tego złota?

No proszę, nawet dozorca wie o złocie.

— Złota? — udałem zdumienie.

— Przecież w gazetach pisali, że zaraz po wojnie w Po-temkowicach bandyci dwanaście kilo złota schowali — podrapał się po łysinie. — Ale tu nic nie ma, dobrze przeryte. Wszystko bujdy Ten, co go milicja złapała, głupot nagadał. A durne ludzie wierzą.

— Ludzie we wszystko uwierzą, proszę pana — zgodziłem się grzecznie. — Zegarka pan nie ma?

— zmieniłem temat, wypatrując kogoś, kogo mógłbym zapytać o godzinę.

— Miałem, ale go prze... — skrzywił się — przepadł gdzieś, czort wie gdzie.

— A psa? — byłem wyczulony na niespodziewane psie ataki.

— Psa to ja mam, śpi zaraza pod stołem. Pasożyt jeden — pogroził zaciśniętą pięścią w kierunku, z którego przyszedł. — Darmozjad!

Zdaje się, że mogłem odejść bez obaw, że jakiś kundel dobierze mi się do spodni. Pożegnałem się pospiesznie

241

i zastanawiając się, czy jeszcze mam czas, pobiegłem do miasta.

Zegar na wieży kościoła Świętego Dominika właśnie bił osiemnastą, kiedy do Jamy wpadł Jacek Plomba z miną tyleż ponurą co tajemniczą.

— Widzę, że kłódka działa? — stwierdził, ciężko dysząc.

— Co ma nie działać? — Kostek zasłonił sobą leżący na stole komputerowy wydruk. — Nie siądziesz?

— Ty nie siedzisz, to i ja nie muszę — Plomba uśmiechnął się nieszczerze. — Co tam chowasz?

— Aaa... nic.

— Jak nic, to pokaż, przyjacielu.

— Ja ci pokażę, synu, a ty mnie załatwisz?

— Nie rozumiem, o czym mówisz — spłoszył się Jacek. — Ostatnio jakoś...

— No dobrze — Ptak spochmurniał. — I tak dłużej tego nie wytrzymam.

Sięgnął po wydruk i machnął nim Plombie przed oczami.

— Co tak machasz, gorąco ci?

— Tobie się robi gorąco. Wiem wystarczająco dużo.

— O czym?

— O tym, że otrułeś Cyne jakimś barbituranem, bandyto! W oczach Jacka Plomby zamigotał strach.

Rozdział 26.

Finita la commedia

Musiało być późno, bo jedyny kiosk, jaki znalazłem, był już zamknięty. Przy okienku wisiała kolorowa tabliczka, informująca, że czynne od 6.00 do 18.00, w niedziele nieczynne.

Dzisiaj poniedziałek, czyli minęła osiemnasta, jest czas nauki własnej i Rudy mnie usmaży. Albo i

nie usmaży, gdy mu powiem, że policja go szuka. Ucieknij w podskokach. Powyższe rozważania świadczyły, jak marnie się znałem na bandyckiej psychice.

Podszedłem kawałek dalej i zobaczyłem budkę telefoniczną. Znajdowała się zaraz za bramą parku, imieniem Bolka i Lolka, obok gipsowych figurek wyżej wymienionych, przedpotopowych urwisów. Obaj byli jednakowo po-obtłukiwani i ozdobieni artystycznie przez tutejszą młodzież. Na czole uśmiechniętego Bolka wypisano markerem „Manfred to głomp”, sprayem domalowano sumiaste wąsy, zaś Lolka ktoś ubrał w dziurawy zielony podkoszulek, a na głowę nasadził mocno wypłowiałą czapkę świętego Mikołaja.

W budce stała zajęta rozmową średniego wieku blondynka w niebieskiej garsonce, postanowiłem więc zaczekać. Może odsprzeda mi kartę?

243

Czas mijał, a ja dreptałem wokół budki, przyglądając si leniwie spacerującym przechodniom, rzucając żołądziami w Bolka i Lolka, tudzież rysując patykami wzory na pia. sku. Wreszcie wynudzony do granic postukałem delikatnie w szybę.

— Przepraszam bardzo, pani jeszcze długo?

Kobieta, nie przerywając rozmowy, dała znak, żebym odszedł. Odszedłem, ale wróciłem zaraz.

— Przepraszam bardzo, czy gdzieś jest inna budka? Drzwi uchyliły się nieco.

— ... musisz cały czas ucierać, bo się zwarzy... poczekaj ... o co chodzi? Pali się?

— Bo ja — zrobiłem strapioną minę — koniecznie przedzwonić muszę i ten...

— To sobie dzwoń... to nie do ciebie, kochanie... no i potem ostrożnie wlewasz olej, najlepiej...

Drzwi zamknęły się, nie usłyszałem więc dalszego ciągu. Potraktowała mnie podobnie jak kierownik. „To sobie dzwoń”, ciekawe czym? Postukałem w szybę.

— ... jaja nie mogą być za świeże, powinnaś... poczekaj... czy ciebie coś opętało? To nie do ciebie, kochanie. Stukasz i stukasz, zajęcia nie masz? Do nauki byś się wziął, ot co!

— W pierwszy dzień nigdy nie zadają — tłumaczyłem — a przedzwonić muszę, sprawa życia i śmierci. Żeby tak skisł, jeśli kłamie! — walnąłem się w pierś.

— Przedzwonić? Na porządne ubranie cię nie stać, a na telefon masz? — oburzyła się. — Może kradniesz?

Zupełnie zapomniałem, że mam rozdartą koszulę.

— To wypadek, proszę pani — załkałem, chcąc wzbudzić litość. — Ja tylko...

— No dobrze — warknęła — mądry głupiemu ustępuj e. To nie do ciebie, kochanie — uspokoiła rozmówczynię. — Mam natręta po prostu. Tak, obdartus jakiś się przyplątał. Mhm, zadzwonię z domowego, całuski! — cmoknęła do słuchawki, z trzaskiem ją odwiesiła i wyszła, patrząc na mnie jak na karalucha. — Twoje szczęście — powiedziała przez zaciśnięte zęby — że straż miejska się nie nawinęła. Zaraz zrobiliby z tobą porządek.

— To prawda, moje szczęście — mruknąłem, patrząc, jak

245

odchodzi z torebką przyciśniętą do boku. — Ale karty to mi pani nie sprzeda, co nie? — szepnąłem zawiedziony.

Wlokłem się w stronę internatu, kiedy dotarło do mnie, że nie pamiętam bardzo ważnej rzeczy Czy ona zabrała swoją kartę? Jakoś nie kojarzę, uśmiechnąłem się chytrze. Serce zabiło szybciej.

Plastuś patrzył na wychowawcę z rosnącym uznaniem. Z uwielbieniem, rzecz można. Ten facet miał nerwy ze stali. Mielony wsiąkł na amen, a gościu nawet się nie zmarszczył, nie okazał żadnych uczuć. Plastuś też trenował nieokazywa-nie uczuć, ale na razie szło mu tak sobie.

— I do tej pory go nie ma, tak? — upewniał się pan Witek.

— Nie ma — zachichotał Walerek.

— Nawet obiadu nie zjadł — dodał Plastuś. — Gwoździu miał dyżur na okienku i zamknął mu przed nosem. Cynie zamknął, znaczy się Mielonemu. Sorry, ciągle mi się myli — zarumienił się. Muszę więcej trenować, zbeształ się w myślach za ten rumieniec.

Wychowawca nie krył zadowolenia. Gdyby tak jeszcze pozbyć się Gniteckiego, mógłby tu przegarować jakiś czas, na przykład do wiosny. Może psy przestaną go szukać? A jak się uda przy okazji złoto z Edim wyniuchać, to Amerykance coś tam pewnie odpałą i się człowiek urządzi po

ludzku.

— Będzie ukarany — powiedział z kamienną twarzą. — Surowo.

Plastuś z Walerkiem zatarli dłonie z uciechy. Nic tak człowieka nie raduje, jak surowo ukarany cwaniak.

246

Rudziawka zostawił chłopaków w przeświadczeniu o swojej twardości, choć wewnątrz czuł niepokój. Na korytarzu czekał Edi.

— Ja myślę, Kaszana, że upewnić się trzeba.

— O czym ty mówisz?

— Posprzątać mówię, ślady pozacierać, you know¹⁴⁷.

— Know, pewnie że know — odpowiedział Rudziawka, kombinując w myślach, jak położyć rękę na całym złocie. Ale do tego trzeba by załatwić nie tylko wścibskiego Gabrysia, ale i Ediego Kieroła. Wnuka szefa na całe Chicago. Poczł dreszcze. Mafia mi nie daruje, lepiej o tym nie myśleć. Ale jak nie myśleć, kurza twarz, o ponad połowie dużej bańki?

— Czy ciebie przypadkiem samochód nie potracił? — zdołał wykrztusić Plomba. Robiło mu się to zimno, to gorąco na przemian. Całą wcześniej przygotowaną mowę diabli wzięli. — JA otrułem Cynę?

— Barbituranem — spokojnie dodał Kostek. W kieszeni miał pożyczony od kumpla policyjny paralizator i był gotów go użyć. W drugiej trzymał telefon. — A dokładniej — sięgnął po wydruk

— Cy cło... bar...

— Cyclobarbitalem?

— I to nowej generacji — zagrział Ptak. — Zmodyfikowanym ES 300025!

24 You know⁷. — (ang.) wiesz?

25 Cyclobarbitał — lek na bazie kwasu barbiturowego bardzo silnie działający na centralny układ nerwowy, m.in. wywołując długotrwałe halucynacje. Wymieniony Cyclobarbitał ES 3000 nie istnieje.

247

- Na amerykańskiej licencji, tak? — Jacek rozłożył ręce w pokojowym geście. — Zdaje się, że obaj wiemy dostatecznie dużo.

Podszedł bliżej.

— To ja coś ci powiem, Kostuś, w takim razie — wyszczerzył zęby — Idzie o to, bracie...

Ptak włożył rękę do kieszeni.

— Tak?

— ... że jeśli złodziej chce od siebie odwrócić uwagę, to wiesz, co krzyczy?

— Nie mam pojęcia — drżące palce dotknęły paralizatora. Dlaczego do tego doszło?

— Łapaj złodzieja, krzyczy — Plomba czuł pot płynący po plecach. — I TY właśnie to zrobiłeś, prawda?

— Niby co? Przecież nie krzyczę... — wibrujący dźwięk dzwonka przyprawił go o bezdech. Przez krótką chwilę był pewien, że uruchomił paralizator. We własnej kieszeni. Wolną ręką otarł czoło, powoli wypuszczając powietrze.

— Kieszeń ci dzwoni — zauważył Plomba. Stał już bardzo blisko. Niebezpiecznie blisko, rzec by można.

— Dzwoni to dzwoni — Kostek wzruszył ramionami. — A tobie nigdy nie dzwoni?

— Może odbierzesz?

Ptak wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz.

— Numer nieznanym, pewnie pomyłka — wyłączył brzęczący nastrojową melodią aparacik. Palec na paralizatorze odnalazł spust.

248

Odłożyłem słuchawkę mocno zawiedziony. Kostek nie odbierał i to było podejrzane. Schowałem zdobyczną kartę, na której było jeszcze sporo impulsów do wykorzystania. Może jutro będę miał więcej szczęścia?

Ta myśl niosła w sobie sporo optymizmu, zupełnie niezrozumiałego. Słońce powoli zniżało się ku

horyzontowi, więc musiało być koło siódmej. Moje zniknięcie przekroczyło granice przyzwoitości i zaczęło wyglądać na ucieczkę.

Słowo ucieczka skojarzyło mi się z Omszałym, pomyślałem więc o zagadkowym rysunku. Gdzieś już widziałem coś podobnego. Tylko gdzie?

Instynkt kazał mi się zatrzymać i spojrzeć przed siebie. Pod bramą gimnazjum stała kremowa Skoda Felicia z otwartymi drzwiami, przy samochodzie zaś dwóch facetów i młoda dziewczyna sprzeczali się, mocno gestykułując. Przyłgnałem do słupa energetycznego. Rozgrzany beton pachniał kurzem i psim moczem. Właściwie dlaczego się ukrywam? Dziewczyna jest podobna do mojej Ani, stwierdziłem, czując gwałtowny ucisk w piersiach. Tyle że Ania w Trombolinie za chłopakami się teraz rozgląda. Ta myśl wywoływała mdłości. Ci faceci też jakby znajomi. Zachodzące słońce świeciło w oczy, przyłożyłem więc dłoń do czoła, próbując rozpoznać, kim są. Jeden mniejszy, drugi większy, rudawy. Ten rudy to całkiem jak pan Witek, a drugi...

Coś się zmieniło, bo nagle jeden z mężczyzn wpełchnął dziewczynę do samochodu, siadł obok, drugi wskoczył za kierownicę i odjechali z piskiem opon. Ojciec mi nie pozwala tak ruszać, niestety.

249

Doszedłem do furtki, walcząc ze strachem i wymyślając najróżniejsze wytłumaczenia. Na przykład, że musiałem wyjść, bo zobaczyłem staruszkę przechodzącą przez jezdnię i chciałem jej pomóc.

Albo że pani Zenia zemdląca i musiałem biec po pogotowie, a wiadomo, ile się na pogotowie czeka. Albo że wkuwałem na pamięć regulamin internatu, siedząc na ławce, i zasnąłem. Albo...

Nikt mnie nie przywitał, jak się okazało. Pani Zenia na mój widok pomachała zeszytem córki, więc przyspieszyłem kroku. Chłopaki jadły kolację, czułem smażoną kaszankę. Zajrzałem do stołówki. Faktycznie kaszanka z cebulką, w domu nie przepadałem za nią, ale ta tutaj pachniała niebem.

Widocznie mają inny przepis.

Wapniak z ponurą miną omiółł mnie wzrokiem, szybko wracając do jedzenia. Uradowany bezkarnością pobiegłem do pokoju po bloczek, otworzyłem szafę i przetarłem oczy. Bloczków nie było.

Jeżeli ich nie znajdę, myślałem gorączkowo, przeszukując rzeczy, czeka mnie śmierć głodowa. Po pięciu minutach bezskutecznych poszukiwań postanowiłem pójść zebrać o jedzenie. Przebrałem się, przygładziłem dłonią włosy i wyszedłem. Honor ustąpił przed głodem.

Jacek nie czekał dłużej, pora zakończyć przedstawienie.

— Finita la commedia²⁶— powiedział, kręcąc głową z niedowierzaniem. Jak mógł się tak pomylić w ocenie człowieka?

— Co ty bredzisz?

²⁶Finita la commedia — (wł.) koniec komedii.

250

— Koniec komedii — Plomba doskoczył do Kostka z zaciśniętymi pięściami. - Dostyc tej zabawy, oszuście. Tak się składa, że w tajemnicy przed tobą...

Dalsze słowa ugrzęzły mu w gardle. Z niedowierzaniem popatrzył na przeskakujące mu po brzuchu wyładowania elektryczne.

— A więc... to tak? — jęknął.

— Ano tak — Kostek ponownie nacisnął spust. Tym razem przytrzymał dłużej. - Teraz się tobą zajmą, synu - wycedził, trzęsąc się ze złości.

Plomba stracił przytomność i upadł na podłogę. Niedawny kompan przeciągnął bezwładne ciało na kawałek leżącej pod oknem wykładziny, po czym przetrząsnął kieszenie leżącego. Legitymacja w plastikowej oprawie, klucze, pół paczki słonecznika, telefon.

— Masz nie przeczytaną wiadomość — mruknął Ptak. — Od pana Krzywki. Ciekawe...

Dobry z Ciebie przyjaciel, Jacku, Czy Kostek Ptak wie? Powiadom go jak najszybciej o moim odkryciu. Ja jutro opowiem dyrektorowi, niech dzwoni, gdzie trzeba. Narkotyki to sprawa kryminalna. Sami nic nie kombinujcie. T.K.

— Dobry przyjaciel? — Kostek podniósł brwi. — Przecież dobry przyjaciel to ja.

Rozdział 27.

Grunt to kulturka

Zobaczyłem Plastusia i Walerka wylizujących talerze po kaszance. Przed nimi stała jeszcze jedna porcja do podziału. MOJA porcja najwyraźniej.

— Smacznego — warknąłem, nachyliwszy się nad nimi.

— Dziękuję — odruchowo odpowiedział Walerek.

— Mielony? A ty skąd? — Plastuś omal się nie zakrztusił chlebem. — Myśleliśmy, że uciekłeś do Trombolina.

— To źle myśleliście — odsunąłem krzesło i usiadłem przy stole. — Dobra kaszanka?

— Pyszna.

— Niedobra i śmierdząca — Plastuś wszedł w słowo Walerkowi. — Smakuje jak mysie bobki. Nie jadłbyś.

Bystry z niego chłopiec, muszę przyznać. Nie chciałem awantur, więc uśmiechnąłem się dobrotliwie.

— Widzisz, bracie, są ludzie, którzy, jak trzeba, wody z kałuży popiją i mysim bobkiem zakąszą — sięgnąłem po talerz, po czym wstałem powoli.

— No, może i tak — Plastuś odprowadził kaszankę tęsknym spojrzeniem.

Wyciągnąłem rękę, niecierpliwie przebierając palcami.

253

Walerek pospiesznie podał mi dwie kromki chleba. Wziąłem chleb i pokręciłem głową.

— Błoczki.

— Aaa, błoczki — rozpromienił się Plastuś. — Właśnie ci ich pilnowaliśmy

— Żeby nie przepadły — dodał Walerek.

— Bomy cię, Mielony...

— Cyna, bo my cię, Cyna — podpowiedział Walerek.

— Bo my cię, Cyna, strasznie szanujemy — Plastuś niemalże się uklonił, oddając błoczki. — No tak cię szanujemy, że...

— Że hej! — podsunął Walerek.

— No to dzięki. — Klepnąłem jednego z drugim w plecy, aż zadudniło i odszedłem znaleźć inne miejsce.

Manik na mój widok podskoczył i zbladł, jakby zobaczył ducha. Nie dziwię mu się. Wybałuszyłem po trupiemu oczy i wyszczerzyłem zęby, niech wszyscy mają trochę zabawy.

— Co się tak szczerzysz? Dosiądziesz się? — Gnida mrugnął porozumiewawczo. Chyba nie wiedział o poczynaniach Patryka.

— Przecież miejsca nie ma.

— Znajdzie się, Leszczu właśnie wychodzi. Prawda, Leszczu?

— Słucham? — zdumiał się Leszczyński. — Ja jem, nie widać?

— A może Manik już zjadł? — zainteresowałem się niewinnie.

254

Unikający mego spojrzenia Manik milcząco zaprzeczył. Jego stopy poruszały się nerwowo.

— Jak widzisz, Cyna — kaszlnął Guzek, smarując chleb masłem — faktycznie nie ma miejsc.

Obrzydliwe to masło, same grudy. Margaryny nie mieli?

— To bardzo smutne — zachichotałem. — Idę dalej, taka dola rzeźnika — łypnąłem z ukosa na Patryka. Drżał.

— Rzeźnika? — mlasnął Gnida.

— Wędrowca, chciałem powiedzieć.

— A pamiętasz o tym, co wiesz? — Gabryś pociągnął mnie za rękaw.

— Pamiętam, będę.

Podszedłem do samotnie siedzącego Olka Zielonki. Skończył jedzenie i robił sobie kanapki na później, choć to zakazane. Niezły z niego kozak. Łamie przepis za przepisem i nie krępuje się za bardzo.

— Hej, Olek — zawołałem wesoło, z trzaskiem stawiając talerz wystygłej kaszanki na stole. — Suń się!

Nóż Zielonki z nieprzyjemnym piskiem przejechał po ceramicznej powierzchni. Grudka masła upadła na spodnie. Podniósł głowę.

— Udało ci się? — wyszeptał z mieszaniną ulgi i niedowierzania. — Ale jak?

— Co jak? Nie wiem, o co ci chodzi — oderwałem skórę od kromki. — Co mi się miało udać, wyjście?

Zatrzepotał rzęsami.

— Wyjście i w ogóle, w rzeźni...

255

- Skąd wiesz o rzeźni? — znieruchomiałem. — Nie mówiłem ci, że pójdę do rzeźni, sam nie wiedziałem.

Zielonka poczerwieniał, po czym nie przerywając smarowania, powiedział zmienionym głosem:

— Nie będę kłamał, bo jesteś kumplem...

— Zaraz się okaże — syknąłem pełen złych przeczuć. Apetyt na kaszanke minął.

— Chciałbym, żebyś był — zerknął na mnie i szybko uciekł spojrzeniem. — Na kłamstwie przyjaźni się nie buduje — bąknął. Nóż, choć bez masła, wciąż ślizgał się po chlebie. — W domu mi mówili...

Nachyliłem się do niego.

— Zielonka, przestań kręcić i gadaj jak człowiek! Szmer rozmów dookoła jakby przycichł nieco.

Olek pokręcił głową.

— Wszyscy nadstawiają ucha. Internat, sam rozumiesz...

— No i? — pytanie zadałem najciszej, jak umiałem.

— Rudy mnie szantażował — podniósł głowę, jakby te trzy słowa wyzwoliły go nagle. Odetchnął.

— Musiałem cię sprzedać, Cyna.

Jakiś rok temu bym się rozzłościł. Teraz tylko wzruszyłem ramionami.

— Nie ty pierwszy i nie ostatni — podłubałem widelcem w kaszance. — Przyzwyczaiłem się. Jak cię chwycił?

— Kto, Rudy?

— Mhm — przełknąłem pierwszą porcję. Wciąż była niezła, choć zimna i z wyraźnym posmakiem oleju.

256

Zielonka rozejrzał się, sprawdzając, czy nie jesteśmy podsłuchiwani. Byliśmy, a jakże. O krok od nas niejaki Żelu udawał, że zawiązuje sznurowadło. Cienki kamuflaż, bo był w klapkach kąpielowych.

Rzuciłem w niego kulka z chleba, więc zmył się bez słowa. Odprowadziliśmy go pogardliwymi spojrzeniami.

— Kiedy zostałem Omem...

— Omem? — spojrzałem zaskoczony Pokiwał głową.

— Kiedy zostałem Obrońcą Młodych, chłopaki od Gabrysia donieśli Rudemu, że ktoś notorycznie łamie regulamin, kradnie i tak dalej. I że każe się nazywać OM-em — Olek mówił cicho. — Sami robili prowokacje, wypisywali głupoty na ścianach, żeby było na mnie.

— Jakie głupoty? — zainteresowałem się, pałaszując kaszanke. Stołówka zaczęła się wyludniać.

— Na przykład „Mówi OM Rudy na złom” albo jeszcze ciekawsze — dodał, widząc moje rozbawienie — „OM i Rudy idą środkiem, naparzają wszystkich młotkiem”. I żeby to jeszcze poezja była — westchnął rozgoryczony — a to przedszkolne rymowanki, bracie. Doszło do tego, że kupiłem rozpuszczalnik i ścierałem, co mogłem. W końcu Rudy mnie nakrył...

— Dziewiętnasta pięć, koniec kolacji! — wydarł się dyżurny znienacka. — Wyjazd do pokojów, panowie!

Stołówka opustoszała, podnieśliśmy się więc czym prędzej. Ja, idąc, dokończyłem jedzenie, zaraz potem ustawiliśmy swoje talerze na środku wielkiej piramidy, niech się kuchciki napocą nad jej rozparcelowaniem. Naszła mnie pewna myśl.

257

— Nie wiesz, czy tak zwany Gwoździu dzisiaj dyżuruje na kolacji?

— Na obiedzie był, to i na kolacji musi. Na kuchni dyżur jest cały dzień — Zielonka zwolnił, by przepuścić mnie przodem.

— To zaczekaj przed stołówką, dobra? Mam dług wobec Gwoździa, sprawa honorowa. Zdziwił się, ale powiedział, że zaczeka, i wyszedł.

Miałem niewiele czasu. Kuchcik się zaraz pojawi, zacznie sprzątać i wtedy będzie za późno.

Chwyciłem jeden z ustawionych na spodzie talerzy i delikatnie go pociągnąłem. Piramida drgnęła.

Zacisnąwszy zęby, powtórzyłem operację z dwoma innymi. Zachrząściło.

Na wszelki wypadek naruszyłem chwiejną konstrukcję jeszcze w połowie wysokości. Wstrzymałem oddech. Teraz wystarczy mocniejszy powiew wiatru i po zawodach.

— Kto talerzami wojuje — mruknąłem — od talerzy ginie, panie kuchcik.

Delikatnie otworzyłem drzwi i uważając, by nie trzasnęły, wysliznąłem się do holu. Olek Zielonka stał pod agawą w donicy, ze smętną miną kontemplując podeschnięte końcówki mięsistych liści.

— Zaraz muszę iść — powiedziałem na wstępie. — Ale chcę poznać prawdę.

— Prawda jest taka, że mam chorą matkę — przełknął ślinę. — Chciałem pojechać do Zielonej Góry do szpitala, a ta świnia dołożyła mi kupę karniaków za podobno brudny korytarz na moim dyżurze.

258

— Świnia, czyli Rudziawka?

— Właśnie. Powiedział też, że pisanie po ścianach to niszczenie mienia i przez to nie wyjdę do końca roku szkolnego — Zielonka mówił coraz szybciej. — Błagałem o litość, ale tylko mnie wyśmiał.

— Mogłeś iść do kierownika.

— Jasne, że byłem — Olek uśmiechnął się smutno. — Regulamin — rzecz święta, powiedział.

Matka, nie matka, robaczku. Nagle dziś rano Rudy przyszedł i powiedział: przysługa za przysługę. Sprowokuj Racyniaka, żeby wszedł do rzeźni, a ja cię puszcze do mamy.

— Powiedział, po co to robi?

— Gadał coś, że jesteś niebezpiecznym typkiem, że to cię nauczy szacunku i tak dalej. Ale ja podsłuchałem, jak mówił do pana Ediego, że Manik pójdzie i będzie czekać na ciebie w rzeźni, choćby cały dzień. I że o jednego mniej. No to zarabiałem z pracowni flagę Japonii, pobiegłem, gdzie trzeba, a reszta...

Rozległ się okropny rumor i brzęk tłuczonych talerzy, a zaraz potem histeryczny wrzask:

— Matko Boska, Kierol mnie zabije! Zielonka popatrzył na mnie.

— To ze stołówki, głos jakby Gwoździa — w jego spojrzeniu pojawiła się podejrzliwość. — Czy ty może... masz z tym coś wspólnego?

— No coś ty? — parsknąłem oburzony. — Przecież ledwie go znam. Która jest? — zainteresowałem się nagle.

— Dwanaście po siódmej, a co?

259

— A nico. Umówiłem się — pstryknąłem go delikatnie w ucho. — To za rzeźnię, trzymaj się, stary. Pomknąłem do łazienki.

Ból odszedł, pozwalając powrócić świadomości. Poczul, jak piekące krople wdzierają się pod powieki. Otworzył je, po czym spróbował odpędzić sprzed twarzy rozmazaną plamę. Miał wrażenie olbrzymiego wysiłku, w rzeczywistości tylko machnął bezładnie rękoma, szybko opadając z sił.

— W mordę jeża nietoperza, synu — powiedziała plama zniekształconym głosem. — Dobrze, że żyjesz, Plomba, bo już myślałem...

Jacek zmrużył powieki. Galaretowata plama przybrała kształt twarzy

— Co jest... Ptaku? — wybełkotał z trudem. — Dlaczego... polewasz mnie... mineralką?

— Bo ty chyba nie zdradziłeś — Kostek poczerwieniał. — Tak teraz myślę. Wyglupiłem się z tym paralizatorem.

Plomba usiadł, stękając niczym staruszek. Piekła go skóra na brzuchu.

— O czym ty gadasz? Ja miałem zdradzić? Prędzej ty. Wszystkie poszlaki wskazywały na ciebie

— objął dłońmi gorące czoło. — Skąd w ogóle miałeś paralizator?

— Ogóras mi dał. Pożyczył raczej. Ale...
— Ale skoro nie ja i nie ty, to kto? Ktoś załomotał do drzwi.
— Pewnie przyszedł pan Krzywka, powiedziałem mu, gdzie będę — stęknął Plomba uspokajająco.
— Chyba że tak — kiwnął głową Kostek. — Otwarte! Drzwi otworzyły się rażno i do Jamy wkroczyło dwóch ponurych kolesi. Piotrek Ślipek, zwany Bykiem i Szczęsny Hulewicz, czyli Skunks.
— Grunt to kulturka, co nie, Szczesiu? — uśmiechnął się Piotrek. — Puk, puk, otwarte — zachichotał.
— Czego chcecie? — zdumiał się Kostek. — I skąd wiedzieliście, gdzie nas znaleźć?
— Szef wszystko wie, nam to starczy — chłopaki p» nadal stały przy drzwiach.
— Jaki znowuż szef?
— Właśnie taki — Ślipek otworzył drzwi.

261

Na progu stała uśmiechnięta przyjacielsko postać. Plomba wstał, niedowierzając własnym oczom.
— To ty? A niech mnie — oblizał spieczone wargi i popatrzył na Kostka.
Kostek bezradnie rozłożył ręce.

Rozdział 28.

Taka jedna fajna dziuńka

— Punktualny to ty nie jesteś, Cyna — skomentował Gnida, otwierając drzwi łazienki. Musiał się kręcić w pobliżu, bo nim zdążyłem dobrze zastukać, już był. Na głowie miał czapkę z gazety, a w ubranej w gumową rękawicę dłoni trzymał drucianą szczotkę do szorowania klozetu.

— Cieszę się, że w ogóle jestem. Wyglądasz jak kiblowy król — pochwaliłem.

— Nie zazdrość, ciebie też to czeka.

Rozejrzałem się. Wszystkie kabiny były otwarte, w powietrzu unosił się zapach środka dezynfekującego.

— Zamykasz się? — zapytałem, widząc, jak przekręca klucz w zamku.

— Rudziawka kazał — pokręcił głową. — Podobno nowe zarządzenie kierownika. Żeby się nie kręcili i nie przeszkadzali w pracy.

— A jak się komuś zachce?

— To niech się nie zachciewa. Pomożesz mi? Ja zrobię muszle, a ty umywalki. Będzie szybciej.

Roześmiałem się.

— Zapominasz, stary, że nie jesteśmy kumplami. Chciałeś, żebym przyszedł, to jestem.

263

- Zapytać nie zaszkodzi. Dopiero zacząłem, bo Manik się tu zabunkrował i stałem na korytarzu. Mówi, że Rudy dał mu klucz. I rób porządek, jak byle komu klucze dają.

Odłożył szczotkę i podszedł do okna. Na parapecie leżała moja gazeta „Praca Detektywa”, wymiętoszona i z oderwaną okładką.

— Oddaję, co nie moje — mruknął.

Pobieżnie przekartkowałem i wzruszyłem ramionami.

— O co ci właściwie chodzi?

— Chodzi mi o złoto, mówiłem już. Dziś w nocy ruszamy na poszukiwania.

— My?

— No ja i Klan. Z wyjątkiem Manika, bo zrobił się jakiś nienormalny. Bredzi, że sprawiedliwość musi być. Ale jaka? Tego nie precyzuje. Powiedziałem mu, że koniec z wariactwem i skreśliłem gościa.

— Wyrzuciłeś go z Klanu?

— Można to tak nazwać. Idziesz z nami? — Zza drzwi kabiny wy dostał wystrzępioną gąbkę oraz płyn do czyszczenia zabrudzeń „Pucmix”. — Pucuje w mig! — odczytał. — Zobaczymy.

— Nie lubię się szwendać po nocach — wszedłem za nim do umywalni. Kible już skończył, pozorant jeden.

— Dostaniesz mapę okolicy, konserwę i dwie bułki — zachęcił. — Dodatkowa kolacja to nie w kij

dmuchał. A złotem się podzielimy. Chyba że... — spojrzał na mnie przenikliwie.

— Chyba że?

— Chyba że coś kombinujesz na boku, co?

— Na przykład?

— Na przykład już wiesz, gdzie ono jest i sam bierzesz wszystko — oparł się o umywalkę.

— To zwycięzca bierze wszystko, Gabrys — siadłem na parapecie. — A ja z nikim nie rywalizuję. Mam w nosie złoto Burego, Klan i tę głupią zabawę. Chcę stąd wyjść, bo jestem niewinny.

— Tu w ogóle nie ma winnych, kolego. Same niewiniątka — Gnida spryskał „Pucmiksem” wewnątrz umywalki, a potem przetarł je gąbką. — To co, jesteś zainteresowany?

— Niestety nie.

265

— Szkoda, bo bym ci powiedział, kim jest pan Witek tak naprawdę.

— Tak naprawdę jest poszukiwanym przez policję przestępcą — wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

Gnidę zatkało na moment.

— Czyli że widziałeś to co ja, tak? Te lewe paszporty, pistolet i zdjęcie trupa?

Teraz mnie zatkało dla odmiany

Pomagając sobie kolanem, przesunęła opaskę na czoło. Była w obcym, zabałaganionym mieszkaniu. Siedziała w kącie na drewnianej, zniszczonej podłodze. Od brudnych ścian odłaziła wilgotna tapeta. Pachniało pleśnią i grzybem. Zasłonięte pożółkłą firanką okno upstrzone było owadziemi odchodami. Na parapecie ceramiczna doniczka z zasuszonym kikutem jakiejś rośliny. Wszędzie pajęczyny i kurz. Żadnych mebli. Żadnych kwiatów. Umrę w brudzie, pomyślała.

Na zewnątrz zapadał mrok, jeszcze godzina i przestanie cokolwiek widzieć. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ją porwano. Dla okupu? Skąd rodzice mają wziąć na okup? A może przez... Janka? W co on się wdał? Wróciła myślami do tamtej chwili.

Szła szybko, pełna radosnego uniesienia. W Potemkowi-cach nie sposób zabłądzić, a chętnych do pokazania drogi i odprowadzania na pęczki. Zwłaszcza chłopaków.

— Dziękuję, sama trafię — splawiła jednego z drugim. Grzecznie i stanowczo. Biegła.

266

Biedny Janek, gdzie on trafił? Nie podobał się jej ten internat, budził złe emocje. W plecaku miała prezent. Ten sam, który szykowała na drogę, albumik ze zdjęciami. I coś jeszcze. Coś bardzo osobistego. Wyznanie.

Pierwsze niedobre przeczucie przyszło w budynku. Dziwna portierka, niczym wiedźma. Mogłaby dorabiać po godzinach jako przewodniczka po piekle. I Gabrys Gnitecki, zdumiony jej widokiem.

— Widziałeś Janka?

— Cyne? A co, stęskniłaś się?

Głupi by się domyślił, że się stęskniła. Gabrys był z Klanu, to jeden z bandziorów, nie wolno mu wierzyć. Mimo to zapytała:

— Wiesz gdzie jest?

Powiedział, że nie wie i odszedł, kręcąc głową. Nikt nie wiedział. Drugie niedobre przeczucie targnęło nią niespodziewanie. Pod furką natknęła się na mężczyzn przy samochodzie. Początkowo byli bardzo mili i uprzejmi. Zapytali, kogo odwiedzała. A potem...

Otarła łzy o kolana. Związane z tyłu ręce zaczynały drętwieć, dzięki czemu przestały ją boleć.

Gorzej było z kostkami. Ten żyłasty, brzydki, mały facet mocno zacisnął sznur. I wyraźnie miał wprawę. A rudzielec był nie lepszy kłął bez umiaru i groził, że obetnie jej język, jeżeli znów zacznie się wydzierać. Na wszelki wypadek zakleił usta ohydną taśmą samoprzylepną. Jak nic, dostanę podrażnień, chlipnęła. Pewnie mama odchodzi od zmysłów Zadrzała targana wyrzutami sumienia.

267

Wielki pająk, czarny z kilkoma
biało-żółtymi plamkami na grzbiecie
ześliznął się ze ściany na podłogę
i ruszył w jej kierunku. Nagle

odkryła u siebie arachnofobie²⁷.

Zacisnęła powieki.

Gnida pojął w końcu, że mnie nie skaperuje.

— Nie to nie — skrzywił się rozczarowany — Łaski bez. Tylko nie mów później, że ci nie proponowałem. A konserwy palce lizać.

Wyciągnął rękę w stronę kurka i wtedy się na niego rzuciłem.

— TO TAK?! — jęknął, grzmotnąwszy o podłogę. — Tak będziemy pogrywać? Znienacka?

— Zamknij się i popatrz — przełknąłem ślinę, trzymając go w silnym uchwycie.

Odwrócił głowę.

— O kurczę, co to jest? — wyszeptał z poszarzałą twarzą.

— To się nazywa pozdrowienia od Manika — odpowiedziałem, wodząc wzrokiem wzdłuż białego kabla od przedłużacza. Dobrze go, drań, zamaskował.

27 Arachnofobia — chorobliwy lęk przed pajakami.

268

Przymocowany plastrem kabel biegł dyskretnie pod umywalką, zaś obcięta i pozbawiona izolacji końcówka wystawała tuż pod baterią, dokładnie na linii strumienia wody. Wtyczka tkwiła w gniazdku z boku lustra. Wystarczyło odkręcić kurek, by zamknąć obwód. Zgroza.

Wyjąłem wtyczkę. Najpierw portiernia, teraz umywalnia. Jeszcze trochę i przypnę sobie medal Ratownika Roku. Albo ktoś mi przypnie.

— Od Manika? Co ty gadasz? — ocknął się Gnida, masując bark. — Patryk chciał mnie zabić?

— Zabić to za dużo powiedziane — zbagatelizowałem. — Dwieście dwadzieścia woltów by cię tylko nieźle przetrzepało. Chyba że o tym nie wiedział, a mógł, bo to nieuk.

— Ale dlaczego on? — Otrzeptał spodnie gazetową czapką i ponownie ją założył. Szybko dochodził do siebie. Pozazdrościł charakteru.

— Bo to on chciał mnie zmielić w rzeźni — wyjaśniłem, wachlując się „Pracą Detektywa”.

Okropnie się spociłem przez to wszystko. — Opowiem ci przy okazji. Ale bać się możesz już teraz.

Gnida klepnął się w czoło.

— Też ci miałem coś opowiedzieć, Cyna. Szukała cię taka jedna fajna dziuńka. Przed kolacją jeszcze.

— Tak? A konkretnie jaka?

— Sama Anka Piętak, wierna jak wierna rzeka, bracie. Ale wyszła, bo cię nie było.

Gazeta z cichym plaśnięciem upadła na podłogę. Popatrzyłem na nią martwym wzrokiem. Na zawiniętej stronie

269

widniała wielka reklama systemów odgromowych HEFAJSTOS. Wyjaśnienie zagadki miałem przed nosem. Ten sam schemat co na rysunku od Omszałego. Wygląda na to, że wczoraj niemalże deptałem po złocie. Stałem na odgromniku, a pod nim...

Tyle że wszystko stało się nieważne i błahe. Wypełniała mnie jedna rozpaczliwa myśl: ANIA! MOJA ANIA! MOJA ANIA... PORWANA!!!

Slipek i Hulewicz z pogardą spoglądali na zaskoczonych chłopaków. Warto było poczekać, żeby zobaczyć sławne DERKI28 na kolanach. W przenośni oczywiście, bo jakoś na kolana nie padali, tylko mrugali pociesznie.

— Widzę, że paralizator się przydał — Jurek Mętlik zdjął przeciwsłoneczne okulary

Wyprostowany, z wypiętą piersią, porządnie ubrany i czysty. Szef po prostu. — Możesz oddać, jak już nie jest potrzebny

Kostek milczał.

— No? — ponaglił Slipek. — Oddawaj broń.

— Spokojnie — Mętlik machnął ręką. — Odda, nie jest złodziejem. Zapalcie światło, ciemno się robi.

Slipek posłusznie pstryknął przełącznikiem.

— Od kiedy nie śmierdzisz, łobuzie? — zapytał Kostek, nagle odzyskawszy mowę. — Zobaczyłeś reklamę dezodorantu?

28 DERKI — Detektywistyczna Ekipa Radykalnie Konsekwentnych Intelktualistów — tajna organizacja, założona przez Konstantego Ptaka i Jacka Plombę w celu tropienia szkolnych przestępców.

270

— I grzebienia? — dodał Plomba, trąc dłonią podrażnioną skórę. Ciągłe był w szoku, zmienił się jedynie powód.

— Może by ich puknąć? — Slipek zacisnął pięści.

— Obu razem i każdego z osobna — zachrypiał Skunks. Picie coli z lodówki nie jest rozsądne przy takim upale. Podrażnione gardło domagało się natychmiastowego ukojenia.

— Nie ma takiej potrzeby, prawda, chłopcy? — Mętlík błysnął wyszorowanymi zębami. W kremowej marynarce, płóciennych spodniach i jasnych butach mógł się nawet podobać.

Przysunął bujany fotel, rozsiadając się w nim z rozłożonymi nogami. Jak mafiozo niemalże.

— Dużo wiecie, prawda? — zagaił.

— To znaczy, że niby o czym? — Kostek udał głupiego, spoglądając z ukosa na leżący na stole paralizator.

Powiadają, że najciemniej jest pod latarnią i coś musi być na rzeczy, bo Ogóras najwyraźniej paralizatora nie zauważał. Przybocznik również.

— O tym i owym — pokręcił głową. — A w gruncie rzeczy o niczym.

— No, jeśli nafaszerowanie Cyny pirami... dorynolem...

— Czym?

— Cyclobarbitalem — sprostował Plomba.

— No właśnie — Kostek pstryknął palcami. — Jeśli dajesz dobremu kumpłowi narkotyk, po którym dostaje szmergla i omamów, to rzeczywiście nic takiego. Cud, że żyje.

Gdybym się szybko rzucił, może udałoby się go obezwładnić, rozważał. A co z tymi dwoma? Plomba niedysponowany. .. Nie damy rady, psia kostka.

271

Chwilę potem doznał olśnienia i zaraz przeraził się tej myśli. Przełknął ślinę. Jest tylko jedno podejście i jedna szansa. Niewielka, ale zawsze. Trzeba się pospieszyć.

— Czego chcesz od nas? — zapytał, czując, jak pod włosami gromadzą się krople potu. Podniecenie odbierało oddech.

— Obietnicy, synu, męskiej obietnicy

— Synu? Nawet powiedzonko mi zarąbałeś? — oburzył się Ptak, próbując jednocześnie przypomnieć sobie właściwą sekwencję klawiszy.

Palce drżały, a to niczego nie ułatwiało.

Rozdział 29.

Kidnaper z Chicago

Zostawiłem oszołomionego Gnide i wyskoczyłem na korytarz. Biec, gonić, ratować! Ratować!

Ale dokąd biec i kogo gonić? Zatrzymałem się, niezdecydowany Kim byli ci faceci? Za dużo pytań, żadnych konkretów. Zaraz...

Wiedziony okropnym podejrzeniem pospieszyłem do pokoju wychowawców. Właśnie otwierali drzwi.

— Czy była tu dziewczyna? — zacząłem bez wstępów. — Podobno o mnie pytała?

— O — rozjaśnił się pan Edi. — Zdzisiek Żardelko, czyli Janek. Core here, Johnny19 — otworzył ramiona, jakby chciał mnie objąć i uściskać. Cofnąłem się.

Podejrzenie przerodziło się w pewność. Żyłasty Edi miał na nogach ciemne sportowe buty z białawym nalotem przy szwach. Ślady przemoczenia. Znalazł się drugi z nocnych ła-zęgów.

— Wyszedłeś mimo zakazu — burknął pan Witek. — I załatwiłeś się na amen. Umarłeś w butach, Racyniak. Przyszła kryśka na Matyska... — wskazał palcem wewnątrz pokoju, sugerując, bym wszedł.

19Core here, Johnny — (ang.) podejdź, Jasiu.

273

- Znam te powiedzonka, proszę pana — pokręciłem głową. — Znam też różne inne rzeczy. Gdzie ona jest? — Sililem się na spokój, bo słyszałem, że spokój w takich sytuacjach daje pewną szansę. — No proszę — poklepał mnie Edi. — Jaki domyślny chłopak — amerykański akcent gdzieś się ulotnił. Zniżył głos. — Gdzie ona jest, no, no... Ale tutaj nie będziemy rozmawiać, okej? — Wolę tutaj — głos mi się lekko załamał. Zmierzało i Ania gdzieś tam szaleje ze strachu i rozpaczy MOJA ANIA!

— A ja mam gdzieś, co ty wolisz — Rudy ucapił mnie za ramię, przyciągnął do siebie i wbił pod zebro coś twardego. Spojrzałem w dół. Pistolet.

Na moment straciłem poczucie rzeczywistości.

— ... Potrzebuję cię, Cyna — powiedział Jurek. — Przyłącz się do mnie, nie pożałujesz.

— Przecież jestem z tobą.

— Napij się, gorąco dzisiaj. Tak słonecznie — podsunął otwartą puszkę pepsi light.

— Dziwnie smakuje.

— Tylko pierwszy raz — uśmiechnął się Mętlik. — Wypij jeszcze.

Wypiłem. Ciecz była słodka i lepka. Nie gasiła pragnienia.

— Nie chcę już.

— Szkoda, bo mam takiej więcej.

274

Głupio mi jakoś.

A będzie jeszcze głupiej.

Siedziałem na tapczanie. Witold Rudziawka kończył rozmowę telefoniczną.

— ... w bezpiecznym miejscu. Jasne, właśnie się ocknął — popatrzył na mnie z wyraźną ulgą. —

Nie, nikt nie widział. Mhm, wiem, nie miałem pojęcia, że to taka sprawa. Szef ma dziwne metody, ale cóż — otarł czoło. — Tak, żadnych numerów na własną rękę. Na razie — wyłączył aparat.

Spróbowałem wstać, ale mnie powstrzymał.

ΓXIII

— Nawet nie wiesz, kogo my tu mamy, Edi — uśmiechnął się ponuro.

— No kogo?

— Psa tropiciela, jak go szef nazwał — siorbnął z kubka łyk zimnej kawy i otarł wybrudzone fusami usta. — Nasze szczęście, że go Manik nie załatwił.

— Nie rozumiem.

— Bo ty jesteś zwykły kidnaper z Chicago, Edi — uśmiechnął się Rudy z politowaniem. — Dać w łeb, związać, wozić w bagażniku. Tylko to potrafisz.

— Czy ty, Kaszana, za dużo nie gadasz? — zaniepokoił się Amerykanin. Dziwny kraj, żadnej dyskrecji. Skrzywił się, bo w wilgotnych butach otarł stopy i teraz go piekły — Nie boisz się, że nas wsypie?

Rudy poklepał mnie po plecach i roześmiał się chrapliwie.

— Nie wsypiesz nas, prawda? Bo mamy twoją lalunię i zrobimy jej okropną krzywdę, jak będziesz niegrzeczny.

Żarliwie zapewnilem, że nie wsypię. Robiło mi się zimno, czułem mdłości. Niech mnie ktoś uszczypnie, błagałem w myślach. ANIA...

Czas naglił, a po rozmowie z Rudym postanowił zmienić plany. Wiedział, że szczęście bywa kapryśne i karta może się odmienić zupełnie niespodziewanie, lecz teraz trzymał w ręku same asy, właściwie dwa asy i jokera. Sam by tego lepiej nie wymyślił.

— Powiem wam, chłopaki, że nie macie wyjścia — westchnął z udawanym zmęczeniem. — Jeden telefon i Anka

276

wraz z Cyną przejdą do historii. Do historii naszej budy w szczególności. Ten pomysł z pracownią komputerową — zmrużył oko — pierwsza klasa. Zobaczcie, głąby — zwrócił się do wynudzonych Ślipka i Hulewicza — tak wygląda symbol przyjaźni i poświęcenia.

Byku spojrzął na Kostka spode łba. Miał w nosie symbole przyjaźni i poświęcenia. Skunks też nie wykazał się szczególnym zainteresowaniem. Próbował właśnie uwolnić palec wskazujący z uchwytu metalowej tulejki podejrzanej maszynerii.

— Jak to do historii? — zapał Konstanty Ptak. — Zabijecie ich?

— My? — szczerze zdumiał się Mętlik, nie przerywając kołysania w fotelu. — Ależ my mamy ludzi od mokrej roboty, synu.

— Co to za diabelstwo? — wymamrotał zniecierpliwiony Hulewicz. Palec spuchł mu i pulsował nieznośnie.

— To jest nasza „Maszyna do czegoś”³⁰ — odezwał się Plomba z wyraźną satysfakcją.

— Do czego?

— Tego nie wiemy.

— Uwolnij mnie — zażądał Skunks.

— Przecież mówię, że nie wiemy...

— Cisza — zdenerwował się Kostek. Zbyt mało zostało powiedziane. — Nie skończyłeś mówić, Ogóras, prawda? — Położył specjalny, pełen pogardy nacisk na słowo Ogóras.

³⁰ „Maszyna do czegoś” — urządzenie pozostałe w Jamie po poprzednim właścicielu szopy, niejakim Almeniku.

277

Fotel znieruchomiał.

— Nazywam się Jerzy Mętlik, chłoptasiu — huknął oburzony — Cioteczny wnuk Zenona Burego, największego polskiego bandyty z Chicago! Ja tu jestem szefem, a nie żadnym Ogórasem!

— Tu, to znaczy na Alei Konstytucji 26, w drewnianej zielonej szopie z wejściem od podwórza? — zapytał Kostek niewinnie, za to głośno i wyraźnie.

— I TU, ośle, i na całe województwo... — zaczął Ogóras i nagle zamilkł, nabrawszy podejrzeń. — Zrewidowaliście ich? — łypnął na bawiącego się lutownicą Ślipka.

— A mieliśmy?

Mętlik sapnął tylko i pogroził mu pięścią.

— Jeżeli masz włączony telefon, już po tobie, Ptaku — powiedział, wstając. — Po Cynie i Ance nawet ślad nie zostanie, a was dorwę przy najbliższej okazji. Sprawdź im kieszenie, Piotrek.

Kostek zdrętwiał. Nie przewidział, że ktoś, kogo przez dwa lata znał jako niezłego świra, może się okazać całkiem bystrym facetem.

Skunks dalej nie potrafił się uwolnić, więc Byku sam podjął się rewidowania. Zaczął od zrezygnowanego Jacka Plomby, wytrząsnął mu wszystko z kieszeni na podłogę i pokręcił głową.

— Same śmieci, szefie. Notes, klucze, dwa siedemdziesiąt w bilonie. Odrapany telefon Philipsa na kartę, wyłączony

— Widzę, bierz się za Ptaka.

— A mogę te dwa siedemdziesiąt?

278

— Weź — Jurek machnął ręką.

Ślipka wyszczerzył zęby, zgarnął pieniądze i podszedł do Kostka. Ten podniósł ręce do góry i przelknął ślinę. „Rąbnę go w kark — pomyślał — jak tylko coś, rąbnę go w kark. Ależ on ma karczycho, matko jedyna!”

— Też ma telefon — oznajmił spocony od przymusowej gimnastyki Byku. Dawno nie trenował i sflaczał zupełnie. — Nowa Nokia.

— Włączona?

— Nie — mruknął Ślipka. — I nie da się włączyć — dodał zaraz. — Bateria siadła.

Kostek powoli wypuścił powietrze z płuc. Wszystko na nic. Tyle strachu, nerwów i kombinacji, a tu bateria siadła. Zawsze tak jest... Opuścił ręce posmutniały.

— No dobrze — Mętlik umościł się w fotelu. — W takim razie do rzeczy Należy wam się pewne wyjaśnienie — pokazał ręką, żeby usiedli.

Usiedli. Plomba z ulgą, Kostek pełen rozpaczy Nie podobało mu się to wszystko.

— Detektywi z was, synkowie, nie ma co — pochwalił Ogóras na początek. — Rozgryźliście

mnie, choć nie do końca. Szczególnie ty, Kostek, miałeś nosa, muszę przyznać. Te próbki...

— Jakie próbki? — zdziwił się Kostek. — Była tylko jedna, smary z Cynowego nosa.

— Była jeszcze jedna — Plomba uśmiechnął się blado. Wciąż czuł się osłabiony. — Włosy na grzebieniu, dostałem je od małego Racyniaka.

279

— Wtajemniczyłeś Gluta? Coś podobnego!

— Nie wtajemniczałem, po prostu kupiłem za dwie dychy. Inaczej nawet nie chciał słuchać.

— Ej! — Mętlik klepnął dłonią w poręcz fotela. — Ja tu opowiadam czy wy, szczeniaki?

— Dorosły się nam objawił — parsknął Kostek.

— Szef ma ponad siedemnaście lat, tylko wygląd młodzieńczy — poinformował Szczęsny Hulewicz, spluwając na uwięziony w tulei palec. Może puści. — Dorosły człowiek.

— Za to do szkoły miał pod górkę — zakpił Jacek. Slipek skarcił go wzrokiem.

Ogóras wstał i zaczął się przechadzać. Nie rozumiał tej potrzeby wygadania się, była jednak bardzo silna. Zbyt silna, by ją powstrzymać. Dwa lata udawania źle wpłynęły na jego psychikę.

Podejrzał u siebie jakąś chorobę psychiczną. Nie chciał mieć choroby psychicznej. Był wściekły na Konstantego Ptaka i Jacka Plombę za to, że się wtrącali, psuli robotę i odebrali mu Cynę.

Zrobiłby z niego porządnego gangstera. Albo dealera, wszystko jedno.

Nie wiem, dlaczego, ale nabrałem pewności, że moja jutrzejsza wizyta na dywaniku u pani wicedyrektor magister Donaty Kluszkki przez „esz” nie dojdzie do skutku. Może szkoła zapadnie się pod ziemię albo wyląduje UFO, albo bandziory zakopią mnie w lesie? Mogłem się założyć, że nudno nie będzie.

— Powiem ci, na czym polega nasz problem, Racyniak — Rudziawka stanął nade mną. — Świętej pamięci Zenon Bury

280

był bardzo nieufnym człowiekiem. Nie wierzył nawet własnej żonie, o reszcie rodziny nie wspominając — wskazał na Ediego Kierola. Edi jak na zawołanie przybrał wygląd skrzywdzonego kogucika. — Ciągłe powtarzał, że tego majątku w Stanach wystarczy na życie, a złoto w Polsce nikomu szczęścia nie przyniesie. Przekłęte, mówił.

Nie chciało mi się tego słuchać, ale nie miałem wyjścia.

— Opowiedz mu o Włodku Kierolu i Leosiu Koniecznym — podsunął Edi, zapalając papierosa. — Niech wie, jak świat jest poukładany

Witold Rudziawka przecesał palcami włosy. Tracili czas, ale szef kazał udawać szczerą, więc niech będzie. Sześćset patoli piechotę nie chodzi.

— To byli świetni faceci... — zaczął.

Rozległ się łomot do drzwi i do pokoju bezceremonialnie wpakował się Gwóźdź z potłuczonym talerzem w dłoni.

— Panie wychowawco — w głosie czaił się wulkan pretensji. — Tak nie może być, ten oto...

— A tyś co za jeden? — Rudziawka podniósł brew.

— Bartłomiej Gwóźdź, proszę pana, z pańskiego piętra. Pan mnie nie zna? — dyżurny kuchni był wyraźnie zbity

z tropu.

— Chłopie — prychnął wychowawca — jak ja bym miał znać wszystkie gwoździe na piętrze, to by mnie tu konserwatorem zrobili. O co chodzi?

Kuchcik nadał rumiane policzki, podumał chwilę i doszedł do wniosku, że są sprawy ważniejsze niż handryczenie się o nazwisko.

281

- Otóż, jak mi donieśli, ten oto Mielony — wskazał na mnie trzymaną skorupą — złośliwie naruszył piramidę... — powiedział na jednym oddechu, po czym się zapowietrzył. Rudziawka wykorzystał okazję.

— Donoszenie to bardzo paskudny zwyczaj, młotku.

— Jestem Gwóźdź — przypomniał tamten, ponownie się nadymając. — Proszę, oto dowód dywersji — położył rozbity talerz na stole. — Żądam...

— A ja żądam, żebyś opuścił pokój wychowawców i posprzątał korytarz — wychowawca podniósł skorupę.

— Przecież jest czysty — Gwoździu rozłożył ręce. — Posprzątany, ani kawałka śmiećka.

Pan Witek podszedł do drzwi, minął oniemiałego kuchcika i rąbnął talerzem o podłogę. Ceramiczne drobiny rozprysły się po wyfroterowanej podłodze aż pod drzwi łazienki.

— Teraz masz sto kawałków śmiećków, więc do roboty!

Gdyby nie był bandziorem, może bym faceta polubił. Chociaż miny Gwoździa nie zapomnę do końca życia. Zaraz też uprzytomniłem sobie, że koniec życia nie jest aż tak odległy i mimowolny uśmiech zmienił się w grymas przerażenia.

Rozdział 30.

To wszystko zwykła podpucha

Błysnęły uliczne latarnie, od zachodu powiało chłodnym, wilgotnym powietrzem. Firanka w oknie wzduła się, załopo-tała, po czym oklapła smętnie.

Ania odetchnęła. Ciemność potęgowała strach, ale teraz było nieco lepiej. Na tyle lepiej, że przestała szlochać i oprzytomniała nieco. Nie ma sytuacji bez wyjścia, westchnęła, spoglądając na szparę przy podłodze. To tam ostatnio ukrył się ten paskudny pająk, kiedy gwałtownie poruszyła związanymi nogami. A jeżeli wyszedł, gdy zrobiło się ciemno? Lepiej o tym nie myśleć.

Po drugiej stronie ulicy musiał być duży sklep albo kino, widziała dolną część czerwonego neonu. Właściwie tylko fragment, ale wystarczyło. ... EJDO... Ciekawe, jak brzmi całość, przemknęło jej przez głowę. Nieważne.

Znowu dmuchnęło, tym razem mocniej. Okno zaskrzypiało obiecująco, firanka zatrzepotała, a jeszcze bardziej zatrzepotało serce dziewczyny Poczua wiatr na twarzy

Jadowity *Latrodectus mactans tredecimguttatus*n, uciekinier

31 *Latrodectus mactans tredecimguttatus* — inaczej karakurt, silnie jadowity pająk, podgatunek czarnej wdowy, zamieszkujący południową Europę, północną Afrykę i zachodnią Azję. Jego ukąszenie może doprowadzić do śmierci.

284

ze sklepu zoologicznego w sąsiedniej kamienicy, podniósł się na tylnych odnóżach, demonstrując ostrzegawczo czerwoną plamę na brzuchu.

Kolejny podmuch wiatru skłonił go do ucieczki w zaciszną szparę. Irytująca obecność człowieka drażniła wyczulone zmysły. Instynkt kazał walczyć z wrogiem, ale kazał też przetrwać za wszelką cenę. Pająk znieruchomiał. Czekał.

— Plan był świetny — Mętlik mówił swobodnie, rozkoszując się chwilą. — Przygnębiony Cyna to fuksiarz niesamowity poeta wśród detektywów. Wiem, co mówię, obserwowałem go uważnie.

Trochę dobrej chemii — mrugnął porozumiewawczo — małe przedstawienie w Gdańsku, wtyki w kuratorium — zerknął na pociągającego żałośnie nosem Hulewicza ze spuchniętym palcem — i miałem Cynę na talerzu. Ale wy musieliście się władować w to ze swoimi brudnymi racicami...

— Sam masz brudne racice — zaprotestował Plomba, który bardzo dbał o czystość. — I śmierdzisz. Z reguły.

Kostek nie był głupi, wystarczająco długo żył na świecie, by wiedzieć, że zapłacą za wszystko, co tu usłyszą. Zaczął się przesuwac niepostrzeżenie wraz z krzesłem w stronę zapomnianego paralizatora.

Ogóras wydał lekceważąco wargi. Znow bujał się w fotelu.

— Nie interesują mnie twoje opinie, lipny cwaniaczku. Miałeś chęć na władzę w Klanie i nie mów, że nie. Znam się na ludziach. Do głowy ci nie przyszło, że nad Gosią Rosomak stoi ktoś jeszcze?

Ktoś znacznie potężniejszy od tej

285

pustej dziewczuchy? — pokiwał głową. — No właśnie, tak samo kombinuje Gnida w Potemkowicach. Gabryś Samozwaniec, ale i to się skończy

— Co mamy zrobić? — zapytał Kostek. Brakowało mu jeszcze kilkunastu centymetrów, żeby ustawić się w najwygodniejszej pozycji. A potem już tylko podnieść się z krzesła, chwycić paralizator i sterroryzować Mętlika. Zobaczymy, jak tamci kochają swojego bossa.

— Podpiszecie oświadczenia — kiwnął na Szczęsnego, ale ten ze łzami w oczach wskazał na zablokowany palec. Sytuacja zaczynała go przerastać, nie chciał jednak prosić o pomoc przy Plombie i Ptaku. Niech nie myślą, że jest miękki.

— Ja je wezmę — ofiarował się Slipek wynudzony do granic. Jakiś czas temu oparzył się lutownicą, więc siedział z palcem w ustach, patrząc w sufit. Wreszcie zaczynało się coś dziać. Pochylił się nad Hulewiczem i zapytał:

— Pomóc ci? Może ci coś odpiłować?

— Spadaj — syknął tamten umęczonym głosem.

Byku, wzruszywszy ramionami, sięgnął za pazuchę uwięzionego kolegi, do kieszeni rozpinanej bluzy Nike, pospiesznie podając Jurkowi dwie wygniecione kartki formatu A4 z komputerowo napisanym tekstem:

Ja niżej podpisany oświadczam, że dopuściłem się wszelkich czy-nuw na osobie kolegi Racyniaka Jana, od grożenia po narkotyzowanie włoncznie. Pisze to dobro wolnie i bez pszymusu, mocno drenczony sumieniem.

286

Mętlik powiódł wzrokiem po tekście.

— Co to jest? Byk na byku, Byku!

— To nie ja pisałem — bronił się Slipek. — Szczęsny chętnie pisze, bo ma dysortografię i mu wszystko uchodzi.

— Mniejsza z tym — Ogóras podniósł się z fotela. — Podpiszecie i zapominamy o sprawie.

— A Cyna i Ania? — Kostek miał za plecami stół, na nim paralizator. Wystarczyło sięgnąć.

— Oczywiście będą wolni...

Nagły hałas spowodował, że wszyscy spojrzeli w stronę drzwi. Ptak skorzystał z okazji i paralizator wylądował w kieszeni. Na progu pojawił się poblady Teodor Krzywka, nauczyciel chemii, z teczką pod pachą.

— Nareszcie — westchnął Jacek. — Niech nas pan ratuje!

— Nie mogę, niestety — chemik postąpił krok naprzód. — Przykro mi niezmiernie, chłopcy, przepraszam. Tego nie przewidziałem.

— Ale czego?

— Ano tego — zawołał wesoły głos. Wystraszony mężczyzna odsunął się na bok. Za nim stał uradowany Lucio Bumbul z pistoletem w jednej i kanistrem benzyny w drugiej ręce. — Szef to ma łeb — pochwalił. — Trzeba zawsze obstawiać tyły. — Piętą zatrzaskał drzwi.

— Co za wyczucie chwili, no, no — Jurek wyjął długopis, po czym podsunął oświadczenia zrezygnowanym chłopakom. — Podpisujcie i znikamy, szkoda czasu.

— Ten kanister... — Plomba ujął długopis w drżące palce.

287

— Taki mały zapas — Ogóras oblizwał wargi. — Samochodem jesteśmy.

Jacek podpisał się zamasyście, Kostek chwilę potem. Obaj wiedzieli, co ich czeka, ale liczyli na cud. Jednak cuda nie zdarzają się na zawołanie.

— Drobnie komplikacje — Mętlik spojrzął na Krzywkę. — No cóż, ktoś będzie miał niezłą zagwozdkę. Nauczyciel chemii podpalaczem.

— Nie rozumiem — mężczyzna zmarszczył czoło.

— Co tu rozumieć, pszepana — jęknął Hulewicz, uwolniwszy się wreszcie. — Zimno to wam nie będzie, he, he — zaśmiał się z własnego żartu.

— Rób swoje — Mętlik kiwnął na Lucia. — Tylko szybko, czekamy na parkingu.

— Wiadomo — młody Bumbul sprawnie zamocował tłumik na pistolecie. — Pośpiech to podstawa działania i sukcesu...

W tym momencie wydarzyło się kilka rzeczy na raz. Zgasło światło, drzwi szopy wypadły z zawiasów, a Kostek rzucił się z paralizatorem i użył go z wielką satysfakcją.

Zaraz potem błysnęły silne reflektory.

W samochodzie Rudy opowiedział mi wzruszającą historię o tym, jak niejaki Włodek Kierol i Leos Konieczny oddali życie w obronie tajemnicy

— Leosia milicjanci zastrzelili jeszcze w Potemkowicach, pod samą rzeźnią. Ledwie zdążyli schować kartkę ze wskazówką, gdzie szukać złota. Właściwie to Włodek niewiele wiedział, bo Leoś był na hali sam. Ledwie wyszedł, zaczęła się strzelanina. Włodek musiał wiać... — przyhamował i wałnął wściekle w klakson. — Widzieliście chama? No bandzior jeden! Skręciliśmy w boczną uliczkę. Nie miałem pojęcia, że Po-temkowice są tak rozległe.

— Uciekł przez Niemcy do Ameryki — dokończył Edi. — Potem ściągnął tam mojego staruszka, mamcia też z Polonii,

289

no i ja w Chicago urodzony — zamyślił się z nostalgią na twarzy. — Ale ktoś Włodka wsypał, ktoś z rodziny. I jak po dwudziestu latach wrócił do kraju, SB32 aresztowała go jako szpiega, a potem... — sugestywnie pokazał wiązaną na szyi pętlę. — Ot i tyle sprawiedliwości na świecie — westchnął.

— Zaraz się rozplącę — burknąłem. — O co panom chodzi właściwie? Proszę mnie natychmiast wypuścić z tego samochodu!

Zarechotali ubawieni po pachy. Jechaliśmy przez osiedle mieszkaniowe. Światła w oknach wydawały mi się nierzeczywiste. Gdzieś tam rodziny siedzą przy kolacji albo oglądają telewizję, a mnie wiezie dwóch opryszków w niewiadomym kierunku. Za to wiadomo po co.

— Już ci mówiłem... psiakrew... — pan Witek zaklął cicho, gdy samochód podskoczył na wyboju i przyciął sobie wargę. — Już ci mówiłem. Nie masz się czego bać. Powiesz nam, gdzie jest złoto, bo ja dwa miechy zasuwalem w rzeźni przy robieniu kaszanki i guzik znalazłem. A ty podobno masz oko do takich rzeczy Jest tego pięć kilo...

— Dwanaście — sprostowałem.

— No proszę, wiesz, o czym mowa — uśmiechnął się Edi. Sięgnął po papierosa, ale Rudy go zbeształ.

— Daj se siana, bo się podusimy Przecież nie otworzę okien, żeby szczył zaczął wrzeszczeć? — obrócił się do mnie na moment. — Damy ci dwa kilo złota, dobra cena za cynk.

i2SB— Służba Bezpieczeństwa, aparat powołany do zapewnienia bezpieczeństwa i porządku publicznego w PRL. Posiadała prężnie działającą, mocno rozbudowaną sieć tajnych informatorów.

290

Zabierzesz dziewczynę i tyleśmy się widzieli, możesz wracać do domu.

— Muszę tu kisnąć pół roku — odezwałem się ponura

— Nie musisz, to wszystko zwykła podpucha — prychnął Rudy — Chłopaki z Trombolina odwołują zeznania i okaże się, że widzieli kogoś innego, nie ciebie. Jutro będziesz czysty i ze złotem w plecaku. To jak?

Inspektor Jerzy Korowalek z Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze był w siódmym niebie. Szykował się kolejny sukces i młody, inteligentny policjant dobrze wiedział, jak wykorzystać swoją szansę.

Dowódca brygady antyterrorystycznej poszeptał z jednym z podwładnych, po czym podszedł do inspektora z woreczkiem foliowym w dłoni.

— Chyba cię to zainteresuje — na ustach w wyciętym w kominiarce otworze pojawił się cień uśmiechu.

— Czyje to jest? — Korowalek podniósł do światła woreczek z białym proszkiem podzielonym na małe działki.

Policjant z umieszczonym na czole noktowizorem wskazał osłupiałego Skunksa.

— Szczęśny Hulewicz — inspektor zerknął na legitymację szkolną chłopaka. — Czy to przypadkiem nie rodzina nowego kuratora Zbyszko Hulewicza?

— Taka tam rodzina — wybąkał przestraszony Szczęśny. — Brat ojca po prostu.

— Rodzina, panie oficerze — wtrącił nauczyciel nie bez satysfakcji. — Wiem, co mówię — w szkole nie uwierzą,

291

jak im opowiem, pomyślał. — Czarno widzę karierę tego pana.

Korowalek spojrział na chemika i przytaknął.

— A ten proszek to na ból głowy, tak? Weźcie do analizy — zarządził. — Teraz wszystko ładnie opowiecie, ptaszęta — wyjął notatnik. — Po pierwsze, na czyje zlecenie działaliście, po drugie, kto poraził tego chłopca paralizatorem. .. — spojrzał na oszołomionego Plombę.

— Aż dwa razy w ciągu godziny — dodał lekarz, kończąc zakładanie opatrunku.

Kostek Ptak spuścił głowę.

— A po trzecie, który zuch wpadł na pomysł zadzwonienia do nas podczas napadu? Pomysł diabelnie ryzykowny i genialny w swej prostocie — w głosie inspektora brzmiał podziw.

— Ja wiem — odezwał się chrapliwie Mętlik. — To kosmici, proszę pana. Już ja im dam popalić

— znów był schizofrenicznym Ogórasem. — Świat jest pełen kosmitów, a ja jestem ich zmorą!

— Wszystko mam na taśmie, panie Mętlik — ostudził go inspektor. — Niezły aktor z ciebie, ale nie dla mnie. Gra skończona.

Zatrzymaliśmy się pod kinem Posejdon. Muszę przyznać, że neon mieli powalający, budynek też pierwsza klasa. Nasze kino przy tym to remiza strażacka.

W okolicy było pustawo, jedynie jakiś starszy mężczyzna zamiatał piach z chodnika pod kamienicą naprzeciwko.

292

Dziwna pora na porządki, pomyślałem. Tamci pewnie pomyśleli to samo, bo czujnie rozejrzeli się dookoła.

— Wysiadaj — warknął w końcu Rudy.

Gdzieś niedaleko czekała Ania. Czuję przyspieszone bicie serca i ogromny niepokój. Weszliśmy w bramę, a potem schodami na piętro. Rudziawka wyjął pęk kluczy, po czym otworzył odrapane drzwi z numerem 3.

Z mieszkania wionęło stęchlizną. Edi włączył światło w wąskim przedpokoju i wciągnął mnie do środka. Przeszliśmy przez kuchnię do niewielkiego pokoju, wypełnionego czerwonym blaskiem rzucanym przez wielkie litery. ...EJDO...

Ania siedziała nieruchomo w kącie, z nogami pod brodą i podrapanym czołem. Spojrzała na mnie i szepnęła:

— Jesteś, Jasiu.

— Jestem — odpowiedziałem. — Zawsze będę, bo cię...

— Zaraz — głos Rudziawki przywołał mnie do rzeczywistości. — Dlaczego ona nie ma taśmy na ustach?

— Bo może — przełknął ślinę Edi. — Bo może jakoś... — wiedziony przecuciem wyciągnął pistolet.

— Ręce do góry, policja! — zawołał tubalny głos i do pokoju wskoczyło dwóch policjantów w moro. — Na podłogę! I ani drgnąć!

Witold Rudziawka zrozumiał, że przegrał. Posłusznie legł na zaśmieconej podłodze, wyklinając w myślach własną głupotę. Bury miał rację, to złoto było przeklęte.

Natomiast Edi przyskoczył do Ani, przystawił jej pistolet do głowy i wycedził:

293

— Nie tak prędko, psy Zapomnieliście o negocjacjach.

Jadowity karakurt podjął decyzję. Stopa w wilgotnych butach była zbyt blisko, niebezpiecznie blisko. Instynkt walki wziął górę nad instynktem przetrwania.

■

Rozdział 31.

Nie będę miał głuchej żony

Mimo protestów mamy uparłem się, żeby iść do szkoły Była mocno zaniepokojona, ale tato mnie poparł.

— Niech idzie, nie jest babą... eem — uchwycił spojrzenie mamy — To dzielny chłopak przecież — poprawił się szybko. — Chory nie jest.

— Ja też jestem dzielny chłopak — pochwalił się Krzyś wpatrzony we mnie jak w obraz. — A będę jeszcze dzielniejszy — wytarł nos w chusteczkę. Chyba muszę przestać nazywać go Glutem.

— No właśnie — tato potrząsnął pachnącymi farbą „Wieściami Trombolina”. — „Gang młodocianych przestępców rozbity”. „Amerykański łącznik w areszcie śledczym” — przeczytał. — Co tam dalej... o, proszę bardzo: „Koniec narkotykowej mafii”. „Uczeń — psychopata Patryk M. na obserwacji...” Prawie całą gazetę zajęliście. Synu — pogłaskał mnie po głowie — ale jestem z ciebie dumny!

Pod domem czekali Kostek z Jackiem.

— Nie idziesz do budy? — zapytałem. Do ogólniaka było dosyć daleko i całkiem nie po drodze.

— Dzisiaj odpada — Ptak kopnął leżącą na chodniku

295

puszkę po pepsi light. Przez moment poczułem wewnętrzny chłód. — Nie odpuszczę sobie apelu z tobą w roli głównej. No i stęskniłem się za przemowami dyra.

— A poza tym — dodał Plomba. — Należy ci się eskorta.

— Żartujesz? — prychnąłem. — A co ja jestem, bohater narodowy? Zresztą, jak ja, to wy też.

Nie potwierdzili ani nie zaprzeczyli. Z nimi nie zginę, pomyślałem.

Henryk Balezy łagodnym wzrokiem patrzył na rozgadanych uczniów Pora zaczynać.

— Raz, dwa, trzy, osiem, piętnaście — zadudniło w głośnikach.

— Cicho! — zawołał ktoś z tłumu. — Walezy numery totka podaje!

Dyrektor zaczekał, aż fala śmiechu straci natężenie, po czym oznajmił:

— Witam was, drodzy uczniowie mojego gimnazjum...

— A było Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej — krzyknął zdumiony głos. — Wolno tak zmieniać na poczekaniu?

— Droga młodzieży — ciągnął Balezy niezrażony — Dzisiejszy apel ma charakter wyjątkowy. Otóż dzięki staraniom dyrekcji w mojej skromnej osobie, odpowiedzialnym działaniom i czujnej postawie udało mi się zapobiec niebezpiecznym skutkom krzywdzącej decyzji rady pedagogicznej, znowy, powiedzieć by można...

— Co on opowiada? — poderwał się Teodor Krzywka. — Kłamstwo za kłamstwem w żywe oczy...

296

— Siadaj, Teoś — uspokoił go pan Wąpień. — To polityka, po prostu polityka.

— Skandal, nie polityka — mruknął siedzący obok nich Maruszak.

— Przesadzacie, bo nie rozumiecie mechanizmów — Wąpień otarł gazetą przykurzone czubki butów. — Nieważne jak, ważne, że skutecznie.

Balezy łyknął wody ze szklanki i zadudnił ponownie.

— Oprócz oczyszczenia naszych szeregów z jednostek wysoce szkodliwych, których nie zauważały nawet osoby z doświadczeniem pedagogicznym — posłał pełne przygany spojrzenie poczerwieniałej Tycze — waszemu koledze Januszowi Radzyminowi należą się również podziękowania za przekazanie pieniędzy za znaleziony zabytek wisielczy na rzecz pracowni komputerowej...

Zerknąłem na Kostka. Pokiwał głową. Coś podobnego? Czyli faktycznie odnalazłem lunetę wisielca, a Ptak oddał ją do muzeum. Wcześniej miałem wrażenie, że to część tamtego snu o-Utu. Jednak nie.

Chyba długo jeszcze będę się zbierał do kupy. Gnida w Po-temkowicach też.

— ... nie może tak być, więc pracownia komputerowa będzie na razie nosić imię Henryka Balezego, a po śmierci Janka Rackowiaka nazwę się przerobi i będzie dobrze...

Dyrektor mówił, a ja patrzyłem na Anię, odkrywając ją dla siebie wciąż na nowo. Wszystko mi opowiedziała. O tym, jak Mętlik ją szantażował, o kłótniach z matką, poczuciu

297

zagubienia, samotności. Łzach. A także o tym, jak wiatr otworzył okno i głową zrzuciła doniczkę wprost pod nogi dzielnicowego. Szczęściara. Nachyliłem się i szepnąłem:

— Kocham cię.

— Co powiedziałaś? — obróciła się gwałtownie. — Tak hałasują, że nie zrozumiałam.

Łgała gorzej niż Balezy, widziałem to w jej oczach.

— Aaa, nic — skubnąłem ucho. — Mówiłem tylko...

— Ja też cię kocham — podała mi rękę. — Bardzo. Najbardziej.
— Jednak nie będę miał głuchej żony — westchnąłem z ulgą.
— Planujesz się ze mną ożenić? — roześmiała się wesoło. — Nie wierzę.
Oczy jednak mówiły, że uwierzyła.
— Nie musisz, zobaczysz.
— Ty jesteś lekkoduch, Jasiu, ale kto wie — stwierdziła, a potem zapytała jak dorosła kobieta: —
To jeszcze mi powiedz, z czego będziemy żyli?
— Z czegoś będziemy — uśmiechnąłem się tajemniczo. — Już ty się nie martw.
Puściłem jej ciepłą dłoń i pomacałem kieszeń spodni. Kartka od Omszałego była na swoim miejscu.

Epilog

Potemkowice, 27 listopada 1957 roku, nad ranem

Zaprawa jeszcze nie zaschła. Głupi to ma szczęście, pomyślał Leoś, patrząc na narysowany przez Włodka schemat. Małe „u” to uziom³³, ale „S”? Nie zrozumiał.

Włodek mu wyjaśnił, że to przez pomyłkę. Miało być „I” jak internat, a napisał „S” jak szkoła. Nie było sensu kreślić.

Leoś, wspomagając się latarką, rozejrzał się bacznie i zobaczył zostawioną przez murarzy butelkę po piwie. Głupi to ma szczęście, pomyślał znowu, wsuwając papierowy rulonik do środka.

Wydłubał cegłę, potem jeszcze jedną. Mur miał ze dwa metry wysokości, faktycznie szybko budują ten socjalizm, pokręcił głową zdumiony

Jeszcze tylko wydrapać gwoździem jakiś znak. Dotknął krzyżyka na piersi. Będzie dobrze, pomyślał. Nie złapią nas, bo Włodek jeszcze głupszy ode mnie.

Poślinionym palcem zatarł ślady w spoinie między cegłami. Otrzeputując spodnie, wyszedł na ulicę i zobaczył tylne światła odjeżdżającego mercedesa.

33 Uziom — zakopany w ziemi element instalacji odgromowej, np. w postaci metalowej płyty
299

— Włodek! — zawołał zdumiony — A ja? Nagle usłyszał strzał. I następny. Potem osunął się w mrok.

— Wszystko można odwrócić — powiedział Hubert.

— Nie wierzę. To wbrew logice.

— Uwierz, a szczęście samo przyjdzie — stryjek potarł zmęczone powieki. — Logika nie ma z tym nic wspólnego..

Postanowiłem uwierzyć. Nie mogłem bez niej żyć. Zwyczajnie i po prostu.

Z pamiętnika Omszałego

Spis treści

Prolog.....	7
Jeden Krzywka wiosny nie czyni.....	12
Minister z Trombolina.....	22
Zdrada pedagogiczna.....	32
Zdzisiek Żardelko.....	42
Witamy w piekle.....	51
Cyna jak żywy.....	61
Omszały po raz pierwszy.....	70
Kto nosi fajne gacie?.....	79
Pan kierownik, robaczku, to ja!.....	88
Zastępca Guzka.....	97
Parada figlarzy.....	106
Noc przynosi dreszcze.....	115
Złoty łup Burego.....	124
Ja to mam szczęście.....	132
Omszały po raz drugi.....	141
Tresura kocura.....	150
Honor rodu Hulewiczów.....	159

Zrozumie i wybaczy.....	169
Próbka próbce nierówna.....	178
Głodny, dumny i przerażony.....	188
Ja noszę zielone kalosze.....	197
Rzeźnia, rzeźnia, mać radnaja.....	205
Pozdrowienia od Manika.....	214
Atak trzeba uprzedać.....	224
Omszały po raz trzeci i ostatni.....	233
Finita la commedia.....	243
Grunt to kulturka.....	253
Taka jedna fajna dziuńka.....	263
Kidnaper z Chicago.....	273
To wszystko zwykła podpucha.....	284
Nie będę miał głuchej żony.....	295
Epilog.....	299

Przeczytajcie koniecznie o wcześniejszych przygodach Cyny!
Mariusz Niemycki

Mariu\$z Niemycki

Polecamy zabawną serię „Przypadki Damianka”

OSTRZEŻENIE:

Uwaga! Treści zawarte w tych książkach mogą pomieszać Ci w głowie! Jeżeli, mimo ostrzeżenia, decydujesz się na ich przeczytanie, czynisz to na własną odpowiedzialność.

Autor